

Listonosze znaleźli się w samym środku politycznej wojny **STR. 8**

Prof. Dobrzyń: Fala epidemii jesienią może być groźna **STR. 18**

Krzysztof Kilian: Świat chce zbudować nowy porządek **STR. 22**

Wojciech Chmielarz: Nie umiem pisać książki bez trupa **STR. 26**

Dzieci to największe ofiary drugiej kwarantanny **STR. 24**

POT „SKA

TERMIN WYBORÓW

w wyborach Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

niepotrzebną datę przekreślić

01. ☐ ~~10 MAJA 2020~~

02. ☐ ~~17 MAJA 2020~~

03. ☐ ~~23 MAJA 2020~~

04. ☐ CZERWIEC 2020

05. ☐ LIPIEC 2020 ?

06. ☐ SIERPIEŃ 2020

07. ☐ ~~JESIEŃ 2021~~

08. ☐ ~~A MOŻE 2022~~

Piątek-niedziela
8-10 maja 2020
Nr 37 (1922)
4,30 zł W TYM 8% VAT
Nr ISSN 1898-3081 Nr indeksu 349-682



Wybory odbędą się później. Stało się dobrze dla Polski

Awantura o wybory niemal wysadziła w powietrze Zjednoczoną Prawicę. Układ Gowina z Kaczyńskim zapewnia chwilowy rozejm, wciąż jednak nie wiadomo, kiedy i w jakiej formule będziemy wybierać prezydenta **STR. 3, 4-13**

To dobrze dla Polski

Paweł Siennicki
redaktor naczelny „Polski Times”



Felieton

Symbolicznym komentarzem do porozumienia dwóch Jarosławów, Kaczyńskiego i Gowina, dzięki czemu wybory prezydenckie odbędą się w formie korespondencyjnej później niż 10 maja, było oświadczenie prezydenta Andrzeja Dudy. Mniejsza nawet co mówił, ważne, gdzie mówił. Prezydent był na jakimś przystanku kolejowym, a w tle za nim pędziły pociągi. Właśnie uniknęliśmy czołowego zderzenia dwóch pociągów jadących tym samym torem. Szczęśliwie, cudem, minęły się. Jestem głęboko przekonany, że przesunięcie wyborów jest dobre dla Polski. Jest dobre dla demokracji. Uniknęliśmy gigantycznej kompromitacji, jaką byłyby wybory 10 maja. Kompromitacji, przy której zderzenie czołowe dwóch pociągów byłoby niewielką kraksą. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że takie wybory nie byłyby wolne, postawiłyby nasz kraj nawet nie obok Białorusi. Stali byśmy w jednym szeregu z ban-tustanem. Osiągnięto porozumienie wykorzystując trick z Sądem Najwyższym, zabieg wątpliwy konstytucyjnie, ale lepsze jest wrogiem dobrego. Spuśćmy na to zasłonę milczenia.

Ocena tego, co się stało, jest niejednoznaczna, bo moim

zdaniem wygrali na tym przede wszystkim aktorzy z drugiego planu, którzy zdawalioby się nie byli pierwszoplanowymi postaciami tej rozgrywki. Czyli Mateusz Morawiecki i Andrzej Duda. To oni, wbrew prezesowi Kaczyńskiemu, twarzą oponowali przeciwko wyborom w maju. Media koncentrowały się na siłowej rozgrywce między Kaczyńskim a Gowinem, ale to Morawiecki z Dudą przekonali prezesa PiS do cofnięcia się. Bo Kaczyński był zdecydowany grać twardo do końca, sekundowali mu w tym niektórzy europosłowie PiS.

Kaczyński i Gowin po prostu wychodzą z twarzą z tej próby sił. Prezes PiS utrzymał przede wszystkim sejmową większość, lider Porozumienia może czuć się architektem nomen omen porozumienia, które jest dobre dla Polski. Ale cytując wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza (zatyłowany „Do Jarosława Kaczyńskiego”) - „To, co nas podzieliło - to się już nie skleci”. Zjednoczona Prawica, sojusz trzech ugrupowań choć istnieje jeszcze na papierze, to tak naprawdę już go nie ma. Jarosław Kaczyński zrobi wszystko, żeby nie dopuścić do podobnej sytuacji. Ktoś, kto ocenia, że jest to zwycięstwo Jarosława Gowina, jest w wielkim błędzie. Gowin zostanie bez partii, którą Kaczyński skonsumuje jak salami.

Co dalej? Przede wszystkim późniejsze wybory mają wszelkie szanse, by być uczciwe i dobrze zorganizowane. Andrzej Duda dalej jest w nich

faworytem. Nadzieje, że pogarszająca się sytuacja gospodarcza, napędzi głosów jego przeciwnikom, mogą okazać się płonne. Byłem świadkiem wypełniania wniosku o rządową pomoc dla mikroprzedsiębiorców. Zajęło to 15 minut, wniosek był prosty, intuicyjny. Jasne, w wielu obszarach państwo jest spóźnione, liche, z dykty i kartonu, ale rząd Morawieckiego wcale nie musi przegrać z kryzysem.

Uważam, że obecnie najgroźniejszym rywalem dla Dudy jest lider PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz. Ewidentnie wysuwa się on na czoło rywali opozycji. Szymon Hołownia robi wielki błąd, pozwalając sobie na płacziwe nuty w kampanii. Myślę, że nikt nie chce mieć niestabilnie emocjonalnego prezydenta. I wreszcie dochodzimy do Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. To katastrofa. Szkoda jej. Nieobecna, nieprzygotowana, strzelająca gafą za gafą. Platforma Obywatelska powinna potraktować przesunięcie wyborów jako dar niebios i poszukać innego kandydata. Inaczej, skądinąd niezwykle ujmującą i sympatyczną w kontakcie osobistym, Kidawa-Błońska pociągnie na dno całą Platformę. I tu można wspomnieć innego aktora drugiego planu, Grzegorza Schetynę. Jego PO, tak często krytykowana, to po tęga przy partii, którą kieruje Borys Budka. Gdyby to była sztuka teatralna, należałoby zapisać w scenariuszu - a w tle słyszeć szyderczy śmiech byłego przewodniczącego.

Warto żyć, warto śnić... Pandemiczny sen wariata

Stanisław Mocek
Collegium Civitas



Magia Civitas

Miałem sen. Śniło mi się, że na początku epidemii, podobnie jak w Portugalii, nastąpiło polityczne „zawieszenie broni” między rządem a opozycją, w wyniku którego porozumiano się w zakresie najważniejszych w czasie epidemii spraw, politycznych, medycznych oraz gospodarczych. Uznano, że w sytuacji kataklizmu na wszystkie siły spada odpowiedzialność i należy odłożyć spory ideologiczne i właśnie polityczne.

Nastąpił konsensus parlamentarny co do zawieszenia na okres do odwołania wszelkich kosztownych programów socjalnych, premii i nagród dla administracji centralnej i samorządowej oraz w zakresie konieczności nowelizacji budżetu w celu dokonania daleko idących oszczędności, mających zrekompensować przynajmniej w części koszty przestoju w gospodarce i sytuacji bankrutujących przedsiębiorstw. Uwzględniono szereg propozycji opozycji dotyczących objęcia służb medycznych wszechstronnym wsparciem w zakresie wykonywania testów genetycznych wykry-

wających koronawirusa. Prezydent, przestrzegając zasad konstytucyjnych i poczuwając się do odpowiedzialności za bezpieczeństwo i godność obywateli, prowadził regularne konsultacje z przedstawicielami wszystkich sił politycznych i grup społecznych w celu wypracowywania dla rządu dobrych rozwiązań społecznych i gospodarczych. Wykorzystywał Narodową Radę Rozwoju oraz inne ośrodki eksperckie z kraju i zagranicy, aby wypracować prognozy sytuacji epidemicznej i przygotować raport o dalszych krokach po jej ustąpieniu.

Premier działał od początku poprzez powołanego przez siebie pełnomocnika, bezpartyjnego wybitnego specjalistę do spraw zarządzania kryzysowego, który - działając w porozumieniu z kilkoma zespołami - koordynował prace w różnych obszarach: od spraw medyczno-sanitarnych, aż po grupę najwybitniejszych ekonomistów, specjalistów w zakresie finansów i bankowości oraz polityki społecznej. Chodziło o to, aby w związku z zapowiadającą się katastrofalną sytuacją gospodarczą opracować plan ratunkowy i zasady odbudowy po ustaniu epidemii. Premier korzystał z konsultacji Rady Dialogu Społecznego, która wspierała działania rządu w wypracowywaniu programów i projektów antykryzysowych. Prezydent patronował

powołanej Radzie Mediów Społecznych, złożonej z przedstawicieli mediów publicznych i komercyjnych, powołanej w celu wypracowania rzetelnego i wiarygodnego przekazu informacyjnego dotyczącego sytuacji epidemicznej, z pełnym dostępem do informacji publicznej w tym zakresie.

W sprawie wyborów prezydenckich przedstawiciele rządu i opozycji, wraz z kierownictwem PKW i przedstawicielami Kancelarii Premiera i Prezydenta, opracowali szczegółowy plan przesunięcia daty wyborów na bezpieczny dla wyborców termin, w oparciu o rozwiązania przewidziane w konstytucji. Ustalono, że w tym czasie uzgodniony zostanie projekt alternatywnych sposobów głosowania, z jednej strony tradycyjny - w lokalach wyborczych, z drugiej - korespondencyjno-internetowy, który umożliwiłby przeprowadzenie regularnej kampanii wyborczej i zapewniłby nawet wyższą frekwencję wyborczą niż sprzed czasu epidemii. Warunkiem porozumienia było zapewnienie przeprowadzenia bezpiecznego procesu wyborczego dla wszystkich uprawnionych do głosowania.

Budząc się z letargu, uświadomiłem sobie, że to nie była mrzonka naiwnego i niepoprawnego optymisty, ale najprawdziwszy sen wariata.

www.civitas.edu.pl

009654276

#RAZEM DAMY RADĘ

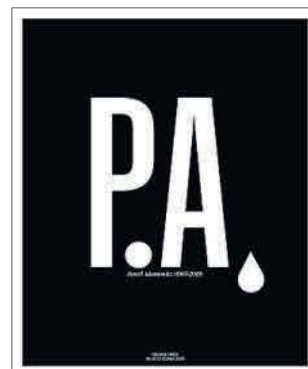
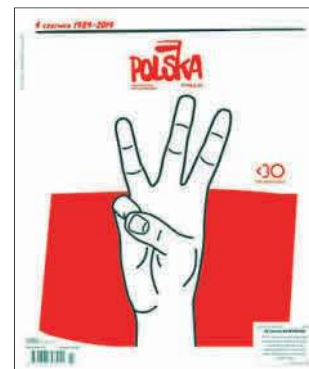
POLSKA
TIMES.PL
polskatimes.pl

Żadne słowa nie są w stanie wyrazić wdzięczności dla wszystkich bohaterów tych dni: sprzedawców, lekarzy, salowych, kierowców, kurierów, listonoszy, sprzątaczek, aptekarzy i reszcy innych osób, których nie jesteśmy w stanie nawet wymienić. Dzięki Wam chronione jest nasze zdrowie i zaspokajane najważniejsze potrzeby. Wiemy, że razem z Wami damy radę pokonać wszelkie kryzysy i trudności związane z epidemią.

NAGRODA

Award of Excellence dla okładek „Polski”

Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, zdobył kolejne nagrody w największym i najbardziej prestiżowym konkursie projektowania prasowego Best of News Design Creative Competition. Konkurs jest organizowany przez Society for News Design ze Stanów Zjednoczonych. W 41. edycji konkursu Best of News Design Creative Competition Tomasz Bocheński zdobył dwie nagrody Award of Excellence za okładki „Polski”. W lutym br. jury konkursu przyznało mu srebrny medal za indywidualne portfolio - okładki dziennika naszemiasto.pl. Jego prace zostały docenione przez projektantów z takich redakcji, jak New York Times, National Geographic czy Washington Post. Society for News Design już po raz kolejny uhonorowało prace Tomasza Bocheńskiego, został już sześciokrotnie nagrodzony w tym prestiżowym konkursie.



Wybory prezydenckie w czasie pandemii. Najważniejsze pytania i odpowiedzi na nie

Wciąż nie wiadomo, kiedy odbędą się wybory i jak miałyby wyglądać

Jakub Oworuszko
jakub.oworuszko@polskapress.pl



Polityka

Wybory prezydenckie nie odbędą się 10 maja - tak naprawdę to jedyna pewna informacja, choć jej konsekwencje nie są do końca znane. Pytań jest wiele - próbujemy odpowiedzieć na najważniejsze. Sami prawnicy mają mnóstwo wątpliwości, mówią o sytuacji bez precedensu.

Czy w niedzielę 10 maja odbędą się wybory prezydenckie?

Nie. Wynika to z kompromisu zawartego w czwartek przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego i lidera Porozumienia Jarosława Gowina. PiS przekonuje, że wybory nie odbędą się 10 maja z winy opozycji i Senatu, który wykorzystał maksymalny czas (30 dni) do pracy nad ustawą o głosowaniu korespondencyjnym. Kilka dni temu szef PKW przyznał, że wybory 10 maja nie mogą się odbyć „z przyczyn prawnych i organizacyjnych”.

Czy w weekend będzie obowiązywała cisza wyborcza?

Teoretycznie tak, ponieważ formalnie niedzielne wybory nie zostały odwołane. Cisza wyborcza może więc obowiązywać od północy w piątek do godz. 20 w niedzielę. Głos w tej sprawie powinna zabrać Państwowa Komisja Wyborcza.

Kiedy kończy się kadencja prezydenta Andrzeja Dudy?

6 sierpnia 2020, dlatego nowy prezydent musi zostać wybrany przed tym terminem.

Jakie będą konsekwencje prawne?

Zgodnie z założeniami porozumienia zawartego przez Kaczyńskiego i Gowina, „po upływie terminu 10 maja 2020 r. oraz przewidywanym stwierdzeniu przez Sąd Najwyższy nieważności wyborów, wobec ich nieodbycia, Marszałek Sejmu RP ogłosi nowe wybory prezydenckie w pierwszym możliwym terminie”. Sąd Najwyższy ma 30 dni na podjęcie decyzji.

Czy SN może odnieść się do czegoś, co nie miało miejsca?



Czekają nas wybory korespondencyjne. Nie znamy na razie ich daty

- W mojej ocenie Sąd Najwyższy nie może stwierdzić ważności lub nieważności wyborów, skoro ich nie było - ocenił w rozmowie z Agencją Informacyjną Polska Press konstytucjonalista dr hab. Ryszard Piotrowski. - Sąd Najwyższy nie może działać na zamówienie dwóch prezesów partii politycznych - podkreślił.

Kiedy odbędą się wybory prezydenckie?

Wszystko zależy od tego, kiedy (i czy) Sąd Najwyższy wyda postanowienie ws. ważności (lub nieważności) wyborów z 10 maja.

Od chwili ogłoszenia wyniku wyborów przez PKW (prawo nie precyzuje, ile czasu ma na to PKW, czasem liczenie głosów trwało nawet kilka dni, w tym przypadku decyzja mogłaby być znana już w poniedziałek 11 maja) Sąd Najwyższy ma 30 dni na podjęcie uchwały ws. wyborów.

Po decyzji SN marszałek Sejmu będzie miała 14 dni na wyznaczenie nowego terminu wyborów.

Wybory prezydenckie będą musiały odbyć się w dniu wolnym od pracy w ciągu 60 dni od decyzji SN.

Politycy PiS mówią o jednej z niedziel w czerwcu lub lipcu. Nieoficjalnie padł też termin 12 lipca.

Do 55 dni przed dniem wyborów muszą zostać utworzone komitety wyborcze.

Do 45 dni przed wyborami muszą zostać zgłoszeni kandydaci w wyborach na prezydenta.

W jakiej formie zostaną przeprowadzone wybory prezydenckie?

Ze względu na epidemię wybory mają odbyć się w formie korespondencyjnej przy udziale Poczty Polskiej. „Pakiety wyborcze trafią do wyborców 7 dni przed wyborami, tak, żeby można było ich użyć i zagłosować w trybie korespondencyjnym w dniu wyborów” - wyjaśniał w czwartek w RMF wicepremier, minister aktywów państwowych Jacek Sasin, który

zaznaczył, że nie będzie wymagane pisemne potwierdzenie odebrania pakietu wyborczego.

Kto zorganizuje wybory korespondencyjne?

Państwowa Komisja Wyborcza. „Tych wyborów nie organizuje żaden polityk ani poczta. Poczta jest tylko dostarczycielem pakietów wyborczych i tą instytucją, która je następnie odbiera” - wyjaśniał Jacek Sasin.

Czy zostaną wydrukowane nowe karty do głosowania? Co ze starymi?

Najprawdopodobniej zostaną przygotowane nowe karty do głosowania, a stare będą musiały zostać zniszczone. Opozycja już zapytała o koszty całej operacji, które sięgną milionów złotych.

Na jakiej podstawie zostaną przeprowadzone wybory prezydenckie?

Na podstawie przyjętej w czwartek (7 maja) przez Sejm „ustawy o szczególnych zasadach przeprowadzania wyborów powszech-

nych na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zarządzanych w 2020 r.”. Ustawa będzie jeszcze nowelizowana - zmiany zapowiedział Jarosław Gowin. - Już dziś rozpoczną prace eksperci, którzy przygotują głęboką nowelizację ustawy o głosowaniu korespondencyjnym, nowelizację, w której nacisk będzie położony na zwiększenie roli, właściwie przywrócenie roli PKW oraz szczególną troską otoczmy zasady powszechności i tajności wyborów - wyjaśniał Gowin.

Kto wystartuje w wyborach prezydenckich w nowym terminie?

Partie deklarują, że wystawią tych samych kandydatów. Zgodnie z zapowiedziami polityków PiS, kandydaci nie będą musieli ponownie zbierać podpisów (min. 100 tys.) pod swoimi kandydaturami - mowa jest o „prawach nabytych”. Udział w wyborach będą mogli wziąć nowi kandydaci. Szczegóły będą znane w najbliższych tygodniach.

WAŻNE

Zasady głosowania korespondencyjnego w czasie pandemii w opinii ekspertów wyborczych Fundacji Batorego musi spełniać poniższe warunki:

- Wprowadzenie stanu klęski żywiołowej, który da czas na solidne przygotowanie bezpiecznej i uczciwej procedury
- Organizacja procesu głosowania korespondencyjnego musi powrócić do kompetencji Państwowej Komisji Wyborczej i Krajowego Biura Wyborczego
- W procedurze głosowania korespondencyjnego pakiet wyborczy nie może być drukiem bezadresowym, a numer PESEL nie może być jedynym gwarantem osobistego głosowania
- Przepisy muszą umożliwiać wyborcom podanie adresu dostarczenia pakietu wyborczego - nie musi to być adres zameldowania
- Obwodowe komisje wyborcze muszą być złożone z przedstawicieli startujących w wyborach komitetów wyborczych i przedstawicieli organizacji społecznych
- Liczba komisji wyborczych w miastach musi zostać zwiększona, komisje powinny dysponować większą liczbą spisów wyborców
- Wyborcze skrzynki nadawcze muszą być zabezpieczone i objęte monitoringiem, umieszczone równomiernie w odpowiednich miejscach, a ich lokalizacja ogłoszona wcześniej wyborcom
- Wyniki głosowania w obwodach powinny być niezwłocznie dostępne on-line.

- Nie możemy namawiać do uczestnictwa w głosowaniu, które nie spełnia konstytucyjnych warunków wyborów. Natomiast możemy, i to czynimy w naszym stanowisku, przedstawić konkretne warunki, po spełnieniu których można, po zakończeniu wprowadzonego ze względu na epidemię stanu klęski żywiołowej, przeprowadzić wybory korespondencyjne: wybory spełniające warunki konstytucyjne i bezpieczne ze względów zdrowotnych - komentuje prof. Andrzej Rychard, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

Koronawybory nie będzie, ale w obozie władzy nadal jest gorąco

Witold Głowacki
Twitter: @WitoldGlowacki



Polityka

Awantura o wybory niemal wysadziła w powietrze Zjednoczą Prawicę. Układ Gowina z Kaczyńskim zapewnia rozdaj rozejmu - pytanie jednak na jak długo.

W środę wieczorem Jarosław Kaczyński i Jarosław Gowin dogadali się w sprawie wyborów prezydenckich. Ich spotkanie miało miejsce podczas debaty prezydenckiej, w której wystąpili wszyscy kandydaci, łącznie z Andrzejem Dudą. Godzinę po jej zakończeniu Kaczyński i Gowin poinformowali, że wyborów 10 maja nie będzie. Niedzielne wybory po prostu się nie odbędą - nikt nie zwoła komisji, nie wystawi urn i nie otworzy lokali wyborczych. Następnie - ogłosili Kaczyński z Gowinem - Sąd Najwyższy uzna elekcję za nieważną. Wtedy Marszałek Sejmu Elżbieta Witek rozpisze wybory od zera. W następnym kroku Sejm zgodnymi głosami PiS, Solidarnej Polski i Porozumienia Jarosława Gowina odrzucił senackie weto do ustawy o wyborach korespondencyjnych.

Nadal więc nie wiemy, kiedy dokładnie odbędą się wybory prezydenckie ani według jakich zasad. Wiemy tylko, że nie odbędą się w maju. Prawą ręką przez lewe ucho - właśnie w ten sposób rządząca partia wyciągnęła się z koziego rogu, do którego zapchała ją ślepe dążenie do przeprowadzenia wyborów jeszcze w maju, podczas epidemii i z narażeniem życia Polaków, za to z sondażami wyjątkowo korzystnymi dla Andrzeja Dudy. Badania opinii publicznej mówiły jasno - majowe koronawybory zostałyby zdekretowane przez sporą część elektoratu opozycji. W efekcie przy bardzo niskiej, ale jeszcze niezupełnie kompromitującej frekwencji rządu 40 procent, wygrałby je Andrzej Duda. Być

może nawet w pierwszej turze. Byłaby to sytuacja znacząco bardziej korzystna dla PiS niż przeprowadzenie wyborów w normalnych warunkach - gdy Duda musiałby stoczyć ciężki bój w drugiej turze z którymś z opozycyjnych kandydatów - bez żadnej pewności zwycięstwa. Dlatego Jarosław Kaczyński nieustannie parł do przeprowadzenia wyborów jeszcze w maju.

Im bliżej było pierwotnego terminu wyborów, tym bardziej jasne stawało się, że ich w pełni bezpieczne i legalne przeprowadzenie nie będzie możliwe. Statystyki zachorowań nadal nie są uspokajające - wprawdzie wygląda na to, że ich dzienne wzrosty utrzymują się w pewnych stałych widelkach, ale nie da się mówić o zahamowaniu epidemii.

Polacy słusznie pukali się w czoło. Jeszcze w środę, 6 maja przed południem w całym obozie władzy nie było nadal absolutnie nikogo, kto wiedziałby, kiedy odbędą się w Polsce wybory prezydenckie. Dotyczyło to zarówno posłów PiS, jak i członków rządu, wliczając premiera - jak i wreszcie urzędującego i kandydującego w tych wyborach prezydenta oraz prezesa partii. Teoretycznie w najbliższą niedzielę powinny się odbyć dawno rozpisane wybory według nadal obowiązującej ordynacji - przepisy tarczy antykrzysowej wyłączały jednak Państwową Komisję Wyborczą z prac nad ich przygotowaniem, zatem wybory istnieją już tylko teoretycznie. W swym komediowo-groteskowym stylu, gubiąc karty wyborcze i szokując poziomem niekompetencji pracowali nad tym Jacek Sasin wraz z połową KPRM i Poczta Polska, której szefuje nowy kamry prezes przeniesiony w trybie nagłym z fotela w MON. Zasadniczy problem jednak w tym,

Zjednoczona Prawica nie jest już dobrze naoliwioną maszyną do realizacji każdego zamierzenia prezesa PiS

że ta ekipa wciąż usiłowała przygotować wybory korespondencyjne, do czego nadal brak jakiegokolwiek podstawy prawnej, bowiem odpowiednia ustawa czekała wciąż w Sejmie na przyjęcie mimo wcześniejszego odrzucenia w Senacie przez mającą tam większość opozycję. Na tym etapie zaś spór o wybory mógł okazać się początkiem końca rządzącej koalicji - Jarosław Gowin i jego ludzie wszem i wobec obnosili się bowiem z zamiarem głosowania wbrew linii obozu władzy.

Doszło do tego, że na Gowina już spuszczone sforę. Stał się obiektem nagonki w mediach publicznych i w tytułach braci Karnowskich. W tych pierwszych prezentowano też w absurdalnych słupkach rozkład poparcie pomiędzy partiami Zjednoczonej Prawicy - przy gigantycznym słupku PiS stał sobie mikroskopijny sześcianik Porozumienia. Były i inne ataki - cała seria. Nikt o nich nie zapomni.

Zjednoczona Prawica nie jest już dobrze naoliwioną maszyną o prostej konstrukcji służącą do realizacji każdego kolejnego pomysłu Jarosława Kaczyńskiego. W tej chwili to raczej wielki porządek i miejscami zatarty silnik wiekowej ciężarówki sztukowany przez lata częściami zamiennymi z innych modeli. Ba, gdy mocniej się w nim pogrzebie, można w nim znaleźć nawet uszczelki z motorówki i pasek klinowy z kosiarki. Sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli - na stole nie ma zaś żadnego w miarę spójnego i zrozumiałego dla wyborców planu jej rozwiązania. Na kilka dni przed jedynym znanym dotąd terminem wyborów trwały już nie gorączkowe, tylko rozpaczliwe próby znalezienia pomysłu, który pozwoliłby wybrnąć PiS-owi z tego ślepego zaułka.

Początek ostatniego tygodnia. W ciągu 24 godzin, które upłynęły między niedzielą a poniedziałkowym popołudniem media w odcinkach dają nam niemal pełen obraz tego chaosu. „Polityka Insight” opisuje scenariusz, w którym PiS miałby chwilowo przerwać pracę nad ustawą o wyborach korespondencyjnych, a wysłać



Jarosław Gowin teoretycznie wygrał z Kaczyńskim, bo doprowadził do przesunięcia wyborów. W praktyce...

do TK przepisy własnej ustawy o tarczy antykrzysowej, które wyłączyły Państwową Komisję Wyborczą z przygotowań do wyborów „klasycznych” rozpisanych na 10 maja. Następnie marszałek Witek miałby wyznaczyć termin wyborów na sobotę, 23 maja (którą prezydent Andrzej Duda miałby uprzednio ogłosić dniem wolnych od pracy).

Onet podaje sensacyjną informację o możliwym podaniu się do dymisji prezydenta Andrzeja Dudy - to miałyby niejako zresetować sytuację i pozwolić na rozpoznanie wyborów od nowa. „Wprost” natomiast pisze o opcji awaryjnej na wypadek przegranej przez PiS głosowania w sprawie wyborów korespondencyjnych - wtedy miałby jednak zostać ogłoszony stan klęski żywiołowej. Wybory prezydenckie miałyby zaś się odbyć w sierpniu lub nieco później - i zostać połączone z wcześniejszymi wyborami do Sejmu i Senatu. Te ostatnie byłyby próbą ucieczki PiS do przodu po stracie większości w parlamencie na skutek woty Gowina.

Mysł państwa, że dziennikarze puścili się poręczyć? Ależ skąd - wszystkie te sprzeczne, zawiłe i wątpliwe prawnie koncepcje naprawdę krążyły w obozie władzy. Politycy z poszczególnych jego ośrodków i frakcji opowiadali o nich ze szczerą zapalem, wierząc, że to właśnie im udało się znaleźć sposób na wyciągnięcie rządzącej formacji z kłopotów. Tak właśnie

wyglądają próby zarządzania kryzysem podejmowane tam już nie za pięć dwunastą, tylko raczej bliżej zmierzchu.

Pomysł z wysyłaniem ustawy do TK forsowali tzw. „harcerze”, czyli młodzi i uchodzący w PiS za technokratów politycy z zaplecza premiera Mateusza Morawieckiego. Koncepcja z dymisją Dudy to pomysł tej części gowinowców, którzy zdecydowanie woliliby, żeby wszystko się zmieniło, ale tylko po to, żeby było, tak jak było. Wybory w sierpniu razem z wcześniejszymi wyborami parlamentarnymi - to plan awaryjny Nowogrodzkiej na wypadek, gdyby zawałiła się cała konstrukcja koalicji. Ucieczka na z góry upatrzone pozycje może być dla PiS i tak nie najgorszym wyjściem na czasy kryzysu gospodarczego zapoczątkowanego epidemią - ile czyściejście miałyby się spełnić te czarniejsze z prognoz.

Cały chaos z wyborami PiS zawdzięcza własnemu uporowi. Uporowi wbrew faktom i realiom. Cofnijmy się do lutego. W PiS wszyscy wtedy wierzą w życzeniową wersję, według której koronawirus miał być „tylko grypa” - nie wahają się tego mówić w mediach najważniejsi urzędnicy państwowi odpowiedzialni za zdrowie publiczne. To wtedy Jarosław Kaczyński mówi po raz pierwszy w szerszym gronie, że o żadnym przesuwaniu wyborów nie ma mowy. Mateusz Morawiecki dostaje natomiast od szefa partii za-

danie przeprowadzenia popisu sprawności władzy. Polska ma sobie błyskawicznie poradzić z epidemią bez żadnych zbędnych ceregieli - za to z zamknięciem granic i otoczeniem kraju kordonem sanitarnym. Koronawirus ma być przedstawiany jako zagrożenie z zewnątrz - a działające jak szwajcarski zegarek polskie państwo ma je zneutralizować. Wybory nie są zagrożone - należy to jak najczęściej powtarzać, do maja dawno o wszystkim zapomnimy.

4 marca w Polsce zostaje stwierdzony pierwszy przypadek koronawirusa. Bardzo szybko pojawiają się nowe - w wielu różnych miejscach Polski i o sporym potencjale epidemicznym. Błyskawicznie staje się jasne, że wirus nie jest już zagrożeniem z zewnątrz, tylko rozprzestrzenia się bez większych problemów w całym kraju. Jednocześnie na północy Włoch rozgrywa się dramat, który całkowicie obala teorię o „tylko grypie”. Robi się groźnie.

Od połowy marca w Polsce obowiązują de facto różne formy stanu wyjątkowego - wprowadzane są kolejne drastyczne ograniczenia. Równolegle zostaje uruchomiona narracja, że o żadnym stanie nadzwyczajnym nie ma mowy - tu już chodzi wyłącznie o wybory i o to, by wprowadzenie takiego stanu nie odsunęło ich o trzy miesiące. PiS uruchamia także operację z ustawą o wyborach kopertowych - po to, by odsunąć oskar-



FOT. ADAM JANIKOWSKI

tyce z pewnością będzie musiał za to zapłacić

żenia o ryzykowanie życia obywateli.

To forsowanie wyborów za wszelką cenę rodzi napięcia w samej Zjednoczonej Prawicy. Choć w PiS nie ma nikogo odważnego, kto wyszedłby przed szereg i ogłosił, że nie zgadza się na hierarchię priorytetów stawiającą wyżej od elementarnego bezpieczeństwa obywateli interes polityczny obozu władzy, robi to Jarosław Gowin. Kiedy jego propozycja dogadania się w tej sprawie z opozycją i przesunięcia wyborów nie zostaje przyjęta, Gowin podaje się do dymisji. Staje się jasne, że Porozumienie może ostatecznie zagłosować przeciw ustawie o wyborach kopertowych - wtedy, gdy wróci ona z Senatu.

Wtedy koalicja Zjednoczonej Prawicy zaczyna się chwiać. Jarosław Kaczyński staje przed realnym zagrożeniem utraty większości w parlamencie. Gdyby doszło do tego w tak priorytetowej dla PiS sprawie jak głosowanie nad wyborami kopertowymi, nawet bez zerwania koalicji mogłoby to być początek końca. Taki popis niesubordynacji ze strony Porozumienia uruchomiłby inne siły odśrodkowe i mechanizmy frakcyjne w obozie władzy. Autorytet prezesa PiS zostałby boleśnie podważony - sam PiS mógłby zaś stać się zakładnikiem swych koalicjantów - ciągnących każdy w inną stronę. Jednocześnie zaś coraz wyraźniejsza staje się wizja Gowina zupełnie zmieniającego

front. W zamian za zablokowanie wyborów kopertowych i zmianę flag, opozycja zamierza zaoferować mu funkcję Marszałka Sejmu. Pojawiają się spekulacje o zmianie władzy w trakcie kadencji i o koalicji „wszyscy przeciw PiS”. Z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego to coś, o czym nie powinno się nawet myśleć.

Gowin jak najbardziej miał i ma wystarczającą siłę, by zatrzęść koalicję. Większość Zjednoczonej Prawicy w Sejmie opiera się na zaledwie 4 posłach powyżej minimalnej liczby 231. Tymczasem Porozumienie ma 18 posłów i dwóch senatorów, co jednak wcale nie znaczyło, że Gowin mógłby liczyć na podobną liczbę głosów. Nie pomógłby Gowinowi z pewnością Adam Bielan, formalnie członek Porozumienia, jednak o szczególnym statusie w PiS pozwalającym mu na przykład na prowadzenie kampanii Andrzeja Dudy. Otwarcie przeciwko Gowinowi wystąpili między innymi Jacek Żalek i Zbigniew Gryglas. „Zdrada” tego pierwszego musiała być dla Gowina bolesna - Żalek stał przy Gowinie jeszcze w czasach Platformy. Gryglaś zaś - aktywnie przeciągającego posłów Porozumienia na stronę PiS - spotka nieoczekiwana kara. Jednym z elementów układu zawartego przez Gowina z Kaczyńskim ma być jego odwołanie z funkcji wiceministra aktywów państwowych. Porozumienie zamierza

też usunąć go ze swoich szeregów.

Losy głosowania w sprawie wyborów kopertowych ważyły się aż do ostatniego spotkania Gowina z Kaczyńskim. Jeśli pełną lojalność wobec Gowina zachowałaby dokładnie połowa jego posłów, czyli dziewięć, Zjednoczona Prawica nie miałaby już większości w parlamencie. Teoretycznie stałoby się tak nawet, gdyby oprócz Gowina na skok w nieznaną zdecydowała się tylko czwórka jego partyjnych towarzyszy.

Zawarcie przez Gowina rozejmu z Kaczyńskim, którego - warto zauważyć - wynikiem było ogłoszenie przez obu panów przyszłego wyroku Sądu Najwyższego, odsuwa wprawdzie wybory w czasie, nie kończy rozgrywki wewnątrz koalicji. Ostatnie dwa, trzy tygodnie w szeregach Zjednoczonej Prawicy były bardzo brutalną wewnętrzną przepychanką. Na linii PiS - Porozumienie iskrzyć będzie jeszcze długo. Akcja przerw w wyborach i a Gowinowych posłów przyniosła pewne skutki, w tej chwili Gowin nie może być pewien co do postaw wśród swoich posłów. Kaczyński zmuszony był do ustąpienia w sytuacji bliskiej szantażu - prezes PiS zawsze prędzej czy później każe za coś takiego zapłacić. Potulne wobec Nowogrodzkiej media tylko czekają na kolejny rozkaz otwarcia ognia.

Zaznaczmy przy tym, że gdy Gowin zmagał się z Kaczyńskim, Zbigniew Ziobro i Jacek Sasin (każdy z nieco innych powodów i z innej perspektywy) liczyli na maksymalne osłabienie Mateusza Morawieckiego. Dla Sasina drogą do pełnej autonomii miała być organizacja wyborów kopertowych, którą nie dość, że po całosci położył, to jeszcze nie zdała się na nic - co ponoć sprawiło, że Sasin zamiast triumfować znalazł się w niełasce u Kaczyńskiego. Ziobro przeliczył się natomiast co do nadwyższenia pozycji Morawieckiego. Ale nic nie zostało domknięte ani dopowiedziane. Otwarte konflikty zjeżdżają najwyżej na poziom walk buldogów pod dywanem.

Wybory odbędą się za kilka-kilkanaście tygodni. Nie wiemy, jak będzie do tego czasu kształtować się sytuacja epidemiczna, w jakim stopniu - i czy w ogóle - zdołamy wrócić do względnie normalnego życia. Nie mamy pewności, według jakiego prawa zostaną przeprowadzone. Nie można wykluczyć, że PiS już szykuje kolejną wersję ustawy o wyborach kopertowych - choćby ze względu na oczywiste błędy i luki w tej już przegłosowanej. W najbliższym czasie wewnątrz Zjednoczonej Prawicy zapewne na chwilę zapanuje spokój, jednak im bliżej wyborów, tym gorętsza może tam być atmosfera.

Tam, gdzie jest strach, tam też pojawiają się irracjonalne zachowania

Grzegorz Ignatowski
redakcja@polskatimes.pl



Felieton

Gdy zabierzemy się za dokładne opisywanie historii obecnej pandemii, trzeba będzie odnotować wiele chlubnych postaw. Chociażby lekarzy, którzy nie szczędząc swojego zdrowia, twardo jechali do pracy. Okazywana wdzięczność, zwłaszcza w sposób zbiorowy, może być zawodna. Nie brak też poważnych obaw, że pojawią się pod ich adresem oskarżenia. Niestety, przyjdzie nam też wspomnieć o tych wszystkich, którzy chcieli się na pandemii dorobić. Chociażby o indywiduach rekomendujących wystraszoną ludzkość specyfiki mającej skutecznie zwalczać wirusa SARS-CoV-2.

Niechybnie nie zapomnimy o tych, co robili kariery zawodowe, zdobywali kolejne stopnie kariery zawodowej. Być może okaże się, niejaki Lutek Danielak z filmu „Wodzirej” to mały pikus wobec niektórych współczesnych postaw. Zresztą, trzeba przyznać, że w zamierzonych czasach nie brakowało pospolicich oszustów. Zatrzymajmy się na rodzimym podwórku. Na początku XVIII w. w okolicach Ostrowca Świętokrzyskiego pojawił się niejaki Antoni Jacewicz. Za symboliczną opłatą skrapiał ludzom głowy, aby mogli zyskać odpuszczenie grzechów. Sporo kosztowało też przyrządzane przez niego antidotum. Czy nie było warto zapłacić, aby po wypiciu nieznanego specyfiku, móc na nowo tryskać zdrowiem? A że w tym czasie szalała w okolicy zaraza, nie brakowało tych, co ochoczo opróżniali sakiewki. Naiwnym ludziom nie ma się co dziwić.

Tam, gdzie mamy do czynienia ze strachem, tam też pojawiają się irracjonalne zachowania. Uwidaczniają się one szczególnie w sytuacji pandemii. Dobrym przykładem jest antyczny Rzym. Historia wspomina Rzymianina rozprowadzającego w czasach zarazy Antoninów cudowne amule-

ty. Należało je zawiesić na drzwiach domu. Umieszczony na nich napis wzywał pomocy Apollina. Przez jedynych był uważany za bogą piękną, sztuki i poezji, a przez innych za bóstwo nągłej śmierci. Jego synem był Asklepios, mający władzę nad życiem i śmiercią. Ciekawe, że o przedsiębiorczym Aleksandrze milczą podręczniki do historii. Nie znajdziemy o nim też wypo- wiedzi w encyklopediach. Niemniej wiemy, że zajmował się wróżbiarstwem, doradzał namiestnikom i senatorom, chciał wprowadzić kult nowego bóstwa. W czasach pandemii strach ma wielkie oczy.

Bez trudu znajdziemy łatwowiernych ludzi magazy- nujących żywność i medyczne specyfiki. Nietrudno też rozpowszechnić plotkę. W 1321 r. w południowo- zachodniej Francji nagle wybuchła panika. Jakże łatwo było ją wywołać, skoro w okolicy panoszył się trąd. Bez trudu znaleziono winnych. Byli nimi trędowaci z okolicznych miast i miasteczek. Zostali schwytani i spaleni. Ciekawe, z jakiego powodu mieliby zatruwać studnie. Tłumaczono, że z zazdrości i chęci zdobycia władzy w okolicznych miastach. Logika takiego myślenia sprowadza się do prostej kalkulacji. Skoro my zostaliśmy zarażeni, niech to samo nieszczęście spotka innych. Minęły trzy miesiące, a panika ogarnęła całe okolice Tuluzy i dotarła do Hiszpanii. Władzący dużymi połaciami dzisiejszej Hiszpanii Jakub I Zdobywca nakazał zamykać wszystkich trędowatych. Nie było wyjątków. Król oddalił nawet zakażoną żonę.

należy robić wszystko, aby przypadkiem nie doszło do stygmatyzowania ludzi zakażonych koronawirusem

Zarówno osób chorych, jak i tych, którzy opiekują się nimi, a więc lekarzy i pielęgniarki

Okrutniejszy był król Francji, Filip V Wysoki. Nakazał zamykać i tortuować w więzieniach trędowatych. Być może jednak nie trzeba odwoływać się do psychologii strachu, aby wyjaśnić surowe działania władców. Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Majątki ludzi dotkniętych trędem były konfiskowane. Warto pokusić się o kilka komentarzy. Filip V Wysoki, król Francji i Nawarry, jak przeczytamy w licznych podręcznikach, zmarł po wypiciu wody z zanieczyszczonej studni. Co za ironia losu.

Tom Philips w książce zatytułowanej „Krótka historia wciskania kitu” zaznacza, że spiskowa teoria o zatrutowaniu studni przez trędowatych niebawem zmutowała. Nagle winnymi przestali być trędowaci. Zostali nimi Żydzi i muzułmanie. W Europie zaczęła szaleć dżuma. A zatem nietrudno było znaleźć nowych winowajców. Tymczasem przy okazji warto zatrzymać się przy trądzie. Jest to kolejna epidemia, która przez wieki dziesiątkowała europejską ludność i budziła wśród nich strach. Jest on bakteryjną chorobą zakaźną. W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku chorowało na nią ponad pięć milionów ludzi. Dzisiaj jest chorobą, z której można się wyleczyć. Według Światowej Organizacji Zdrowia w 2017 r. odnotowano ponad sto dziesięćdziesiąt tysięcy przypadków. Trąd, ze względu na swoje objawy, zawsze powodował przerażenie wśród ludzi. Na skórze pojawiają się szorstkie, łuskowate wyrodnienia. Zakażeni tracą zmysł dotyku. Jakimś niewybrednym wyrazem realnego trądu jest jego bogata symbolika. Trędowaci przez wieki byli uważani za grzeszników. Powiedzieć o kimś, że był trędowatym, oznaczało, że był on co najmniej nieakceptowany. Trzeba wyeliminować z naszego języka takie powiedzenia, ze względu na straszne cierpienia ludzi dotkniętych trędem. Z tego też powodu należy robić wszystko, aby przypadkiem nie doszło do stygmatyzowania ludzi zakażonych koronawirusem. Zarówno chorych, jak i tych, którzy opiekują się nimi, a więc lekarzy i pielęgniarek. ©©

Andrzej Dworak
redakcja@polskatimes.pl

Wybory

Dyskutowana obecnie w Polsce forma wyborów za pośrednictwem poczty ma już zastosowanie w wielu krajach w Europie, a także na przykład w USA. I to od dawna - w RFN pierwszą taką możliwość stworzono obywatelom w 1957 roku i wówczas skorzystało z niej 4,9 proc. wyborców - w 2017 roku tę formę wybrało 28,6 proc. Najbardziej radykalniej do tej kwestii podszedł amerykański stan Oregon, gdzie od 2004 roku głosuje się wyłącznie korespondencyjnie. Od dawna też w wielu miejscach na świecie słychać głosy, że wybory trzeba przenieść do sieci.

Wówczas żaden koronawirus by nam nie zagroził, ale może jakiś inny - chiński, rosyjski czy nie wiadomo skąd stworzony przez hakerów już tak. Skoro jednak można zabezpieczyć wielkie transakcje dokonywane drogą elektroniczną, przyjdzie czas i na wybory. Póki co przyjrzyjmy się, jak wygląda gdzie indziej praktyka wyborów za pośrednictwem poczty.

Wybory dla każdego?

Zdecydowana większość krajów w Europie dopuszcza możliwość głosowania korespondencyjnego dla specjalnej grupy wyborców (niepełnosprawni, chorzy, przebywający w zakładach karnych) lub w nietypowych okolicznościach (np. obowiązki zawodowe za granicą). W Polsce od dłuższego czasu mogli oddawać głos w taki sposób niepełnosprawni, a technicznie przebiegało to bez problemów. Niepełnosprawny z odpowiednim orzeczeniem o swoim stanie zdrowia musiał się zameldować (telefonicznie lub (i) mejlowo) w swojej gminie u przedstawiciela PKW. Mógł też sam odebrać pakiet wyborczy (nie wychodząc nawet z samochodu, którym podjechał). Podczas ostatnich wyborów parlamentarnych zamawiał pakiet, który dostarczał mu kurier. Kurier czekał na wypełnienie kart do głosowania lub przyjeżdżał ponownie o umówionej porze, żeby je odebrać w zamkniętej kopercie.

Metody dostarczania pakietów wyborczych są w różnych krajach różne, ale w sumie cechuje je duża elastyczność i rozsądne podejście do wyborcy. Na przykład podczas ubiegłorocznych wyborów europejskich w niektórych krajach - w Niemczech - można było zamówić dostarczenie pocztą pakietu wyborczego na wskazany adres za granicą, a następnie odesłać



15 kwietnia odbyły się wybory tradycyjne w Korei Południowej - przy reżimie sanitarnym

go, uiszczając odpowiednią opłatę za znaczki. Z terenu RFN przesyłki były bezpłatne.

W Niemczech, Hiszpanii czy w Wielkiej Brytanii wystarczyć złożyć odpowiedni wniosek, by mieć możliwość głosowania korespondencyjnego. Na Wyspach Brytyjskich to wyborca może zdecydować, czy chce w ten sposób zagłosować w konkretnych wyborach (lokalnych, krajowych lub do Parlamentu Europejskiego), czy też przyznać sobie taką możliwość na stałe.

Szwedzi umówili się, że miejsce zamieszkania na wsi też jest przyczyną zezwalającą na głosowanie korespondencyjne. Najchętniej z metody pocztowej korzystają w Europie Szwajcarzy - tak głosuje ok. 80 proc. uprawnionych do udziału w wyborach.

Generalnie wygląda na to, że rządzący raczej nie mają w zamiarze utrudnianie swoim wyborcom brania udziału w głosowaniu. Odwrotnie - sposób korespondencyjny ma powiększyć frekwencję. Jednak ponieważ do końca nie można stwierdzić, czy wyborca sam głosował (oświadczenie nie zabezpiecza tego przecież całkowicie), a u naszych zachodnich sąsiadów zdarzyły się dwukrotnie protesty wyborcze i musiał je rozstrzygać tamtejszy Trybunał Konstytucyjny, niemieckie władze dopuszczają do 2008 roku tylko głosowanie korespondencyjne za odpowiednim umotywowaniem. Po 21 marca 2008 roku jest ono dostępne dla wszystkich. Wspomniane protesty niemiecki trybunał odrzucił ze względu

na to, że jego zdaniem wyższą wartość od ewentualnych nadużyć ma szansa na bardziej powszechny udział obywateli w wyborach pocztowych, czyli na większą frekwencję. A zatem liczą się w demokracji nie tylko tajność i zabezpieczenie prawidłowości wyników, ale także takie względy jak szerokie uczestnictwo w demokratycznym procesie oraz... wygoda. W tym ostatnim nikt nie przebije Amerykanów.

Jak to się robi w Ameryce

Jedna z gazet w USA zamieściła symboliczne - inscenizowane - zdjęcie przedstawiające wyborcę w samochodzie wrzucającego kopertę z kartą do głosowania do urny ustawionej przy ulicy - podjeżdżasz, uchylasz boczną

szybę i wrzucasz swój głos bez wysiadania z auta. To tylko demonstracja pewnej tendencji i reakcja na sytuację pod panowaniem pandemii, ale skoro w Ameryce wymyśliли samochodowe kina, drive thru i samochodowe kościoły, kto wie, do czego dojdzie.

W wyborach w Ohio kandydatów na prezydenta partii demokratycznej zwyciężył Joe Biden i to zwycięstwo nie było żadną niespodzianką ze względu na wycofanie się Berniego Sandersa. O wiele bardziej interesującą kwestią okazało się pytanie, jak przebiegło głosowanie przeprowadzone tylko drogą korespondencyjną. Na tyle dobrze, że niektórzy gubernatorzy są za wyborami prezydenckimi w listopadzie, które by się dokonały tylko za pomocą poczty.

W Ohio obowiązywał zakaz wychodzenia z domów, więc wybrano sposób przez pocztę. Wybory się odbyły, ale przy frekwencji o połowę niższej od tej w 2016 roku. Jednak dla władz stanu i tak był to bardzo dobry wynik, zważywszy na okoliczności. Kilka raportów mówiło o nieprawidłowościach, lecz żadne z nich nie miały wielkiego wpływu na przebieg i wynik głosowania. Kilku wyborców złożyło skargi, że pakiety wyborcze nie dotarły do nich na czas. Jednak w obliczu zagrożenia wirusem decyzyjnie o przeprowadzeniu wyborów wstępnych jest oce-

Najchętniej z metody pocztowej korzystają w Europie Szwajcarzy - tak głosuje ok. 80 proc. uprawnionych do udziału w wyborach

niana jako słuszna. Ken Bleckwell, prezes fundacji International Foundation for Electoral Systems, która pilnuje praw obywateli do wolnych wyborów, zapowiedział, że głosowanie listowne w Ohio jest dobrym wzorem na przyszłość. Zostało zarządzone w ostatniej chwili - pierwotnie miało się odbyć 17 marca, lecz na kilka godzin przed otwarciem lokali wyborczych zostało przesunięte ze względu na pandemię na 28 kwietnia. Gubernator Mike DeWine powołał się na zdrowotną sytuację kryzysową i zarządził, że do 2 czerwca nie będzie wyborów z osobistą obecnością głosujących w lokalach wyborczych. Kilku innych gubernatorów zaczęło od razu wysuwać propozycje, żeby w listo-

padzie wybierać prezydenta USA także podczas głosowania korespondencyjnego - przy gwałtownych protestach Donalda Trumpa, który wie z sondaży, że wyborcy demokracji są bardziej otwarci na głosowanie pocztowe niż wyborcy republikanów. Jedni i drudzy mają od 2000 roku możliwość głosowania korespondencyjnego - ale nie we wszystkich stanach bez podawania uzasadnienia. Regulacje wyborcze są w USA rozłożone różnie: Oregon i stan Waszyngton oferują wyłącznie wybory korespondencyjne, w Teksasie, Arkansas, Luizjanie, Tennessee, Indianie i Zachodniej Wirginii trzeba dostarczyć uzasadnienie, ale w tych stanach obywatele mogą również oddawać głosy jeszcze przed ustalonym dniem wyborów - bo lokale wyborcze są otwierane na dwa, a nawet cztery tygodnie przed urzędowym terminem. W New Jersey głosować wcześniej nie można, ale istnieje możliwość wyborów korespondencyjnych - i tak dalej... To cała mozaika wyborcza, z której wynika naczelną zasadą - obywatelu, robimy to wszystko dla ciebie, głosuj tak czy siak, ale wybieraj tych, którzy będą tobą rządzić.

Europejczycy są trochę mniej elastyczni od Amerykanów. We Francji wybory korespondencyjne zostały zniesione w latach 70., ponieważ francuscy listonosze należeli wtedy w znacznej części do komunistycznych związków zawodowych i istniała groźba wyborczych manipulacji.

Austriacy zmienili 1 lipca 2007 roku konstytucję i mają prawo do głosowania korespondencyjnego bez uzasadnienia. W latach 1990-2007 można było głosować przez pocztę, ale wymagano potwierdzenia prawidłowości oddanego głosu przez innego obywatela Austrii. Wiadomo, zaufanie rzecz dobra, kontrola jeszcze lepsza. Teraz wystarczy tylko własnoręczny podpis na karcie do głosowania.

Jako pierwszy kraj na świecie Estonia dopuściła i przeprowadziła 16 października 2005 roku głosowanie przez internet. Wynik - 20 proc. głosów oddanych elektronicznie - był rozczarowujący. Ale już w roku 2015 udział internetowych wyborców wzrósł do 1/3 ogółu oddanych głosów.

Wracając do Ameryki, zaawansowani w świecie wirtualnym Amerykanie twierdzą, że bezpieczne głosowanie internetowe w dzisiejszych warunkach jednak nie jest możliwe. Jako szczyt udogodnień pozostaje pocztą.

Poruszająca historia nauczycielki muzyki, wybitnej pianistki:

Z każdym dniem słyszałam coraz gorzej! Bałam się, że już nigdy nie wrócę do muzyki. Liliana (52 l.)



Przeciwstawiła się postępującemu ubytkowi słuchu i uniknęła całkowitej ciszy, a do tego wyostrzyła zdolność słyszenia do tego stopnia, że dziś słyszy najdrobniejszy dźwięk nawet 2x głośniej i wyraźniej, niż przed zastosowaniem innowacyjnego urządzenia. Liliana jest jedną ze 162 900 osób w Europie, które dzięki inteligentnemu wspomaganii pokonały problemy z odbieraniem dźwięków w mniej niż 16 dni.

Muzyka od 26 lat nadaje sens mojemu życiu. Gram na fortepianie, komponuję, startuję w konkursach, a na co dzień nauczam innych w szkole muzycznej. Gdy mój słuch zaczął słabnąć, byłam załamana. Najpierw coraz mniej wyraźnie słyszałam ciche dźwięki, potem już miałam trudności z rozumieniem tego, co ktoś do mnie mówi, a kariera muzyczna stała pod olbrzymim znakiem zapytania. Specjaliści rozkładali ręce, a zwykłe aparaty słuchowe pomagały jedynie na chwilę – po kilku tygodniach musiałam sięgać po kolejny, silniejszy i jeszcze większy 'wkład' do ucha. I nie wiem jak dziś wyglądałoby moje życie, gdyby zaprzyjaźniony specjalista nie polecił mi tego wspaniałego, innowacyjnego systemu wspierającego słuch. Małeńki aparat, który swoją skutecznością przebił wszystko – w zaskakująco krótkim czasie przywrócił mi mocny, wyraźny słuch – wspomina Liliana i nie ukrywa wzruszenia opowiadając o nowator-

skiej technologii, która skutecznie poprawiła jej słuch w krótkim czasie.

Możliwe efekty już po kliku zastosowaniach innowacyjnego systemu poprawy słuchu:

- Śpiew ptaków, szum wiatru, karetkę przejeżdżającą za oknem i inne odgłosy z otoczenia możesz usłyszeć wyraźniej i głośniej nawet o 87%.
- Prawdopodobnie pozbędziesz się szumów usznych, uporczywego świszczania i dudnienia w uszach.
- Zyskasz szansę na swobodne prowadzenie rozmowy z wieloma osobami na raz, np. przy świątecznym stole.
- Możesz wyraźnie wzmocnić słuch i poprawić jakość słyszenia.

2x mocniejszy słuch bez żadnych zakłóceń

„Jeszcze kilka miesięcy temu byłam przerażona i całkowicie pewna, że niebawem stracę słuch. Dziś słyszę głośniejsze, wyraźniejsze, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Zawdzięczam temu wzmacniaczowi doskonały słuch, powrót do normalnego życia i kolejne nagrody w konkursach muzycznych”.

Wzmocnij słuch i popraw komfort komunikacji z otoczeniem

U Liliany problem z nerwem słuchowym był już bardzo zaawansowany – specjaliści przyznają, że to najskuteczniejsza metoda, która mogła przywrócić jej zdolność słyszenia. Dopiero pionierski wzmacniacz słuchu – ze względu na inteligentne działanie aż na 4 płaszczyznach jednocześnie – był w stanie poprawić słuch i wzmocnić wszystkie dźwięki. Od kilku miesięcy technologia ta dostępna jest także w Polsce do użytku prywatnego, co może oznaczać, że już wkrótce nikt nie będzie skazany na całkowitą ciszę, postępujące zaburzenia słuchu, szumy uszne i trudności w komunikacji z otoczeniem.



PIONIERSKI SYSTEM AUDIALNY już w Polsce!

Poprawia jakość słyszenia na 4 poziomach, dzięki czemu może:

- 1 Wzmocnić funkcję słyszenia selektywnego (lepsze słyszenie jednych dźwięków na tle innych).
- 2 Wyostrzyć mowę ludzką - w tym również szeptu i głosów dochodzących z za pleców.
- 3 Wspreczyć regenerację nerwu słuchowego i polepszyć transmisję dźwięków do kory mózgowej.
- 4 Zminimalizować zakłócenia, szumy uszne, piski, dudnienia i brzęczenia w uszach.

Efekty odczuwalne od
1. zastosowania

Co sprawiło, że... Poprawiła słuch w mgnieniu oka i znów siada za fortepianem?

TY TEŻ MOŻESZ UNIKNĄĆ CAŁKOWITEJ CISZY – sięgnij po BEZPŁATNY WZMACNIACZ SŁUCHU!



- Dyskretny i całkowicie niewidoczny w uchu
- Lekki i dziecinnie prosty w obsłudze
- Komfortowy – nie uwiera i nie uciska
- Trwały i wydajny – możesz korzystać z niego 24 godziny na dobę



49/50 przebadanych osób potwierdziło, że działanie nowatorskiego wzmacniacza słuchu **przekroczyło** ich oczekiwania

Niezawodny słuch – to możliwe nawet po 60-tce!



Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę słyszeć tak mocno i wyraźnie. Od pierwszego założenia tego urządzenia nie mogę się nadziwić, jak bardzo poprawił się mój słuch. Inne metody nigdy nie dały mi takiego efektu wyostrenia każdego pojedynczego dźwięku. Rewelacja.

Jadwiga, 62 lata, Wałbrzych

Koniec z ciągłym: „możesz powtórzyć?”



Przestałem dopytywać każdego co przed chwilą powiedział, nie muszę już się wstydzić ani czytać z ruchu warg. Słyszę wszystko bardzo dokładnie. Komfort życia z tak mocnym słuchem jest nie do opisanania.

Waldemar, 53 lata, Białystok

Regulamin - rglnmncmk.com

Pierwszy tak inteligentny system poprawy słuchu

„Inteligentny mikroprocesor zminimalizuje szumy uszne, poprawi słuch, sprawi że zaczniesz słyszeć wszystko głośniejsze, a do tego bez trudu oddzielisz głosy w tłumie. Możesz słyszeć wyraźnie każde słowo wypowiedziane także szeptem czy przez telefon i bez żadnych komplikacji zaczniesz porozumiewać się z bliskimi i każdą osobą w Twoim otoczeniu” – potwierdza Michał Terlikowski – specjalista z zakresu laryngologii, który na co dzień – przy użyciu nowej technologii – poprawia słuch setek osób w Klinice Perfekcyjnego Słyszenia.

Absolutny HIT – skuteczny nawet przy postępującej ciszy

Badania pokazują, że z dnia na dzień coraz więcej kobiet i mężczyzn rezygnuje z przestarzałych metod na rzecz innowacyjnego systemu wzmacniania słuchu, który uchronił przed ciszą m.in. bohaterkę dzisiejszej historii, Lilianę. Fakt, że nowatorski patent wzmacnia zdolność słyszenia nawet 2-krotnie może wzmocnić ich zdolność słyszenia oznacza, że każdy – bez względu na przyczynę pogorszenia słuchu – może maksymalnie wyostrzyć zdolność słyszenia i zminimalizować zakłócenia już po 1. zastosowaniu.

Zasługujesz na PROFESJONALNE WSPARCIE SŁUCHU

Pierwsze 100 osób, które zadzwonią do 29.05.2020 r.,
otrzyma 100% REFUNDACJI PRODUCENTA

ZADZWOŃ: 48 685 15 68



SZYBKA WYSYŁKA!

pon.-pt. 08:00-20:00, sob.-nd. 09:00-20:00.
Zwykłe połączenie lokalne bez dodatkowych opłat.

Listonosze są jak detektywi.

Wiedzą o nas więcej, niż nam się wydaje

Dorota Kowalska
d.kowalska@polskatimes.pl



Pocztowcy

Trochę przez przypadek znaleźli się w samym środku politycznej wojny i pewnie dlatego wielu z nas przypomniało sobie o listonoszach. Mijamy ich na ulicach, czasami zagadamy, czasami tylko wymienimy grzeczności. Oni sami częściej słuchają, niż opowiadają o sobie, bo ich praca to nie tylko roznoszenie listów czy przesyłek.

Pieszko, na rowerze, co raz częściej samochodem - wciąż trudno wyobrazić sobie świat bez listonoszy. Ci przedwojenni dobrze zarabiali, cieszyli się szacunkiem, przy pasie nosili pałkę - byli wszak funkcjonariuszami państwowymi, musi się bronić, gdyby ktoś napadł ich podczas pracy.

Dzisiaj z tym szacunkiem jest gorzej, chociaż na wielu wsiach czy w małych miasteczkach listonosz to wciąż osoba zaufana, której można zdradzić domowe sekrety, wyzalić się, wypłakać, a czasami po prostu zapytać o radę.

Świat ma co najmniej tysiąc wiossek i miast list w życiu człowiek pisze co najmniej raz

- śpiewali ponad 50 lat temu Skaldowie.

Piotr Saugut, 47 lat, przewodniczący NSZZ Listonoszy Poczty Polskiej. Na pocztę od 1996 roku. - Mówiąc szczerze, zostałem listonoszem trochę przez przypadek - opowiada. Wrócił właśnie z wojska, na pocztę przyjmowano wówczas na tak zwane zastępstwa. Był okres urlopowy, listonosze brali wolne, a listy i przesyłki trzeba było roznieść. Zaproponowano mu, żeby trochę popracował. Ludzie mieli do niego zaufanie, bo - jak mówi - do tego zawodu biorą tylko takich. Pracował w gmi-

nie Stare Kurowo i Strzelce Krajeńskie, a na wsiach listonosz jest drugi po księdzu.

- Jest nawet tym pierwszym - śmieje się - bo księdza nie wszyscy przyjmują, listonosza do domu wpuści każdy.

Wszyscy go znali, on znał wszystkich. Wiedział, co dzieje się w każdym domu, kto ma kłopoty, kto z kim sypia, kto do kogo chodzi. Ale tę wiedzę zostawiał dla siebie. To żelazna zasada w tym zawodzie: nie plotkować.

- Listonosz musi być trochę psychologiem, przynajmniej w małych miejscowościach. Ludzie chcą się wygadać, porozmawiać - tłumaczy.

Pamięta, wchodzi raz do jednego z obejść, a tu w progu trumna. Na wsiach taki był zwyczaj, że przed pogrzebem zmarli leżeli w domach, przychodziła rodzina, sąsiedzi - wszyscy się ze zmarłym żegnali. „Żona mi odeszła” - przywitał go gospodarz, zaprosił do stołu i opowiadał. Broda mu drżała.

- Wcześniej nie było takich podziałów politycznych jak dzisiaj, ale jednak były. W jednym domu psioczyli na lewicę, w drugim na prawicę, w trzecim na ludowców. Trzeba było zawsze tego pomstowania wysłuchać i przytaknąć, niezależnie od tego, jakie się miało poglądy - tłumaczy. Szedł do domu, w którym młodzi mieszkali ze starymi, nasłuchiwał się od starych, jaki to zięć leń, a śpioch, a nierób. Od zięcia, jacy to teściowie upierdliwi, a jacy chytry, a jacy ciekawscy.

- Samo życie - mówi. Kiedy pracował jako listonosz, poczta była też takim małym sklepem. Można było kupić na pocztę papierosy, gazety, proszek do prania. Pewnego razu zawiózł do jednego

z domów, w którym starsza kobieta mieszkała ze swoją córką i zięciem, list i karton papierosów dla mężczyzny. Zamieszanie się nagle zrobiło, ktoś jeszcze wszedł do sieni, zaczęła się dyskusja. Koniec końców, wrócił na pocztę i zorientował się, że nie wziął za te papierosy pieniędzy. Musiał zapłacić ze swoich, takie są zasady, a to było jakieś 50 złotych. Wrócił pod ten sam adres, ale zięć zarzekał się, że za karton zapłacił. Wszystkiemu przysłuchiwała się starsza pani. Wiedziała, jaka jest prawda. Babuśka biegiem pognęła do pobliskiego sklepu wszystkim po podłodze opowiadając, jak jej zięć listonosza oszukał. Następnego dnia, kiedy jechał przez wioskę, mężczyzna stał już przy drodze ściskając w dłoni 50-złotowy banknot.

- Przeprasił, opowiadał, że pieniądze spadły z łóżka, porwał je pies, jakąś śmieszna bajeczkę wymyślił, ale gotówkę oddał. Gdyby tego nie zrobił, wieś by mu żyć nie dała - wspomina Piotr Saugut. Bo na wsiach listonosz to człowiek powszechnie szanowany, poważany.

Innym razem przesyłki rozwoził motorem. Była wczesna wiosna, Noteć wylała, na polach stała woda. Droge, którą jechał, przysypał lekki śnieżyk, wpadł w poślizg, motor się przewrócił, wpadł do wody po pas. Wszystko zamokło: on sam i torba z listami. Doszedł jakoś do pierwszego domu. Ludzie dali mu ciepłe ubrania, listy, gazety, pieniądze powywieszali na sznurach, jak pranie.

- Mógłbym tak opowiadać cały dzień. Ta praca to codzienne kontakty z ludźmi, więc takich historii jest naprawdę sporo - przekonuje.

Ludzie zejdźcie z drogi, bo listonosz jedzie zamknij gaz, to co, że za granicą wujka masz

Zauważyłem, ale wszyscy listonosze to dostrzegają, że ludzie coraz mniej interesują się innymi, coraz mniej ze sobą rozmawiają

Podstawa miesięcznego wynagrodzenia listonoszy to 2470 zł brutto. 25 procent najlepiej zarabiających doręczycieli pocztowych osiąga pensję powyżej 2700 zł brutto. Miesięczna płaca jednej czwartej listonoszy jest niższa od 2310 zł brutto

Ludzie zejdźcie z drogi, bo listonosz jedzie hamuj, bo rower ten każdy tutaj dobrze zna dostaniesz od wujka list

Każdy listonosz rano melduje się na pocztę, tu odbiera wszystkie listy i przesyłki, które wymagają pokwitowania, pieniądze do przekazów, które musi dostarczyć danego dnia. Potem segreguje je według adresów i rusza w teren. Kiedy zakończy pracę, wraca do urzędu pocztowego i rozlicza się ze swojej pracy. Pisze raporty.

Podstawa miesięcznego wynagrodzenia listonoszy to 2470 zł brutto. 25 procent najlepiej zarabiających doręczycieli pocztowych osiąga pensję powyżej 2700 zł brutto. Miesięczna płaca jednej czwartej listonoszy jest niższa od 2310 zł brutto.

Jeden z listonoszy pisze na forum: „Pracowałem w wielu miejscach i nawet z tych „najgorszych” po czasie potrafiłem wyciągnąć jakieś lepsze wspomnienie, po półroczu spędzonym jako listonosz odkryłem, że tu nie mogę zna-

REKLAMA

159673994

PROMEDICA24

ZARÓB NAWET
9400 zł
NA RĘKĘ W 45 DNI

**CZeka NA CIEBIE
PRACĄ OPIEKUNA
SENIORÓW W NIEMCZECH**

SPRAWDŹ OFERTĘ

WARSZAWA 506 288 919



FOT. SZYMON STARNAWSKI / POLSKA PRESS

leżąc żadnego (jedynie niektórych ludzi z rejonu wspominam ciepło). Poczta to nadal twór archaiczny, zatęchły minionym systemem, który mógłby być lepszy, ale mu się nie chce. Gdy odejdą listonosze, którym już niedużo brakuje do emerytury, a takich jest 90 procent, wtedy poczta zapłaci rzewnymi łzami, bo nie robi nic, by tamci mieli następców. Ludzie uciekali po miesiącu, przeżeni nawałem pracy i obowiązków, i tym, jak nędzne za to wszystko dostaje się pieniądze. Ogromne rejony, naręcza listów i paczek poleconych, setki zwykłych, przekazy pieniężne, przesyłki z Chin, ulotki i sławna karma dla psów i kotów - trzeba

to wszystko roznieść w parę godzin, jeśli chce się wrócić do domu wcześniej niż na kolację. Ludzie w większości na rejonie byli okej, ale znalazło się kilka osób, które tylko czekały, by zmieszać cię z błotem, bo omyłkowo źle wrzuciłeś rachunek na prąd. Wieczne problemy z tabletami i sprzętem. Jestem akurat na emigracji i widzę tu postmana pracującego z uśmiechem, wyposażonego jak profesjonalista, gdy przypominę sobie znerwicowanego, wyglądającego jak łachmaniarz polskiego listonosza, to czuję odrazę do Poczty Polskiej, że na takie coś pozwala”.

Inny listonosz na tym samym forum: „Jestem osobą sumienną, odpowiedzialną, nie boję się ciężkiej pracy, ale praca na poczcie to kołchoz. Poczta to obóz pracy, a nie firma z uśmiechniętym listonoszem w reklamie. Na odzież ochronną nie licz, bo dostaniesz ją po dwóch latach, więc zdzierasz swoje buty, kurtki, spodnie, bluzki, bo w pracy musisz wyglądać schludnie (...) Idziesz w rewir bez przeszkolenia, nie masz nawigacji czy choćby mapy, więc wyczerpujesz swój internet i baterie w swoim prywatnym telefonie na szukanie trasy. Dziennie po 100 listów poleconych, paczki polecane, listy zwykłe, gazety, przekazy, reklamy (...). Praca

od godz. 7.00, nie wiadomo do której, bo jest nielimitowana: rozdasz przesyłki, listy, to wracasz i jak się rozliczysz z tabletu to jeszcze przekazy, sprzedaż i możesz spokojnie około godz. 18.00 wyjść do domu. Zjesz coś, umyjesz się i spać bo na nic innego po 11 godzinach pracy nie masz siły, a rano znowu trzeba iść do obozu pracy za 1700 zł miesięcznie. Tyrasz jakieś 250 godzin miesięcznie, dostajesz 6,80 zł na godzinę. PRACA GODNA POLECENIA”.

Ludzie jeżdźcie z drogi, bo listonosz jedzie ciężka jest od listów torba listonosza dziś.
Ludzie jeżdźcie z drogi, bo listonosz jedzie

może ktoś na ten list czeka kilka długich lat dostanie go może dziś

Marek (imię zmienione, bo szeregowi listonosze dostali zakaz wypowiadania się w mediach) - 21 lat pracy w zawodzie. Był tak zwaną „osobą z polecenia”, bo za jego czasów przyjmowali do pracy tylko sprawdzonych ludzi. Każdy listonosz miał w pokoiku na poczcie swoje biurko, na nim mógł leżeć list, którego wartość nadawca wycenił na 20 tys. złotych. Nie miał prawa zniknąć z tego biurka.

- Trafiłem na pocztę dosłownie na chwilę, no i ta chwila przeciągnęła się trochę - wrzusza ramionami, bo to „trochę” trwa już ponad 20 lat. Lubi swoją robotę: jest gadułą, cieszy go kontakt z ludźmi, dobrze się czuje w terenie, na świeżym powietrzu.

Dokładnie zna swoich klientów, wie, że pani Zosia zawsze wychodzi na zakupy o godz. 9.30, że starszy pan spod czwórki lubi się przed południem spacerować, a Witek, nastolatek z drugiego piętra swojego psa. Pamięta małżeństwo, które odwiedzał z pocztą i przesyłkami. Starszy pan był przekonany, że umrze przed żoną, śmiał się. „Panie Marku, tylko niech pan potem Jadzi nie robi kłopotów z moją emeryturą”. Stało się inaczej - to żona umarła pierwsza. Przychodził co miesiąc na pocztę po swoją emeryturę, posmutniały, skulony w sobie. Pewnego razu nie przyszedł. Minął dzień, drugi, potem trzeci.

- Zaniepokoiłem się, bo to było do starszego pana niepodobne. Powiedziałem naczelnicze poczty, że coś się musiało stać, że coś jest nie tak. Naczelniczka zadzwoniła na policję, policjanci wyważyli drzwi i weszli do domu tych państwa. Starszy pan nie żył, po prostu zmarł. Nikt się nie zorientował, nawet sąsiedzi, którzy mieszkali tuż obok - opowiada.

Lubi wszystkich swoich klientów: nawet tych złośliwych, uszczypliwych.

- Ludzie mają różne problemy, a my musimy być jak ta studnia. Nawet z żoną nie rozmawiam o swojej pracy, o tym, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami domów, a wiemy i widzimy sporo - wyznaje. - Wyrosło przy mnie jedno pokolenie, bo pamiętam, jak niektórzy się rodzili, a dzisiaj sami zakładają rodziny - dodaje.

Mówi, że w ich pracy najważniejszy jest czas i pogoda. Ma zegar w głowie. Wie, ile ma przesyłek, listów do rozwiezienia, wie, ile mu na to potrzeba czasu - raz może zatrzymać swój rower i porozmawiać z panem Wojtkiem, innym razem tylko pomacha mu ręką. Pogoda też naznacza jego dzień pracy: wiadomo, że kiedy pada deszcz, sypie śnieg - trudniej się przemieszczać, zawsze musi to brać pod uwagę.

- Zauważyłem, ale wszyscy listonosze to dostrzegają, że ludzie coraz mniej interesują się innymi, coraz mniej ze sobą rozmawiają. Kiedyś można było zostawić kilka przesyłek w jednym miejscu, sąsiedzi przyszedli do danej osoby i pozabierali, co ich. Dzisiaj to praktycznie niemożliwe. Zdarza się, że na pocztę przymaszeruje człowiek wkurzony o to, że zostawiłem coś dla niego u sąsiada, mimo że odebrał od niego nienaruszoną przesyłkę - Marek zapala papierosa.

Nie tylko to go irytuje. Nie lubi w tej pracy improwizacji, nie lubi braku decyzyjności, nie lubi chaosu.

- Takiego jak teraz, z tymi wyborami - macha tylko ręką.

Poczta ma kłopot. Wciąż nie wiadomo, kiedy dokładnie odbędą się wybory prezydenckie. Kiedy by nie były, Sejm przyjął projekt, który umożliwia przeprowadzenie wyborów korespondencyjnych i to listonosze mają dostarczać pakiety wyborcze do naszych domów. Nie są zachwyceni. Szaleje pandemia koronawirusa - oni też mają rodziny.

- Pamiętajmy, że listonosze to też są Polacy, którzy boją się o swoje zdrowie - mówił przewodniczący prezydium Związku Zawodowego Pracowników Poczty Sławomir Redmer.

I tłumaczył, że Poczta Polska nie jest w stanie dostarczyć wszystkim pracownikom środków zabezpieczających, pomimo „wielkich wysiłków i starań służb zaopatrzeniowych”.

- Dzisiaj listonosze operują takim terminem, że „ja mam w rejonie 1400 klamek”. Oni nie liczą, ile mają ludzi, mieszkań, klientów, tylko ile mają klamek. Liczą po prostu miejsca, w których muszą coś dotykać, czy z czymś się stykać - mówił Redmer. Pozostaje też pytanie, ile czasu będą mieli listonosze, aby dostarczyć wszystkim wyborcom karty do głosowania. Marek, który

pracuje w zawodzie ponad 21 lat, w ciągu ośmiu godzin pracy jest w stanie w dzielnicy domków jednorodzinnych rozdać około dwustu listów poleconych, a ma doświadczenie, zna ludzi.

- Kiedy słucham polityków, mam wrażenie, że wielu z nich nie wie, o czym mówi - konstatuje.

Ludzie listy piszą zwykle polecane piszą, że kochają, nie śpią, klną, całują się ludzie listy piszą nawet w małej wiosce listy szare, białe, kolorowe... kapelusz przed pocztą zdejm

Darek (imię zmienione), w zawodzie od ponad 20 lat. Szalało bezrobocie, szukał jakiejś roboty i wtedy spotkał kolegę, z którym chodził do szkoły. Mężczyzna pracował jako listonosz, powiedział mu, że na poczcie szukają ludzi do pracy.

- Zgłosiłem się, przeszedłem rozmowę kwalifikacyjną, wszystkie szkolenia i ruszyłem w teren - opowiada Darek. Ceni sobie swój zawód. Kiedy pracował w zakładzie, to brygadzysta organizował mu dzień, teraz sam sobie jest panem. Wie, ile ma pracy, wie, ile ma czasu - wszystko zależy od niego.

- Poza tym, mam kontakt z drugim człowiekiem i to mi odpowiada - mówi to, co wszyscy listonosze, bo w tym zawodzie trudno znaleźć takich, którzy nie lubią ludzi. Zawsze próbuje znaleźć czas na rozmowę, oczywiście, jeśli klient ma na nią ochotę, jeśli trzeba pocieszy, a przynajmniej wysłucha.

- To ciężki zawód, a bywa i niebezpieczny - mówi.

Pamięta, to były jego początki w zawodzie - musiał zaność pocztę do domu, wokół którego biegało stado psów. Posesja nie była ogrodzona. Przez pierwsze dni chodził w terenie ze starszym listonoszem, ten pokazał mu, gdzie

Przez pierwsze dni chodził w terenie ze starszym listonoszem, ten pokazał mu, gdzie mają drewniane drągi do obrony przed psami

mają przygotowane drewniane drągi do obrony. W ogóle z psami miał przynajmniej kilka przygód, bo innym razem wszedł na podwórko z paczką, wejście do domu było z innej strony, obszedł więc posesję i wtedy zobaczył leżącego na progu ogromnego owczarka niemieckiego.

- Zamarłem. Mamy szkolenia, podczas których uczą nas, jak się w takiej sytuacji zachowywać. Stałem bez ruchu, przez głowę przechodziło mi tysiące myśli. Dostrzegłem samochód właściciela, który stał tuż obok. Pomyślałem, że na niego wskoczę. Ale kolega, kierowca, zobaczył, co się dzieje i powolutku otworzył mi furtkę, którą za sobą zamknąłem. Krok po kroku, bez zbędnych ruchów zacząłem wycofywać się do tyłu - opowiada. Udało się, pies był zresztą łagodny. Ale innym razem znalazł się pod domem emerytowanego policjanta, który miał policyjnego psa. Starego druha - razem ścigali kiedyś przestępców. Nim się zorientował, leżał na ziemi, bo pies przewrócił go przednimi łapami, nad twarzą widział tylko jego oczy i pysk. Na szczęście owczarek miał założony kaganiec. Właściciel zauważył, co się dzieje, natychmiast wybiegł na zewnątrz i odciągnął psa. Przepraszal, był przekonany, że zwierzak jest w domu.

- Takie historie się zdarzają i trzeba być na nie przygotowanym - mówi Darek.

Jak wszyscy listonosze, czasami musi rzucić wszystko i ruszyć klientowi na pomoc. Tak było, kiedy przyniósł paczkę do jednego z domów w swoim rejonie. Gospodarzowi w zimie zamarzała woda w grzejniku, grzejnik pękł, ale dopóki było zimno, nic się nie działo. Tyle, że przyszła wiosna i grzejnik zaczął przeciekać.

- Kiedy wszedłem do domu, pokoje pływały, bo mężczyzna próbował ten grzejnik odkręcić i trysnęła woda. Nie miał mu kto pomóc. Odłożyłem torbę i zaczęliśmy razem naprawiać usterkę - wspomina.

Kilka tygodni później przeciw tego właśnie domu zepsuł mu się samochód, którym jeździł w pracy. Wyszedł mężczyzna od grzejnika i powiedział: „Kiedyś pan mi pomógł, teraz ja pomogę”. Okazało się, że jest mechanikiem samochodowym. Mówią, że dobro wraca.

Polska polityka weszła na kolejny poziom tragifarsy

Ta fiksacja na wyborach w momencie realnego zagrożenia i kryzysu odebrała powagę polskiemu państwu. Polskie elity polityczne nie zdały pierwszego prawdziwego testu, jaki miał miejsce od 1989 roku - mówi Bartłomiej Radziejewski, politolog i publicysta

Witold Głowacki
Twitter: @WitoldGlowacki



Rozmowa

Wróćmy jeszcze do rzeczywistości sprzed epidemii?

Trwa test tego, czy mamy do czego wracać. Ewentualnie, ile pozostanie nam tego, do czego chcemy wracać. Cały czas nie wiemy, z jak głębokim i długotrwałym kryzysem mamy do czynienia. Coraz więcej wskazuje na to, że to będzie jednak dłuższa przeprawa - i że czekające nas zmiany będą głębokie. I tak jednak nie wiemy, czy w stopniu skrajnym, czy raczej umiarkowanym. A to przecież ogromna różnica, czy obudzimy się w świecie zdestawostowanym gospodarczo i całkowicie przebudowanym politycznie, czy tylko w takim, który od tego, który dotąd znał, będą różniły jedynie pewne korekty. Wiemy za to na pewno, że zakwestionowane zostały pewne złudzenia, w których dotąd żyliśmy, spójniąc je nimbem naukowości.

Jakie to złudzenia?

Takie, że panujemy nad przyrodą. Albo takie, że panujemy nad przyszłością. Byliśmy cały czas bombardowani różnymi prognozami dających nam poczucie, że nauka i technika dają nam panowanie nad światem. Wśród tych prognoz były i te - formułowane przez naukowców z kilkunastu różnych krajów, od wielu lat - zapowiadające wybuch pandemii. Co z nimi zrobiliśmy?

Niewiele.

A często nic. Padają mity o randze wiedzy naukowej w świecie i o naszej zdolności do korzystania z niej. Politycy czy korporacje mający w rękach taką wiedzę, zbagatelizowali ją. A dlaczego? Na przykład z powodu kultu optymalizacji, o którym niedawno opowiadała Grzegorzowi Sroczynskiemu profesor zarządzania Monika Ko-

stera, mówiąc o sobie i swoich koleżankach i kolegach mniej więcej tak: „wciskaliśmy studentom i całemu światu pseudonaukę, wciskaliśmy im nieprawdę, że najlepszą drogą jest model optymalizacji kosztów”. Ale to właśnie ten model rządził w ostatnich dekadach gospodarką - i w firmach, i w instytucjach publicznych. Zakładano bowiem powszechnie, że realia, które miały miejsce w poprzednich latach, będą się powtarzać także w latach następnych. To zaś podstawowy błąd analityczny - taki sam, jak wnioskowanie, że skoro przez pięć dni świeciło słońce, to szóste go dnia nie spadnie deszcz. Na takiej podstawie - którą każda babcia z zapadłej wioski doby międzywojnia uznalaby za niedorzeczność - został jednak zaprogramowany cały świat - który także dlatego jest dziś aż tak bardzo bezradny wobec epidemii i powodowanego przez nią kryzysu.

To raczej mamy punkt wyjścia do kryzysu?

Marny. Wiele osób i wiele firm straci elementarną stabilność dlatego, że spodziewając się, że „słońce będzie świecić cały czas”, w oparciu o to zaplanowało swoją strategię biznesową czy swoje życie zawodowe i prywatne. Oni wszyscy znajdują się w trudnej sytuacji, będą domagać się zmian - czemu rządy będą próbowały wyjść na przeciw. Ale jak pan chce twardej prognozy...

...Oczywiście, że chcę...

...To jej nie będzie. Ja mogę mówić tylko o różnych możliwych scenariuszach. Nie potrafię natomiast jednoznacznie stwierdzić, jak niektórzy, że czeka nas na przykład 30-procentowa recesja.

Ani nawet, że jesienią będziemy jeść już tylko salceson?

(Śmiech). Dziś takiej wiedzy nie ma nikt. Wciąż wiemy za mało, by móc precyzyjnie prognozować skalę kryzysu. Mamy za to absurdalny kult kapłanów pseudowiedzy, któ-



Radziejewski: Znowu zwyciężyło myślenie „jakoś to będzie”

ra bardzo łatwo okazuje się nic nie warta. Dobrze prosperujący analitycy z różnych instytucji finansowych i publicznych ciągle nas epatują prognozami wzrostu gospodarczego - dokładnymi do 10. części procenta. Takie rzeczy mają oczywiście swoje zastosowanie w spokojnych czasach, te-

raz jednak sytuacja kompletnie się zmieniła - a tego typu prognoz nie sposób traktować poważnie. Rozumiem, że można na przykład prognozować, że recesja w Niemczech wyniesie od 14 do 21 procent w drugim kwartale. Ale jakim cudem ktoś miałby precyzyjnie wiedzieć, że skurczy się o 17,3

procenta albo o 17,7? To bzdura i pseudonauka. Współczesny świat temu zaufał - i mocno się na tym obecnie przejeżdża. Ignorowaliśmy twardą naukową wiedzę biologów czy epidemiologów, a jednocześnie wyznawaliśmy kult pseudowiedzy dającej nam poczucie panowania nad światem i przyszłością.

Mamy za swoje?

Ujawnia tu się głęboki problem filozoficzny. Może najlepiej to ujął Nassim Taleb mówiąc w swej „Antykruchości”, że „połowa życia nie ma nazwy” - bo całe połacie naszego poznania i doświadczenia są nieujmowalne w kategoriach współczesnej empirycznej nauki. Za to potrafią nam o nich opowiadać nasze babacie, które nam na przykład tłumaczą, że drzewo smagane wiatrem rośnie mocniejsze. Parafrazując tu zresztą akurat Senekę. Ryzyko i niepewność to takie obszary w naszym życiu, które po prostu wymagają pewnych ogólnych dyspozycji do tego, by sobie z nimi radzić. Nasz umysł ich w sposób precyzyjny nie obejmuje - a my nie bardzo potrafimy się pogodzić z tym, że rzeczywistość jest do pewnego stopnia nieprzewidywalna, zmienna i niepewna. To, co przytrafiło się - na własne życzenie - Zachodowi w ostatnich dekadach, to wręcz wyparcie takiej możliwości.

W tym kryzysie, który jest także kryzysem niepewności, polskie państwo akcją z wyborami tylko tę niepewność zwiększyło

A tymczasem to ten sam Zachód, który przecież relatywnie całkiem niedawno doświadczał wszystkiego, co przyniósł XX wiek - w tym dwóch wojen światowych i licznych pomniejszych, Holocaustu, wzrostu i upadków imperiów albo zimnej wojny. Czym jest w porównaniu

z tym wszystkim epidemia koronawirusa?

Już w tym pytaniu zawiera się przecież odpowiedź - oczywiście, że pandemia jest z tymi wielkimi kataklizmami nieporównywalna - przynajmniej na razie. Ale czy ostatecznie nie spełnią się te najbardziej pesymistyczne modele rozwoju epidemii mówiące o wielu milionach ofiar śmiertelnych w skali świata? Nasz problem wynika póki co z szoku, dezorientacji i grozy. O ile państwa i społeczeństwa Azji Wschodniej radzą sobie z epidemią znacznie lepiej - na pewno po części za sprawą doświadczeń z ery SARS i ptasiej grypy - o tyle dla Zachodu jest to przeżycie z zupełnie innej kategorii. Trzy największe państwa Unii Europejskiej mają prawie 100-krotnie wyższy współczynnik zgonów od niechińskich państw Azji Wschodniej. Dla Zachodu było to kompletne zaskoczenie, które zaowocowało najpierw zupełnym zlekceważeniem przeciwnika, jakim jest SARS-CoV-2, a następnie chaosem, paniką i desperackim zamykaniem krajów i ich gospodarek. Mieliśmy powszechne złudzenie, że w pełni panujemy nad naturą. I mimo wiedzy, że choroby zakaźne zabijają rokrocznie masowo ludzi na świecie, mieliśmy poczucie, że to nie może zdarzyć się u nas - owszem, gdzieś w Azji, Afryce, ale na pewno nie w Europie, nie w Stanach.

To odwieczny europocentryzm czy coś brzydszego?

Nie wykluczalbym tu też pewnego podtekstu rasistowskiego - kiedyś w zachodnim myśleniu wszechobecnego. Czytałem kiedyś relację brytyjskiego dowódcy badającego Australię, że to kraina niezamieszkała i gotowa do kolonizacji. On to mówił po poznaniu rdzennych mieszkańców Australii - po prostu nie widział w nich ludzi. Z racji doświadczeń historycznych w przeciwieństwie do Polski w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych rasizm był czynnikiem bardzo silnie kształtującym kulturę w momencie jej

największego rozkwitu. Być może więc to dziwne, ale mocne przekonanie, że epidemie są czymś naturalnym dla Azji czy Afryki, ale nie dla Zachodu, jest tego rasizmu jakimś pokłosiem. Na pewno natomiast jest w tym wielka pycha wynikająca z poczucia panowania nad wszystkim. W każdym razie oba te przekonania legły właśnie w gruzach - Europa i Stany Zjednoczone radzą sobie z epidemią znacznie gorzej niż Azja Wschodnia.

Co ciekawe, zobaczyliśmy właśnie, że w momencie kryzysu gwałtownie niknie charakterystyczna dla naszej kultury i epoki wiara w siłę pieniądza i niewidzialną rękę rynku, wszyscy zwracają się w kierunku państwa.

Owszem, widzimy dziś dość masowy zwrot w stronę rządów - to zresztą dość banalny mechanizm konsolidowania się w chwili zagrożenia wokół władzy - tej aktualnej, jaka by ona nie była. To się dzieje wszędzie i po jakimś czasie minie. Niemal na pewno jednak zostaną nam po tym na dłużej ślady - przede wszystkim w postaci zwiększenia roli państw narodowych kosztem instytucji międzynarodowych. W tej chwili jesteśmy trochę ofiarami sposobu, w jaki był ukształtowany współczesny świat - bardzo współzależny, mocno skompresowany i skurczony, opleciony potężną siecią wielopoziomowych powiązań i mobilności. To niesie ze sobą mnóstwo korzyści - przede wszystkim gospodarczych, ale także i ten określony koszt, że epidemia rozwijająca się gdzieś na drugim końcu świata, może wręcz błyskawicznie stać się zjawiskiem globalnym. Toczy się cała dyskusja wokół roli, jaką odegrała WHO, na czele kampanii przeciw tej instytucji stoi w tej chwili Donald Trump. Krytyce - mniej lub bardziej uzasadnionej - podlega też Unia Europejska. Jak dotąd na kryzysie bardzo tracą instytucje i struktury międzynarodowe, które w ostatnich dekadach uzyskały ogromną rolę, wzmacniając się zaś względnie państwa narodowe. Mówimy jednak o wzmocnieniu się na poziomie przede wszystkim politycznym - jeśli chodzi o realną sytuację, o walkę z kryzysem, o stopień, w jakim poszczególne państwa dotknie epidemia, to może być z tym bardzo różnie.

Jak na tym tle widzi pan sytuację Polski?

Na pewno trzeba zacząć od zdrapania pozłotki rządowej propagandy, bo ona bardzo wiele tu zaciemnia. Pierwszy przypadek zachorowania na COVID-19 stwierdzono w Polsce pięć tygodni później niż w Europie Zachodniej.

W ten sposób - razem zresztą z innymi krajami regionu - dostaliśmy od losu ogromną przewagę czasową. Wirus dotarł więc do nas znacznie później i mieliśmy okazję zareagować opierając się już na doświadczeniach innych krajów, nie tylko azjatyckich, ale i europejskich. W naszej części Europy rządy reagowały podobnie - ostrymi lockdownami. Była to u nas oczywiście bardziej walka młotkiem niż skalpelem, nie było jednak innej możliwości - polskie państwo bowiem żadnym skalpelem nie dysponuje. Użyło tego, co mogło - czyli młotka, także dzięki temu, że nie zrobiło tego jeszcze później mamy względnie niższą liczbę zakażeń. Już teraz jednak zaczynają się ujawniać granice tego postępowania. Widać już dość jasno, że pokonać tego wirusa nie jest wcale łatwo. Widać też, że odmrażamy gospodarkę akurat w momencie, w którym liczba zakażeń wcale nie spada. W efekcie wciąż nie możemy wykluczyć, że będziemy mieć całkiem niedługo jednoczesny kryzys gospodarczy i epidemiczny. Mamy znacznie mniej odporną służbę zdrowia niż Włosi - ona padłaby pod mniejszym naporem niż miało to miejsce w Lombardii.

Granica, która jest tu dość jasno wyznaczana przez lekarzy, jest liczba około 2 tysięcy pacjentów z koronawirusem jednocześnie wymagających wentylacji. Z maksymalnie mniej więcej tyloma chorymi w stanie ciężkim jest w stanie sobie poradzić polski system.

Z kolei dr Grzesiowski mówi o tej granicy na poziomie mniej więcej tysiąca nowych zachorowań dziennie, część ekspertów to kwestionuje.

Te dwie prognozy mają sporo wspólnego - wzrost zachorowań o 1000 dziennie prowadziłby właśnie do zapelnienia dostępnych miejsc na OIOM-ach.

Nie wiem tego zweryfikować, ale na pewno mamy mniej odporną służbę zdrowia niż Włochy, o Korei Południowej nie wspominając. W obrębie niej samej doszło do znacznej liczby zakażeń - zarówno personelu, jak i pacjentów, co wynika też z jej niedostatków systemowych, z tego całego odsyłania od okienka do okienka, od oddziału do oddziału, z wieloletowości. Tu więc kluczowe jest pytanie, co właściwie polski rząd zrobił z całym tym czasem, który został mu подарowany przez los, i który sobie kupił ostrym lockdownem kosztem wielkich strat gospodarczych. Jedną kwestią jest tu próba przeczołgania się przez pierwszą fazę kryzysu gospodarczego w sposób analogiczny do tego,

który przyjęły inne kraje Zachodu, czyli z pomocą potężnych zastrzyków finansowych, co zresztą - przynajmniej chwilowo - wydaje się działać. Drugą kwestią są natomiast próby łatania dziur w służbie zdrowia, przez tworzenie nowych oddziałów, czy zwiększanie dyscypliny wśród personelu. Tutaj podjęte działania są niewątpliwie potrzebne, ale w moim przekonaniu kompletnie niewystarczające. Podstawowe zmienne są więc nieublagane - w porównaniu z Europą Zachodnią mamy znacznie słabszą służbę zdrowia, znacznie mniej zasobne społeczeństwo i znacznie uboższe, zadłużone państwo. Jesteśmy więc znacznie bardziej podatni na wszystkie główne czynniki destrukcyjne występujące w tym kryzysie. Jeśli więc mówimy o kupowaniu czasu - to ten czas powinien zostać wykorzystany na zwiększenie naszej jako państwa i społeczeństwa odporności na nadchodzący kryzys epidemiczny, gospodarczy i polityczny. Z tej więc właśnie perspektywy ta cała fiksacja na majowych wyborach jest czymś wyjątkowo absurdalnym i kompromitującym nasze elity polityczne.

Jak drogo za to zapłacimy?

Zawsze możemy mieć wielkie szczęście. Może za miesiąc albo dwa nastąpi przełom w badaniach i okaże się, że jakaś kombinacja znanych leków skutecznie leczy COVID-19. Wtedy doczołgamy się jakoś do tego momentu, a PiS będzie mógł ogłosić wielki sukces osiągnięty dzięki jakże sprawnemu państwu, które zbudował. Myślę jednak, że znacznie bardziej prawdopodobny scenariusz to taki, w którym to wszystko potrwa o wiele dłużej. Taki, w którym wraz z kolejnymi „odmrożeniami” kraju, epidemia będzie się rozwijać na nowo, co będzie znów przywoływało pytania o granicę.

CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Politolog, publicysta i eseista, dyrektor i założyciel „Nowej Konfederacji”. W okresie 2015-17 współtwórca i szef think tanku Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego. Publikował m.in. w „Gazecie Polskiej”, „Dzienniku Gazecie Prawnej”, „Gościu Niedzielnym”, „Polsce The Times”, „Arcanach”, „Super Expressie”, „Znaku”.

ce wydolności służby zdrowia, o odporność gospodarki i o to, ile mamy majątku i oszczędności, by przeczekać dłuższy okres zawieszenia czy braku pracy. Prawda zaś jest taka, że w każdym z tych aspektów jesteśmy bardzo mało odporni. W scenariuszu pesymistycznym - niestety znacznie bardziej prawdopodobnym od optymistycznego - w Polsce kryzys będzie ciężki i długotrwały. Wysoce prawdopodobna jest głęboka recesja - niewykluczona, że połączona z nawrotami kryzysu epidemicznego i dodatkowo przez nie pogłębianą. Mamy też już kryzys polityczny. Ale przy głębokim kryzysie ogólnym z wielką siłą powrócą wspomnienia dzisiejszej klasy politycznej, która w takiej, a nie innej sytuacji zajmuje się swoimi pakietami wyborczymi. I to zajmuje się nimi w taki sposób, że z jednej strony codziennie jesteśmy epatowani buńczucznymi zapowiedziami, jak sprawnie to wszystko zostanie zorganizowane, a z drugiej widzimy zdjęcia, na których policja zbiera te pakiety wyborcze gdzieś z ulicy. W końcu zaś dowiedzieliśmy się, że wybory się zwyczajnie w konstytucyjnym terminie nie odbędą, a dwóch „szeregowych posłów” postanowiło, że Sąd Najwyższy orzeknie o ich nieważności. Wyborów, których nie ma. Żyjemy w tragifarsie.

Coraz trudniej mi wchodzić w rolę adwokata rządzących, ale mimo wszystko podjęto też jakieś próby zbudowania tarczy antykryzysowej. Jak pan ocenia te działania?

To jest niewątpliwie ta najmocniejsza część polskiej walki z COVID-em, choć jednocześnie ujawniają się w niej i w pracach nad nią wszystkie ograniczenia, którym podlega nasze państwo. Pierwsza odsłona tarczy była fatalnie wykonana w sensie legislacyjnym, rozdęta i zagmatwana - bardziej zwiększała niepewność niż ją ograniczała. Potem było już znacznie lepiej - według mojej wiedzy głównie dlatego, że wyprowadzono proces powstawania tych ustaw z rządu. O ile pierwszą wersją zajmowała się administracja ministerialna, o tyle kolejną części pisał już Polski Fundusz Rozwoju. Jest to kolejnym pokazem tego, jak bardzo niewydolną strukturą jest polskie państwo - i po jak bardzo improwizowane środki trzeba sięgać, żeby spróbować jakoś to obejść. W tej chwili tarcza ma już ręce i nogi. Trzeba tu jednak zgłosić jedną zasadniczą wątpliwość - czy to wszystko jest obliczone na cokolwiek więcej niż samą pierwszą fazę kryzysu. Jeśli dziś premier Morawiecki ogłasza, że już teraz uruchomiliśmy ponad 300 miliardów złotych, to ja muszę

zapytać, ile w takim razie jesteśmy w stanie uruchomić, jeśli to wszystko potrwa jeszcze rok lub dwa.

Perspektywa czasowa większości rozwiązań z tarczy obejmuje nie więcej niż 6 miesięcy. Przeważają te rozpisane na 3 miesiące.

Pytanie więc, co będzie, jeśli to wszystko potrwa znacznie dłużej. Na razie wydaje się, że rząd zdecydowanie postawił na scenariusz optymistyczny.

Można było wybrnąć z wyborów. Ale Kaczyński wołał swoją ulubioną grę w cykora, a opozycja swoją - w negację

ny. Tylko na jakiej właściwie podstawie? Na ile chodziło w tym o wybory na zasadzie „dowieźmy to do wyborów, wygrajmy je, a potem się zobaczy”? „Jakoś tam będzie” to przecież odwieczna polska doktryna strategiczna. Jeśli chodziło tylko o wygraną w wyborach prezydenckich, to chciałbym tylko przypomnieć, że nie są one ostatnimi, w których wyborcy mogliby się za coś takiego odplacić.

Ma pan jakiś pomysł, jak PiS mógłby uniknąć kryzysu w kwestii wyborów?

Kluczowy moment został zaprzepaszczone. Od dnia pierwszego zachorowania trzeba było albo od razu przygotowywać wybory korespondencyjne, albo razem z opozycją pracować nad ścieżką prawną przełożenia tych wyborów na bezpieczny, odległy moment. Tego ostatniego próbował Gowin - w niedoskonałej postaci, ale właśnie nad tego rodzaju propozycjami trzeba było pracować. Przy minimalnej odpowiedzialności i patrzni dalej niż czubek partyjnego nosa oraz dalej niż kilka miesięcy do przodu każdej ze stron starczyłoby na dogadanie tego kilkugodzinne spotkanie. Ale Kaczyński wołał powtórzyć swoją ulubioną grę w cykora, a opozycja - swoją ulubioną grę w totalną negację i próbę zatopienia PiS-u za wszelką cenę, nawet kosztem Polski. Nikt poza Gowinem nie rozpoznał poważnej sytuacji i nieadekwatności starych metod w niej.

No dobrze, to co miałby z takimi majowymi wyborami zrobić wyborca? Co pan, jako publicysta piszący o państwie i polityce, poradziłby tu obywatelom? Co tu właściwie można uznać za obywatelską powinność?

Biłem się z myślami, czy na majowe wybory iść, czy je bojkotować, ale wciąż nie było

się właściwie do czego odnosić, bo nie wiadomo było, czy będą, kiedy i jakie. Teraz, na cztery dni przed terminem, dowiedzieliśmy się, że jednak po prostu się teraz nie odbędą. Muszę się przyznać do zaskoczenia: weszliśmy na jeszcze głębszy poziom tragifarsy. Przez lata słyszałem, że za ostro oceniam polską politykę, a teraz okazuje się, że byłem zbyt łagodny. Trzeba na nowo przemyśleć, jak żyć w tej tragifarsie.

Zaznaczę, że w kwestii majowych wyborów w podobnej sytuacji. Pan jest naczelnym publicystycznym miesięcznika, ja dziennikarzem politycznym, a obaj nie bardzo wiedzieliśmy, jak rozstrzygnąć ten absurdalny wybór, przed którym postawili nas rządzący - czy wyrzec się głosu, czy też może wziąć udział w jakiejś farsie w ten sposób pośrednio ją uwiarygodniając. W tej samej sytuacji znalazł się cały kraj.

I cały kraj ma dziś mętlik w głowie. To wszystko dzieje się w kryzysie, który jest także kryzysem niepewności, gdy ludzie stracili grunt pod nogami, a świat stanął na głowie. Dzieci, które na co dzień uciekały przed patologicznymi rodzicami do szkoły, teraz siedzą w domu z ojcem alkoholikiem. Przedsiębiorca, któremu świetnie szło, nagle nie ma żadnych zleceń. I tak dalej - to się dzieje na wielu poziomach. Doświadczamy wszechogarniającego niepokoju, lęków i obaw. Co robi w tej sytuacji polskie państwo? Zwiększa niepewność - rozlewając ją także na sferę polityki, prawa i systemu konstytucyjnego. Zauważmy, że dotąd PiS negował pewne elementy systemu liberalnego - na ogół jednak zawsze powołując się na zasadę samej demokracji. Teraz zaś ośmiesza samą demokrację. Cała ta sytuacja zapoczątkowana epidemią ma w sobie powagę i grozę prawdziwego testu dla państwa i jego elit, testu, jakiego jeszcze nie przechodziliśmy po 1989 roku i jakim mogłaby być na przykład wojna. Ten test został obłany po całej linii. Nikt nawet nie rysował w całym tym kryzysie Polakom celu dalszego niż wybory, nikt nie określił strategii państwa, nikt nie próbował dać ludziom nadziei i zagrać na ich pozytywnych skłonnościach, wzmocnić wspólnoty. Widzimy tylko jakąś oscylację między propagandą sukcesu, próbami wzbudzania lęku a chaotycznym zarządzaniem antykryzysowym. To wyjątkowo smutne. Być może głównym pozytywem, jaki nam w tym wszystkim został, jest to, że zobaczymy więcej prawdy o naszym państwie, jego elitach i o nas samych. Może z czasem ona nas wyzwoli z tej tragifarsy.

Agaton Kozirski
a.kozirski@polskatimes.pl



Rozmowa

Jak Pan rozumie napięcie między Kaczyńskim i Gowinem? Temu drugiemu chodziło rzeczywiście o datę wyborów, czy raczej próbował określić granicę władzy pierwszego?

Te dwie rzeczy naraz. Nie lekceważyłbym protestu Gowina przeciwko organizacji wyborów 10 maja - bo odbyłyby się one w okropnych okolicznościach.

Mamy okropne czasy z powodu pandemii. Trudno znaleźć dobre rozwiązanie.

Ale można znaleźć rozwiązania lepsze - bo głosowanie 10 maja byłoby scenariuszem najgorszym. W wyborach nie chodzi tylko o wypełnienie karty do głosowania. To cała procedura, której ważnym elementem jest kampania, walka o głosy. Tego nie ma. Kaczyński zredukował wybory do kwestii wrzucenia głosu do skrzynki pocztowej. Przyspiesza cały proces tylko po to, żeby zagwarantować Dudzie reelekcję.

Akurat 10 maja to termin wyborów jak najbardziej konstytucyjny.

Tylko że oprócz tego nic w sprawie wyborów nie dzieje się tak jak powinno. Dlatego doceniłbym starania Gowina, żeby wyborów w tym dniu uniknąć. Przy okazji zresztą otworzyłby jedyną właściwą szansę dla bezradnej w tej sytuacji opozycji. Na pewno Kaczyński ma prawo uważać go za zdrajcę, choć, jak się okazało, w istocie pomaga mu uprawnaczyć bardziej wybory.

Ale Gowinowi chodzi o zablokowanie wyborów 10 maja, czy to gra o wyższą stawkę?

Traktuję to jako element sporu o przywództwo na prawicy.

Teraz Pan mówi, że pokona Kaczyńskiego?

Nie, to nierealne. Ale prawica zmienia swój kształt. Gowin przez ten gest może stać się liderem prawicy bardziej otwartej. I nie od razu, ale za jakiś czas ten ruch może się okazać dla niego zwycięskim.

Jeszcze niedawno w oczach opozycji Gowin miał kręgosłup z plasteliny. Nagle urosł niemalże do roli człowieka z żelaza - dla tej samej opozycji. To jak jest?

Rzeczywiście, wyszedł paradoks - ale wziął się stąd, że po prostu od niego więcej wymagano. Teraz stał się on dla opozycji pewną szansą

Paweł Śpiewak: Gowin pokazał, że potrafi się bić, a to w polityce jest cnota. On gra o pozycję lidera prawicy bardziej otwartej



FOT. BARTEK SYTA

Śpiewak: W wyborach prezydenckich najwięcej wygrał Gowin

Teraz rytm polityki może wyznaczać sytuacja gospodarcza. Jeśli kryzys będzie głęboki, pojawi się społeczny niepokój. Biorę pod uwagę, że dojdzie wręcz do kryterium ulicznego. To może być punkt zwrotny - mówi prof. Paweł Śpiewak, socjolog

na zmianę. To zresztą może działać na niekorzyść Platformy, bo ona z obecną kandydaturą na prezydenta będzie szła na dno. Traci przez to cała partia - bo skoro wystawiła kandydaturę o niskiej popularności i wyrazistości, to jaki jest sens ją popierać? Taka sytuacja sprawia, że PO staje się ugrupowaniem do wzięcia.

Gowin twardo deklaruje, że jest człowiekiem Zjednoczonej Prawicy, z opozycją wiązać się nie zamierza. Na co

może liczyć na prawicy, skoro Kaczyński uważa go za zdrajcę?

Jeśli Zjednoczona Prawica to Jarosław Kaczyński, to znaczy, że Jarosław Gowin nie jest już jej częścią. Ale zakładam, że zaczną się tworzyć dwie prawice. Teraz Kaczyński staje się zakładnikiem Ziobry, który ma podobnie bardzo radykalne poglądy. Gowin potrafi się zachować bardziej elastycznie, umiarkowanie. Może dojść do podziału prawicy według

tej osi. Ale odbije się to też na PO, gdzie cały czas jest sporo osób gowinopodobnych, o konserwatywnych poglądach. A przecież Gowin długo był w Platformie.

W pewnym momencie stało podobno za nim nawet 70 posłów PO.

Później część z nich przeszła do PSL-u, ale niektórzy ciągle tam pozostali. Pamiętają, że on stanął kiedyś przeciwko Tuskiemu. Wtedy pokazał, że

potrafi się bić - a w polityce to jest wielka cnota.

Z Tuskiem Gowin przegrał - ale jest jedynym politykiem pełniącym eksponowane funkcje w koalicji rządzącej już czwartą kadencję w rządzie. Podtrzymuje ciągłość władzy.

Pytanie, co teraz wyłoni się z chaosu wokół terminu wyborów. Gdyby się okazało, że partia Gowina zachowuje w jego trakcie wewnętrzna spójność, to w stro-

nę tej partii mogą zacząć ciążyć ludzie i z PiS, i z Platformy. Wtedy mogłaby się pojawić w polityce nowa jakość.

Pan wszedł do PO razem z Gowinem w 2005 r. Wtedy pierwsze skrzypce w Platformie grał Jan Rokita.

Tylko że ja nie miałem z nim nic wspólnego. Każdy z nas wszedł do polityki inną drogą i z innego powodu.

Ale to Rokita wprowadzał do polityki Gowina, on wte-

dy też nadawał ton Platformie. Pan razem z nimi nadawał tej partii inteligencji sznyt.

Przecież PO nigdy nie była inteligentka. Wszelkie dowcipy typowe dla inteligencji w gronie jej polityków absolutnie nie chwytają. W latach 2005-2007 to była partia drobnomieszczańska, na tym zresztą polegała jej siła. A między mną i Gowinem jest różnica właściwie wielkości przepaści. On ma potrzebę władzy politycznej, ja nie mam żadnej.

Jest Pan dyrektorem sporej instytucji.

Ale kieruję ją z przyjemnością, z potrzeby zrobienia czegoś dobrego, a nie z potrzeby władzy. Poza tym różnią nas zasadniczo poglądy ideologiczne, jego są narodo-wo-katolickie, co mi jest całkowicie obce.

Gowin lubi o sobie mówić, że jest sierotą po PO-PiS-ie. Myśli Pan, że teraz robi się przestrzeń na tego typu formację?

Tak. Takie ugrupowanie miałyby szansę nawet na kilkanaście procent w wyborach. Brzmi paradoksalnie, ale w obecnych wyborach prezydenckich najwięcej zyskało ugrupowanie Gowina.

Nie Kosiniak-Kamysz?

Nie. Na pewno też nic nie zyskuje Lewica, ona kompletnie nic nie wnosi w czasie tych wyborów.

Nawet się nie angażują.

Lewica była słaba i taka pozostała. Natomiast wyraźnie wzmocnił się Gowin - zwłaszcza teraz, gdy nastąpi całkowita dezorientacja w Platformie. Coraz bardziej widać, że przywództwo Borysa Budki w tej partii jest tyle samo warte, co liderowanie SLD przez Wojciecha Olejniczaka w 2005 r. - że to jednonosezowy polityk. W takiej sytuacji coś w PO musi się stać. Wygląda na to, że ta partia będzie największym przegranym tych wyborów.

PO w ostatnich wyborach zdobyła 28 proc. Cały czas mają z czego tracić.

Ale ta partia od bardzo dawna nie jest w stanie z siebie wydobyć żadnej idei. Wyborcy tej partii głosują na nią tylko po to, żeby przeciwstawić się Kaczyńskiemu - i po taką retorykę też ciągle sięga PO.

Wiadomo, że PiS i Kaczyński w końcu się zużyją. Wtedy Platforma stanie się głównym tego beneficjentem.

Nie. Nie zgadzam się z panem.

To kto na słabnięciu PiS by zyskał?

Nikt - na tym polega tragedia polityki w Polsce.

Borys Budka to jednonosezowy polityk. Coś w PO musi się stać. Ta partia to największy przegrany tych wyborów

Ktoś musi.

Teraz wszystko jest otwarte. Na pewno Platforma będzie mocno szła w dół po tak bardzo przegranych wyborach prezydenckich. Takie wyniki, jakie notuje Kidawa-Błońska, są dla nich kompromitujące. I to może sprawić, że nagle Hołownia stanie się liderem opozycji.

Przecież za nim nikt nie stoi.

Ale ludzie będą szukać alternatywy dla słabej PO. I on może się nią stać. Chyba że Platforma nagle się zmieni, a na tej partii stanie ktoś poważny, na przykład Grodzki, który ma jednak wewnętrzny sznyt. Budka jest może miły, ale wybitnym politykiem to on na pewno nie jest.

Pięć lat temu 5 maja w pierwszej turze wyborów prezydenckich - całkowicie nieoczekiwanie - Andrzej Duda pokonał Bronisława Komorowskiego. Punkt zwrotny w polskiej polityce czy raczej element jej naturalnej ewolucji?

Duża zmiana. Moment, kiedy wygrała rewolucja, czy może raczej retoryka rewolucyjna Kaczyńskiego. I ona jest dominująca do dziś. W intencji prezesa PiS ta rewolucja miała zmienić duszę Polaków. Morawiecki dodawał, że zmieni się też polska gospodarka w wymiarze geopolitycznym. Nic się nie udało. Ostatnie pięć lat to absolutna klęska, czas niemal w 100 procentach zmarnowany. We wszystkich wymiarach. Widzę to bardzo krytycznie. Żadnej obietnicy Morawieckiego nie udało się spełnić, a przecież tyle mówił o innowacyjności.

Skąd się wziął ten głód zmiany w 2015 r.? Konsekwencja wypalenia się Platformy?

Przed wszystkim utrata wiarygodności przez PO. To nie było tak, że Platforma się opatrzyła. Opatrzeć to się może zdjęcie gołej baby w garażu, natomiast wtedy narosło poczucie nieudolności rządzących, ich wyczerpanie ideowe. Dlatego oni cały czas nie potrafili się odbudować - bo ciągle nie zrozumieli przyczyn swojej klęski. Na to jeszcze nakłada się stałe niszczenie partii, jej formatu.

I wtedy wszedł do gry PiS - ze świeżymi hasłami, pomysłami.

Sam byłem zainteresowany propozycjami Morawieckiego

w chwili, gdy wszedł on do rządu. Uważałem, że należy dokonać zmian w systemie sądowym. Teraz to on wygląda jak biedna ofiara reform PiS-u, ale już do 2015 r. to był fatalnie zorganizowany system.

Rozmawialiśmy miesiąc po wygranej PiS w wyborach parlamentarnych w 2015 r. Wtedy Pan mówił, że strach przed PiS to „strach warszawskich inteligentów, którzy chcą być męczennikami na plusowym krzyżu”, a propozycjom nowych władz przyglądał się z zainteresowaniem.

Bo też PiS w 2015 r. szedł do władzy bardzo dobrze przygotowany, przede wszystkim pod względem ideowym. Mieli swoją wizję Polski i umieli o niej atrakcyjnie mówić. Czuć było w tej partii ideowość. Po czasach rządów Platformy, która rozmyślała wszystkie istotne wartości, była to wyraźna zmiana.

W ten sposób PiS w 2015 r. zdobył samodzielną większość.

Tylko wszystko potem okazało się totalnym nieporozumieniem. Łącznie ze sztafardowym projektem „500 plus”, który w żaden sposób nie przełożył się na wzrost dzietności. A rozdawnictwo PiS-u sprawiło, że teraz na czas kryzysu nie mamy żadnych rezerw. Reforma szkolnictwa jest katastrofalna, reforma wyższych uczelni przeprowadzona przez Gowina też bardzo zła. Na to jeszcze się nałożyło niszczenie modelu państwa prawa oraz ciągłe granie na najniższych emocjach, odwoływanie się do różnych fobii. To wszystko jest drogą do cywilizacyjnego i kulturowego zniszczenia Polski.

PiS argumentuje, że gdy sam był w opozycji, spychano go na margines, zamykano w getcie, używano przemysłu pogardy. Faktem, jest, że okładano kijami tę partię bardzo. Teraz odrealowuje.

Okładali się kijami obie strony. Natomiast teraz jesteśmy w sytuacji pięciu lat rządów PiS. I widzimy, że prezydent wywodzący się z tej formacji nawet nie próbuje zachować niezależności. Jedynie uwiarygadnia politykę Kaczyńskiego.

Politykę, którą popiera pół Polski.

I widać, że PiS próbuje wszelkimi sposobami zdobyć przewagę. Tylko że to się nie udaje, elektorat podzielił się kulturowo mniej więcej po połowie, zdaje się nawet, że opozycja łącznie tych głosów ma trochę więcej. Tylko system d'Hondta sprzyja najwięk-

szym partiom, więc PiS rządzi. Z drugiej strony w wyniku swoich działań zaczynają tracić własnych zwolenników.

Tylko że wcześniej PiS znacząco poszerzył swój stan posiadania. Partia, która miała zwykle ok. 30 proc. głosów, w ostatnich wyborach wyraźnie przekroczyła poziom 40 proc. To było chwilowe wahnięcie trendu czy trwała zmiana?

Zwolennicy prawicy to mniej więcej jedna trzecia wyborców w Polsce od 1990 r. Takie elektorat istnieje i jest bardzo trwałe. Partia może się nazywać PiS, może się nazywać jakkolwiek inaczej - ale jeśli będzie dominować na prawicy, to zdobędzie co najmniej 30 proc. głosów.

Tak się przejawia specyfika polskiej kultury. Ale Kaczyński ten żelazny elektorat mocno poszerzył. Na stałe?

Gdyby się pojawiła jakaś alternatywa polityczna na prawicy, to dziś miałaby szansę zaistnieć.

Namawia Pan Gowina, żeby próbował wybić się na niepodległość.

Tak. Bo Porozumienie to teraz jedyna partia, która może mieć wpływ na sytuację. Na pewno takiej roli nie jest w stanie odegrać Platforma, to najgorszy moment tej partii w jej historii. Gdyby rzeczywiście doszło do przedterminowych wyborów parlamentarnych - w co jednak nie wierzę - to PO zniszczyłaby to bardzo źle.

Partia Gowina może zaistnieć na dłuższą? Czy to efemeryda, która waży trochę teraz, ale pod koniec kadencji zostanie całkowicie wypłukana z życia politycznego?

W takich sytuacjach nie wszystko zależy od lidera. Nie należy też myśleć przez pryzmat przywódców, tylko przez pryzmat trwałych elektoratów. Istnieje mały, ale stały elektorat na partię lewicową, antyklerykalną. Swoich stałych wyborców mają partie prawicowe i liberalne. I te elektoraty zmieniać się nie będą. Problem polega bardziej na tym, kto jest liderem - czy jest ktoś, kto potrafi te elektoraty skonsolidować. W Platformie jest z tym największy problem, bo tam same osoby mające problem ze słuchem społecznym.

Nie wykluczam, że Hołownia wejdzie do drugiej tury wyborów. Wchodzi w lukę, którą zostawiają słabe PO i Lewica

Mamy jeszcze pandemię. Według Pana, koronawirus może dokonać resetu polskiej polityki? Czy przy kolejnych wyborach w 2023 r. dalej będziemy się kręcić wokół dotychczasowych osi podziałów politycznych?

Nie, polityka się jednak zmieni. Przede wszystkim dlatego, że Duda przegra w tym roku wybory.

Przegra?

Jeżeli te wybory się odbędą w miarę normalnym trybie za kilka miesięcy, to tak.

Czyli w lipcu może przegrać?

Nie wiem, czy w lipcu. Na pewno kryzys wpłynie na notowania obozu władzy, ale efekty widać z pewnym opóźnieniem. Bo nie jest tak, że jeśli dziś rośnie bezrobocie, to od razu zmieniają się nastroje społeczne. Nie, to się pojawia po jakimś czasie. Oddzielna sprawa to kwestia, czy są partie umiające to zagospodarować.

A są?

Dziś wygląda na to, że są to Kosiniak-Kamysz i Hołownia. Powoli to idzie w tym kierunku. Tyle że Hołownia ma jedną rakiętę, ale nie ma armat.

Wybory prezydenckie mogą się stać dla Hołowni taką trampoliną polityczną, jaką stały się dla Kukiza pięć lat temu?

Tak. Jest mało prawdopodobne, żeby on wygrał te wybory. Ale jednocześnie pokazuje, jak głęboki jest u ludzi głód polityków mówiących normalnym językiem, bez agresji. Takich, za którymi stoi dobre zaplecze. To wszystko razem tworzy pewien standard. On umie precyzyjnie wskazać zło, i w państwie, i w Kościele. To jest jego siła, jest też elektorat, który poszukuje tego typu osób. Dlatego wcale bym nie wykluczał sytuacji, że Hołownia w wyborach - jeśli zostaną one zorganizowane w sposób choć trochę normalny - zdobędzie kilkanaście procent głosów i wejdzie do drugiej tury.

Hołownia w drugiej turze? Byłaby ogromna niespodzianka.

Jednak pewna część elektoratu szuka takich kandydatów. A na to jeszcze nakładają się wyjątkowo słabe Lewica i Platforma. To wszystko sprawia, że powstaje duża luka, w którą on wchodzi.

W tej rozmowie najcieplej mówi Pan o Gowinie, Kosiniaku-Kamyszu i Hołowni. Po ich stronie jest dynamika polityczna. Mamy nowych trzech tenorów?

To tylko spekulacje, ale taki scenariusz jest bardzo moż-

liwy. Mam nawet na to nadzieję. Byłoby bardzo dobrze, gdyby coś takiego miało miejsce. Na pewno wolę prawicę w stylu Gowina, w której liczą się kompetencja, wiedza niż tę oszalałą, radykalną a la Ziobro.

Czyje miejsce by tych trzech tenorów zajęło w polityce. Komu by zabierali poparcie?

Wszystkim, i Platformie, i PiS-owi. W ten sposób scena polityczna zaczęłaby mieć nowy kształt. Bo w polityce nie liczą się tylko aktorzy na scenie. Liczą się też elektoraty. A dziś elektorat środka może się czuć opuszczony, zaniedbany, bo nie ma swojego reprezentanta.

Tylko jeśli Duda uzyska reelekcję, to scena polityczna się zablokuje do 2023 r. Przez te trzy lata do wyborów Polacy o tych trzech tenorach zapomną.

Albo to będzie czas potrzebny na konsolidację elektoratów. Tym bardziej że wcale nie można wykluczyć sytuacji, w której konflikt między Kaczyńskim i Gowinem będzie się pogłębiał.

Na razie go zamrozili podpisując w środę wieczorem porozumienie o trybie przeprowadzenia wyborów prezydenckich.

Bo Kaczyńskiemu eskalacja tego konfliktu się nie opłacała. Dlatego się cofnął, choć nie jest to w jego zwyczaju.

Przy okazji Gowin pokazał granicę jego władzy.

Teraz rytm polityki może wyznaczać sytuacja gospodarcza. Jeśli kryzys będzie naprawdę głęboki, pojawi się społeczny niepokój - i on będzie wyznaczał dynamikę polityczną. Biorę pod uwagę, że dojdzie wręcz do kryterium ulicznego. To może być punkt zwrotny. Polityka gospodarcza obecnego rządu jest wyjątkowo fatalna, a jednocześnie jest on nisko umocowany moralnie - bo liczba afer korupcyjnych, które on uruchomił, jest rekordowa. W pewnym momencie to wszystko się skumuluje. Dlatego właśnie nie wykluczam, że ludzie zdecydują się wyjść na ulicę. ©©

CV

PROF. PAWEŁ SPIEWAK

Socjolog Uniwersytetu Warszawskiego, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego. W latach 2005-2007 był posłem z list Platformy Obywatelskiej. Autor wielu książek, w tym „W stronę wspólnego dobra”. „Obietnice demokracji”

Monika Smół

monika.smol@polskapress.pl



Wydarzenia

Większość zakonnic ze Zgromadzenia Sióstr św. Wincen- tego a Paulo w Chełmnie nie- daleko Torunia jest zakażona koronawirusem. Jedna zmar- ła. Siostry, które niedawno włączyły się w szycie mase- czek ochronnych, same nie uchroniły się przed groźnym wirusem.

Niestety, mimo za- kazów, zakonnice z Chełmna prze- mieszczały się, przewożąc z sobą koronawirusa, więc zakażyły też siostry na naszym terenie - mówi Witold Draber, dyrektor poznańskiego sanepidu.

Wszystko zaczęło się pod ko- niec kwietnia od zakonnic - wo- lontariuszek z chełmińskiego Zgromadzenia, która pracow- ła w Szpitalu Nowym w Świe- ciu, na oddziale zakaźnym. Po pracy wracała, bo to zaledwie kilka kilometrów, do chełmiń- skiego klasztoru.

Testy po całości

- Po wykonaniu testu medy- kom w świeckim szpitalu, także dwóm pracującym tam sio- strom z Chełmna, wynik wska- zał, że jedna z nich jest zaka- żona - mówi Zdzisław Gamański, starosta powiatu cheł- mińskiego. - Pobrano wymazy od 330 osób - sióstr zakonnych, pracowników klasztoru w Chełmnie, a także praco- wników i mieszkańców Domu Pomocy Społecznej, który sio- stry prowadzą przy klasztorze. Pierwsze testy wykazały, że ża- den z pensjonariuszy nie został zakażony, ale zachorowała większość sióstr, pracownik klasztoru i jeden z dwóch księży - w sumie 48 osób, a także pięciu pracowników DPS-u: pielęgniarka-zakonnica oraz czterech pracowników m.in. z kuchni. W sumie zaka- żyły się tam 53 osoby.

Siostry i pozostałe zakażone osoby, w zależności od ich stanu i samopoczucia, zostały przewiezione do utworzonego w Ciechocinku izolatorium lub do szpitala jednoimiennego w Grudziądzu. Natomiast na chełmiński klasztor i DPS sanepid nałożył kwarantannę.

Trudno to udźwignąć

- Doświadczenie, którego obec- nie mogliśmy stać się uczestni- czkami, nie jest łatwe, po ludzku trudne do dźwignia- - podkreśla siostra Małgorzata Pranga, przełożona prowincjo- nalna w Zgromadzeniu. - Jed- nak czym więcej dni w nim trwamy, tym bardziej dostre- gam, że prędzej niż wirus „ko- rony” rozprzestrzenia się łań- cuch dobra, ludzkiej solidarno-

Zaraza za klasztorną furta

Od sióstr trudno uzyskać informacje - mówi Witold Draber, dyrektor Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Poznaniu

ści. Wielu ludzi, których nie znamy osobiście, przychodzi z różnorodną pomocą. Pan Bóg w swojej pomysłowości jest na- prawdę nieprzewidywalny. Mamy pewność, że ogrom modlitw i wiele odprawionych mszy świętych - pozwolą nam stawić czoła lękom, niepew- ności i nauczyć ufać Bogu, ale też zauważać piękno w wielu wspaniałych ludziach.

Wynik ujemny

- Nie udzielam informacji - sio- stra Urszula Wardowska, dyrek- tor DPS przy klasztorze w Cheł- mnie, ucina rozmowę, zanim zadam pytania, i kieruje do sta- rosty. Ten podkreśla, że ona też objęta została kwarantanną, a pensjonariusze i pracownicy mają kwarantannę na terenie DPS-u. A w niedzielę i w ponie- dziełek mieli zrobione powtórne wymazy.

- Otrzymałem wiadomość, że wyniki testów są negatywne. To wielka radość dla nas, dla sio- stry dyrektor DPS-u, pracow- ników, którzy na siedem dni zo- stali zamknięci z podopiecz- nymi, a także dla rodzin tych osób! Wszyscy żyli jak na bom- bie! Po tych dobrych informa- cjach kwarantanna - na razie tylko z DPS-u - została zdjęta - relacjonuje Zdzisław Gamański. - Zamknięta pozostaje tam kuchnia, której pracownicy są zakażeni. Posiłki docierają w formie cateringu.

Zgromadzenie
w kwarantannie

Kilka dni temu sanepid nałożył kwarantannę także na Zgroma- dzenie i tu nadal ona obowiązu- je. Siostry pozostające w klasz- torze, u których pierwsze testy wyszły negatywnie, nie mogą wychodzić poza jego mury - za- nim nie będzie wyników pow- tórnego wymazu.

Zamknięta została jadłodaj- nia dla najuboższych, którą za- konnice prowadziły w porozu- mieniu z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Społecznej w Chełmnie.

Dyrektor MOPS-u podkre- śla, że nawet w czasie panują- cej pandemii siostry były zaan- gażowane w pomoc najuboż- szym. Poza tym, że za klasztor- nymi murami sżyły maseczki ochronne, to cały czas wyda- wały posiłki.

- Nie prowadziły takiej jad- łodajni jak przed epidemią, ale wydawały przez okienko po- siłki przygotowywane i dowo- żone do nich przez restauratora - mówi Eliza Rokita. - Dla wielu korzystających z tej po- mocy osób był to jedyny posi- łek w ciągu dnia. Siostry wspie- rały też tych ludzi suchym pro- wiantem. Kiedy w Zgromadze- niu ujawniony został korona- wirus - punkt dożywiania mu- siał zostać zamknięty.

Miasto zadbało nie tylko o to, aby odizolować potencjalnie za- każone osoby korzystające z jadłodajni, ale również o to, by ci najubożsi nieprzerwanie mieli dostarczane posiłki.

- Po stwierdzeniu ogniska zakażeń w klasztorze, we współpracy z Fundacją Nova Forte, Lokalną Grupą Działania Chełmno i wolontariuszami, każdego dnia lodówkę przy ulicy Dominikańskiej wy- pełniamy żywnością dla miesz- kańców, którzy korzystali z po-

Pan Bóg w swojej pomysłowości jest nieprzewidywalny, mamy pewność, że ogrom modlitw pozwoli nam stawić czoła lękom

Siostra Małgorzata Pranga

mocy prowadzonego przez sio- stry Centrum Zapobiegania Wykluczeniu Społecznemu - mówi o podjętych działaniach Artur Mikiewicz, burmistrz Chełmna. - Lodówka każdego dnia jest dezynfekowana. Do- datkowo, żywność od tego ty- godnia zapewni też Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej. Po potwierdzonych przypad- kach zachorowań w klasztorze podjęliśmy również działania, które miały na celu zlokalizo- wać osoby bezdomne, znajdu- jące się w bezpośredniej grupie ryzyka z racji możliwego konta- ktu z siostrami podczas wyda- wania żywności. Udało się to zrobić przy aktywnym zaangażowaniu straży miejskiej i poli- cji. Przewieźliśmy je w miejsce odosobnienia, a po wykonaniu testów i zwrotnym wyniku ujemnym - zostały one zwol- nione. Monitorujemy sytuację i jesteśmy w stałym kontakcie z Powiatową Stacją Sanitarno- -Epidemiologiczną w Chełmnie.

Wirus nad Wartą

O zakonnicach z Chełmna gło- śno zrobiło się w całej Polsce, ale w szczególności w Poznaniu. - Jedna z sióstr, mimo zakazu przemieszczania się, wróciła do Domu Zakonnego w Poznaniu, a inna do podpoznańskiego Buku - mówi Witold Draber, dy- rektor Powiatowej Stacji Sani- tarno-Epidemiologicznej w Po- znaniu. - Na oba domy zakonne została nałożona kwarantanna. Bardzo trudno od nich uzyskać informacje, są tajemnicze i tru- dno zrobić pełen wywiad epi- demiologiczny, ale jedna przy- znała się, że przebywała w Cheł- mnie, gdzie było ognisko zapal- ne. Okazało się, że jest zakażona, a ujawniono to przez przypadek, gdyż przechodziła chorobę bez- objawowo. Innej siostrze z Poz- nania, która pracuje w szpitalu,

zrobiono test i był pozytywny. Zakażonych jest już ponad 20 sióstr, czyli większość. Ich stan jest dobry. Cztery są starsze, po- nad 60-letnie. Problem jest taki, że one nie chcą poddać się ogra- niczeniom i chcą opuszczać dom, a kwarantanna to kwara- nanna - wszystkich obowiązują te same zasady. Szarytki, służeb- niczki są aktywne, ale nie mogą się tak zachowywać. Tym bar- dziej że tu też prowadzi DPS, skąd cztery osoby zakażone już trafiły do szpitala - mówi dyrek- tor poznańskiego sanepidu.

Strach w mieście

Starosta chełmiński przyznaje, że od chwili pojawienia się fali zakażeń za murami klasztoru, odebrał wiele telefonów od zanie- pokojonych mieszkańców. - Na szczęście sanepid zadziałał sprawnie - docenia starosta chełmiń- ski. - Szybko podjęto decyzję o zamknięciu DPS-u, izolacji kla- sztoru. Ważne dla wszystkich by- ło to, by wirus nie przeniósł się na miasto, na mieszkańców. To, że wśród pensjonariuszy nie ma zakażeń, to m.in. zasługa siostry dyrektor, która czuwała nad przestrzeganiem zaostrożonych zasad higienicznych. Dostała od nas środki ochrony osobistej, od wojewody - płaszcze ochronne, przyłbice, gogle, środki dezyn- fekcji. Założyła służę.

W chełmińskim DPS-ie zako- nnice zajmują się osobami z nie- pełnosprawnością fizyczną i in- telektualną. Działają na zlecenie Starostwa Powiatowego w Cheł- mnie, a nad realizacją zadań czu- wa Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie.

- DPS przy klasztorze to cztery obiekty, różne budynki i trzy ty- py: dla przewlekłe somatycznie chorych, dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnych intelektual- nie i dla dorosłych niepełnospra- wnych intelektualnie - mówi E-

wa Wirośławska, dyrektor PCPR w Chełmnie. - Jest też podział na oddziały - dla osób leżących i chodzących.

Po informacji o zakażeniach podzielono też DPS na pięć oddziałów, by unikały kon- taktu między sobą, aby było jeszcze bezpieczniej. W DPS-ie zatrudnionych jest 130 pracow- ników, w tym cztery to siostry zakonne. W sumie kadra zaj- muje się 149 podopiecznymi. Można powiedzieć, że opatr- ność czuwa i mimo bliskości du- żego źródła zakażenia, w DPS-ie nikt z pensjonariuszy nie jest chory. Dom został bowiem szybko odizolowany, szybko też wprowadzono zakaz odwie- dzin. Wygląda więc na to, że sy- tuacja została opanowana. ©©

O SZARYTKACH

Do Polski siostry miłosierdzia przybyły w 1652 roku, na pro- śbę królowej Marii Ludwiki Gonzaga, żony Jana Ka- zimierza, i osiedliły się w War- szawie. Obecnie w kraju są trzy prowincje Zgromadzenia: warszawska, krakowska i chełmińsko-poznańska. Ta ostatnia jest najmłodszą - ut- worzono ją 25 lutego 1850 r. Od 1863 roku, po przeniesie- niu siedziby Zarządu Prowin- cji do Chełmna, przyjęła na- zwę Prowincja Chełmińska, teraz Chełmińsko-Poznańska. Siostry pracują w szpitalach, w domach pomocy społe- cznej, placówkach opiekuń- czo-wychowawczych, przed- szkolach; prowadzą działa- lność charytatywną w para- fiach, katechizują, prowadzą świetlice środowiskowe dla dzieci, punkty pomocy i stoł- wki dla ubogich; odwiedzają ubogich w ich domach.

ARTYKUŁ REKLAMOWY

109676028

UWAGA!

Dobra wiadomość dla wszystkich cierpiących z powodu bólu kręgosłupa, dyskopatii i wielu innych dolegliwości.

Czy jest coś gorszego od bólu kręgosłupa?

Tak! Brak skutecznego sposobu, by go zwalczyć...

To niestety przykra rzeczywistość, z jaką muszą zmagać się osoby w każdym wieku, a zwłaszcza seniorzy.

Na rynku dostępny jest ogrom środków przeciwbólowych, ale często przynoszą ulgę tylko na chwilę.

Można też korzystać z wielu innych rozwiązań, ale wiele z nich pochłania wiele czasu i środków.

Ile można spędzać czasu w oczekiwaniu na efekt, stać w kolejkach i prosić się o pomoc, gdy kręgosłup nieustannie boli?

Przykładów nie trzeba szukać daleko. Pani Czesława Z. (71l.) z Kutna cierpiała na chroniczny ból kręgosłupa, przez który miała trudności z poruszaniem się. Nie mogła normalnie wstać z łóżka, chodzić, schylać się. Nigdzie nie dawano jej większych nadziei – proponowano drastyczne kroki, co nie dawało gwarancji przywrócenia dawnej sprawności, a za to możliwe nieprzyjemne powikłania. Wydawało się, że p. Czesława znalazła się w sytuacji bez wyjścia, ale postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce.

„Cale życie pracowałam jako fryzjerka, dzień w dzień na stojąco albo pochylona nad klientką – mój kręgosłup był w bardzo złym stanie. Ból w lędźwiach był tak dotkliwy i promieniował na całe plecy, że przez większość czasu leżałam. Żeby jakoś wstać i funkcjonować, trulałam się mnóstwem środków przeciwbólowych. Specjalista stwierdził, że przyczyną są zniszczone dyski międzykręgowe, przez co kręgi ocierają się o siebie i uciskają nerwy. Na ingerencję miałam czekać bardzo długo, a prywatnie było to niesamowicie kosztowne. To był jakiś żart. Czulałam się bezradna i pozostawiona sama sobie. Próbowałam chyba wszystkiego, ale nikt nie chciał mi pomóc! – opowiada wzburzona p. Czesława.



„Ile ja się nachodziłem po specjalistach, to głowa mała. Wszędzie odprawiano mnie z kwitkiem, byłem tylko jednym z wielu pacjentów i miałem wrażenie, że nikt nie traktował mojego cierpienia poważnie. Od wielu lat bolał mnie kręgosłup, czasem nawet nie mogłem usiedzieć w fotelu przed TV. Poszedłem na fizjoterapię, ale te kilka refundowanych zabiegów nie wystarczyło. Kiedy trafiłem na ten koreański pas, pomyślałem, że to pewnie kolejne azjatyckie dziadostwo, ale zaryzykowałem i zmieniłem zdanie już po 1. dniu noszenia. Ból stopniowo zmniejszał się, mogłem schylić się i zawiązać buty. Po kilku tygodniach ból jakby przestał mi dokuczać, a ja czuję się znacznie sprawniejszy!”

Bogusław, 69l., EIk

Dlaczego się o tym nie mówi?

Rodzina p. Czesławy nie mogła patrzeć na jej cierpienie i robiła wszystko, żeby znaleźć rozwiązanie. Z pomocą przybył jej wnuk, który na jednej z zagranicznych stron w internecie znalazł innowacyjny pas łagodzący ból, który zakłada się na lędźwie.

„Stosowałam już opaski, ortezy ortopedyczne, które niewiele mi pomagały. Byłam sceptyczna kiedy wnuk wręczył mi ten pas, ale co miałam do stracenia? Dziś dziękuję opatrności, że spróbowałam. To nie do wiary, ale już po kilku godzinach od założenia pasa czulałam wyraźną poprawę. Po kilku dniach noszenia miałam wrażenie, że ból znacznie się zmniejszył. Pewnego dnia bez większego problemu mogłam wstać z łóżka, schylać się, a nawet pójść na spacer! Kiedy ból już mi tak nie dokuczał, pożyczyłam ten pas sąsiadce. Czulałam, jakby przestrzeń dyskowa powiększyła się, a kręgi przestały uciskać na nerwy. Ten pas to w moim odczuciu prawdziwe remedium na ból kręgosłupa, ale dlaczego nikt o nim nie słyszał? Dlaczego nie mamy dostępu do takich tanich i skutecznych środków, a w zamian musimy cierpieć i prosić się o pomoc?”

*Szczegóły oraz informacje dotyczące procedury zwrotów i reklamacji dostępne są pod adresem: www.grouptcm.com

POZNAJ SIŁĘ FERROMAGNESÓW

Każda osoba cierpiąca z powodu bólu kręgosłupa szuka przede wszystkim ulgi i oczekuje wyeliminowania przyczyny problemu. Z wiekiem dyski zużywają się nawet o 60% szybciej i przestają amortyzować kręgosłup, co powoduje ucisk i podrażnienie nerwów kulszowych, a w efekcie przeszywający ból. Dzięki kuracji ferromagnetycznym pasem dekompresyjnym każdy, niezależnie od płci, wieku i stadium zaawansowania zmian zwyrodnieniowych, ma szansę zmniejszyć ból i zwiększyć sprawność ruchową w zaledwie kilka tygodni. Korzystając z pasa zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy, możesz zyskać:

4 SUPER KORZYŚCI:

ZŁAGODZENIE BÓLU

Magnesy ferrytowe wytwarzają pole magnetyczne o mocy 3500 Gaussów, które może wnikać w tkanki i nerwy, aby pomóc w wygaszaniu sygnałów bólu. Magnesy tworzą układ wzdłuż kręgosłupa i mogą zmniejszać stany zapalne.

DEKOMPRESJA

Specjalna konstrukcja pasa pomaga przywracać prawidłową postawę i wspomagać rozciąganie się kręgosłupa. Przestrzenie między kręgami mogą zwiększać się nawet o 6mm, tworząc miejsce do odbudowy dysków, a kręgi mogą przestać uciskać na nerwy.

REGENERACJA

Mięśnie kręgosłupa mogą zostać odciążone dzięki przeniesieniu ciężaru na mięśnie brzucha. To sprawia, że osłabione mięśnie nie muszą być dodatkowo nadwyrężane, może zmniejszać się nacisk na dolną część kręgosłupa, a ból w odcinku lędźwiowym może minąć.

WYGODA I DYSKREKJA

Pas jest wykonany z najwyższej jakości mikrowłókien, które nie powodują obtarć i podrażnień. Jest elastyczny i posiada rzepy, dzięki którym idealnie dopasuje się do każdej sylwetki. Nie usztywnia i nie kępuje ruchów, a pod ubraniem pozostaje zupełnie niewidoczny.

Skuteczna metoda istnieje

Na rynku dostępnych jest wiele opasek, pasów biodrowych, ortez. Są takie metody, które kosztują krocie, są niewygodne w no-

„Sukces metody, którą stworzyłem wraz ze swoim zespołem badawczym, opiera się na synergicznym działaniu dwóch sił – magnetoterapii i dekompresji. W przeciwieństwie do innych metod, mój ferromagnetyczny pas dekompresyjny nie tylko daje szansę na złagodzenie bólu, ale też może zmniejszać ucisk na nerwy i przyspieszać odbudowę dysków międzykręgowych. Dzięki temu, rocznie ponad 356 700 osób w całej Azji może zmniejszać ból kręgosłupa i zwiększać sprawność ruchową, bezinwazyjnie i bez dodatkowych środków.

Ta metoda jest w 100% bezpieczna, a dzięki biomagnesom procesy regeneracyjne przebiegają całkowicie naturalnie. Jestem w szoku, że w Europie, tak rozwiniętym cywilizacyjnie kontynencie, nadal nie stosuje się tego sprawdzonego sposobu zmniejszania problemów kręgosłupa.”



Lee Hyun-joong,
specjalista ds. stawów

szeniu, a często niewiele pomagają. Zainteresowani tym tematem dotarliśmy do południowokoreańskiego specjalisty Lee Hyun-joonga z centrum w Seulu, twórcy ferromagnetycznego pasa dekompresyjnego i poprosiliśmy go o wyjawienie sekretu – jak to możliwe, że ta metoda może być tak skuteczna, a przy tym tania?

Koniec czekania na pomoc

Dotychczas z naturalnej mocy ferromagnetycznego pasa dekompresyjnego mogli korzystać jedynie mieszkańcy Azji. Na szczęście spec. Lee Hyun-joong postanowił rozszerzyć dystrybucję swojej metody również na rynek światowy. W Polsce pas jest dostępny jedynie w sprzedaży telefonicznej. Pierwsze 80 osób, które zadzwoni na poniższy numer do 11.05.2020 r., otrzyma oryginalny produkt ze specjalną zniżką -73%. Nie zwlekaj i dołącz do grona szczęśliwych osób, które mogły zmniejszyć ból i zwiększyć sprawność ruchową.

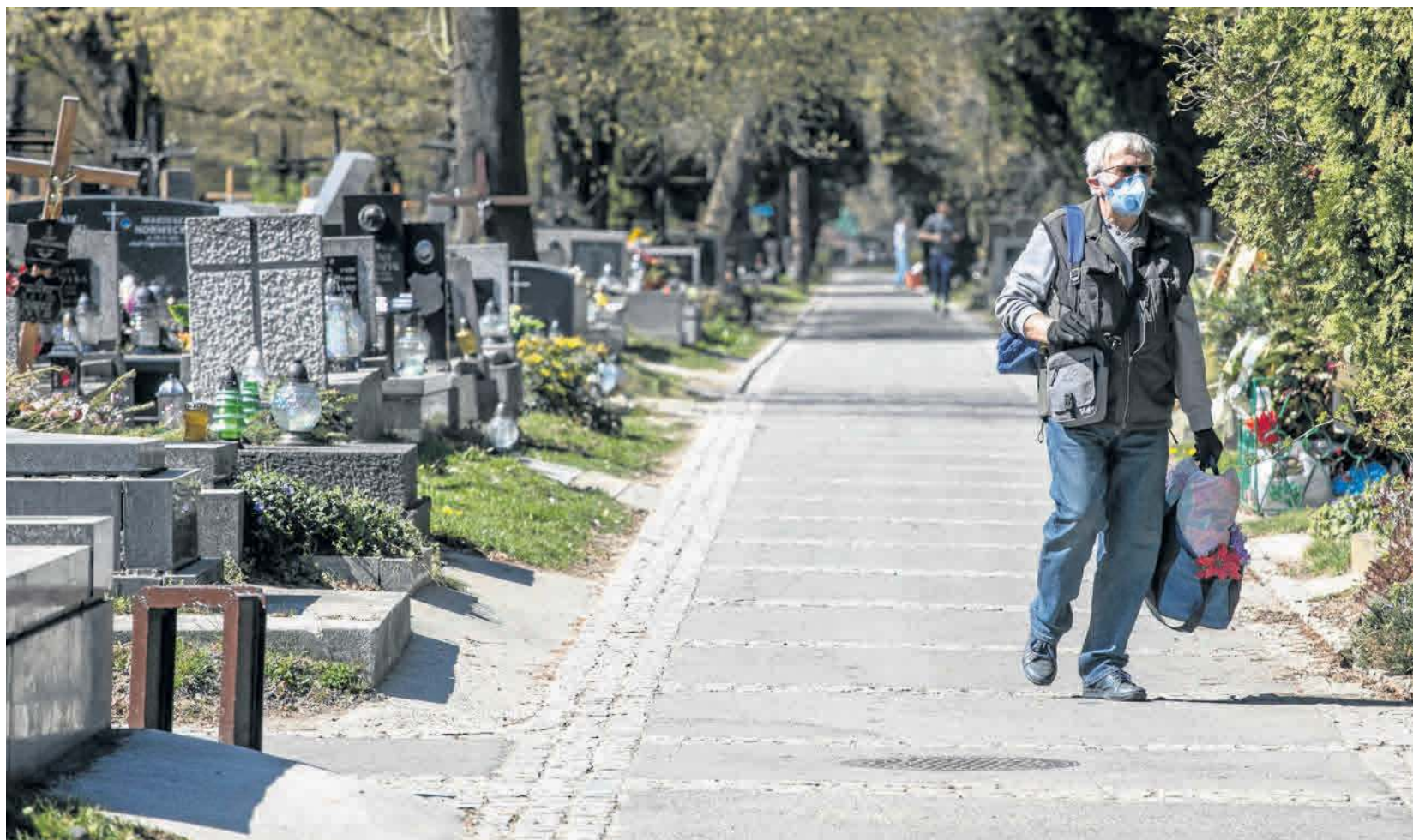


ZADZWOŃ I ZAMÓW:
56 300 32 23

Od poniedziałku do niedzieli w godz. 8:00-20:00
(opłata za 1 min. połączenia wg taryfy operatora)



REKLAMA



Pogrzeb odbywa się przy zachowaniu szczególnych form ostrożności. Wizyta na cmentarzu też nietypowa, bo w maseczce i rękawiczkach

FOT. ANNA KACZMARZ



Katarzyna Pijda
katarzyna.pijda@polskapress.pl

Nasze sprawy

W szpitalu umiera starszy pan. Traci świadomość, ale kilka razy dziennie pyta pielęgniarki, kiedy jego dzieci przyjdą się z nim pożegnać. Nie przyjdą - jest zakaz odwiedzin.

Nie jest tak, że chcemy, aby koronawirus trwał, a my się dorobimy. Jeśli ktoś się cieszy ze śmierci, sam z człowieka nic nie ma - mówi właściciel zakładu pogrzebowego w Kujawsko-Pomorskiem. Gdy jednak inne firmy ledwie wiążą koniec z końcem albo ten koniec w ich wydaniu już nastąpił, właśnie przez pandemię - to firmy z branży pogrzebowej nie mają na co narzekać. Ruch w interesie jest większy.

Przedsiębiorca od lat prowadzi działalność w dużym mieście. Zakład to on plus sześciu pracowników. Branża funeralna jest specyficzna. Smutek i żyz są na porządku dziennym. Przez koronawirusa zrobiło się jeszcze bardziej przykro.

Limit osób

Na początku epidemii w pogrzebie mogło uczestniczyć tylko pięć osób krewnych, ponadto ksiądz, w przypadku katolickiego pochówku, albo mistrz ceremonii, jeśli to świecki pogrzeb, no i pracownicy zakładu.

Niewiedza kosztuje

A propos mandatów. Właściciel firmy opowiada: - Przed Wielką nocą wprowadzono również zakaz wchodzenia na cmentarz. Małżeństwo z córką o zakazie nie wiedziało. Weszli we trójkę, szli w kierunku grobu babci. Nie zdą-

- Przykro było patrzeć, gdy pozostali członkowie rodziny oraz przyjaciele zmarłego stają przy pomnikach w pewnej odległości od grobu ich bliskiego albo nawet nie wchodzą na cmentarz, tylko przez ogrodzenie obserwują ostatnie pożegnanie - wzdycha przedsiębiorca. - Gdyby podeszli, złamali by zakaz gromadzenia się. Na to policja tylko czekała. Raczej nieprzypadkowo, właśnie, gdy odbywał się pogrzeb, funkcjonariusze, nie w mundurach, ale po cywilnemu, też się zjawiali i krążyli po cmentarzu. Gotowi wypisać mandat.

żyli - policjanci wyrosli, jak spod ziemi. Niewiedza kosztowała rodzinę 900 złotych. Po 300 zł od każdej osoby.

Dziwnie jest tuż po pożegnaniu.

- Bliskich nie wolno zaprosić na stypę do restauracji czy kawiarni, bo te lokale zostały zamknięte rozporządzeniem rządu. Po uroczystości na cmentarzu, krewni rozchodzą się do swoich domów. Rzadko zamawiany jest catering i gości zaprasza się do siebie, do domu.

Polska Izba Branży Pogrzebowej zwróciła się do Głównego Inspektora Sanitarnego o pilne opracowanie i przesłanie wytycznych dla zakładów pogrzebowych i zarządców cmentarzy w związku z pandemią. To było na początku marca. - Do teraz nie dostaliśmy wskazówek - podkreśla nasz rozmówca. - Pracujemy w maseczkach ochronnych

i rękawiczkach. Jeżeli otrzymujemy ciało, wkładamy też przyłbice oraz uniformy, przypominające stroje lekarzy przy operacjach.

Pracowity okres

Na brak zleceń nie narzeka. - Przeciętnie w miesiącu przygotowujemy 22 pogrzeby. W marcu zorganizowaliśmy wyjątkowo mało, bo 9, ale już w kwietniu było ich 35, sami seniorzy. Maj zapowiada się równie pracowity - dodaje przedsiębiorca pogrzebowy. - Statystyki zgonów, podawane codziennie przez Ministerstwo Zdrowia, raczej nie odzwierciedlają rzeczywistości. W tzw. choroby współistniejące, często przypisywane zmarłym na koronawirusa, też jakoś nie wierzę.

Mężczyzna kontynuuje: - W branży widać wzrost umieralności. Wystarczy spojrzeć na

zajęte miejsca w chłodniach. Jeżeli człowiek umiera w szpitalu, jego ciało jest przechowywane w szpitalnej chłodni. Gdy zgon następuje w domu, to zakład odbiera ciało i przewozi je do swojej chłodni. Nasz posiadacz akurat chłodnię na cztery miejsca; tzn. jednocześnie ciała czterech nieboszczyków można przechowywać.

Zlecenie odrzucone

U tego przedsiębiorcy od kwietnia wszystkie miejsca w chłodni są prawie ciągle zajęte.

- Dramat panuje na Mazowszu, gdzie pandemia daje się we znaki najbardziej: zmarło prawie 300 zakażonych ludzi. Kolega prowadzi tam zakład. Ma chłodnię na 50 ciał. Wszystkie miejsca ciągle są pozajmowane. Ostatnio musi odmawiać organizacji pogrzebów. Nie wyrabia się.

Nasz rozmówca nie obsługuje pogrzebów osób, które zmarły w wyniku koronawirusa, choć mógł, bo go o to pytano. Urząd wojewódzki w pierwszej połowie marca wysłał maile do każdego zakładu pogrzebowego.

Umowa na odbiór zwłok

Mężczyzna pokazuje pismo. „W imieniu Kujawsko-Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego

Może zgonów przybywa też przez utrudniony dostęp do przychodni i błędne teleporady

Przedsiębiorca pogrzebowy

w Bydgoszczy proszę o informację, czy są Państwo zainteresowani zawarciem umowy na odbiór zwłok, zgodnie z procedurą Sanepidu odbioru i pochówku osób zmarłych w wyniku zachorowania na chorobę zakaźną (zakażonej koronawirusem SARS-CoV-2/chorej na COVID-19 w przypadku zgonu w domu/w miejscu pobytu). Proszę o pilne udzielenie odpowiedzi”.

- Odpowiedziałem, że nie. Nie dlatego, że mam uprzedzenia czy boję się podjęcia takiego zlecenia. To dlatego, że już teraz musimy spełniać mnóstwo wymogów. Jesteśmy pod ostrzałem m.in. Sanepidu, a ZUS i inspekcja pracy też się nam przygląda. Kto decyduje się na przygotowanie pogrzebów zmarłych na koronawirusa, na tego nakłada się szereg dodatkowych nakazów i zakazów.

Znak zapytania

Właściciel zakładu wspomina o absurdzie. - Gdy rozmawiam z innymi szefami firm z branży funeralnej w naszym mieście, oni przyznają, że też nie obsługują tych pochówków. Z drugiej strony w każdym mieście, gminie przynajmniej jedna taka firma musi się znaleźć i współpracować z urzędem wojewódzkim, ale nie udało się nam namierzyć tej firmy w swoim gronie.

Przedsiębiorca pytał w urzędzie wojewódzkim (ten urząd w każdym województwie koordynuje na swoim terenie akcję walki z pandemią). - Nie odpowiedzeli. Podpytywałem też w stacji sanitarno-epidemiologicznej. Nie dość, że informacji nie dostałem, to jeszcze zorientowałem się, jak pracownica Sanepidu wprowadza w błąd. Twierdziła, że każdy szpital ma podpisaną umowę z danym zakładem pogrzebowym na odbiór zwłok i załatwienie pogrzebu. Tak przecież nie jest. Rodzina wybiera firmę pogrzebową, która zajmie się formalnościami. Do dziś nie mam pojęcia, który zakład na naszym terenie zajmuje się pochówkami zmarłych z powodu zarazy.

Właściciel zakładu zaznacza: - Rzecz nie w tym, żeby zas pokoić ciekawość, lecz w tym, żeby pokierować klientami. Odbieramy telefony od rodzin osób zmarłych na wirusa. My odmawiamy wykonania usługi. Dopytują więc, kto.

Daleko od rodziny

Przedsiębiorca nawet po tym, gdy minie pandemia, zapamięta pewien obrazek. - Umierał starszy pan. Tracił świadomość. Kilka razy dziennie pytał jednak personel, kiedy jego dzieci przyjdą się z nim pożegnać. Słyszał, że nie przyjdą. Obowiązuje zakaz odwiedzin w czasie koronawirusa. Pielęgniarki miały w oczach łzy, ale gdyby pozwoliły na odwiedzin krewnych - mogłyby stracić pracę. Pacjent odszedł.

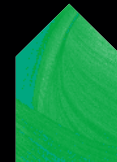
W samotności. ©©



gramy
dla Was



Z...
humorem



moja
historia



co to
jest?



Filharmonia domowa



dla mniejszych
i większych



Chór, jakiego
nie znacie

filharmonia.pl / facebook / twitter / instagram / YouTube

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



Polska Grupa Energetyczna

Sponsorzy



FUNDACJA
BNP PARIBAS

Partnerzy



Hybrydowe Serce Warszawy



Bilety²⁴

Agnieszka Dobrzyń: Jesienna fala epidemii będzie dużo bardziej groźna

Przy dobrze opracowanej strategii testowania grupowego, moglibyśmy dojść do poziomu nawet 100.000 testów dziennie. Należy tu jednak zaznaczyć, że testowanie genetyczne ma ograniczenia. To duże wyzwanie – mówi prof. Agnieszka Dobrzyń, kierownik projektu zbiorowych testów na koronawirusa

Anita Czupryn
a.czupryn@polskatimes.pl



Rozmowa

Głośno w mediach o tym, że badacze z Instytutu Nenckiego Polskiej Akademii Nauk pracują nad procedurami zbiorowych testów na koronawirusa. Na czym polega ten projekt?

Projekt zwany Sonar Anty-CoronaVirus jest dla nas sporym wyzwaniem – musimy opracować strategię, a w rzeczywistości dostarczyć diagnostom, czyli wszystkim laboratoriom diagnostycznym w Polsce gotowy protokół opisujący, w jaki sposób można by zwiększyć wydajność diagnostyki. To zwiększenie wydajności polegałoby na tym, że jednym testem genetycznym moglibyśmy przetestować nie jedną osobę, jak to się dzieje dzisiaj, tylko moglibyśmy przetestować osób kilkadziesiąt. Standardem przy testowaniu zbiorowym jest 30 próbek. W Izraelu, jak czytałam, łączą nawet 64 próby. Myślę, że my też jesteśmy w stanie dojść do takiej liczby osób, które można by przetestować jednym testem. Zobaczymy, jak to się nam uda zorganizować logistycznie.

Można tu mówić o przełomie, jeśli chodzi o zwiększenie liczby testów na Covid-19?

Sam pomysł testowania zbiorowego nie jest ideą zupełnie nową, dlatego, że takie podejście jest już wykorzystywane w epidemiologii przy diagnostyce innych wirusów. Na przykład tak testowano wirusa grypy w 2012 roku. W ten sposób testuje się też pacjentów w przypadku wirusa HIV – jeżeli jest grupa o podobnym prawdopodobie-



prof. Agnieszka Dobrzyń: Nie każdy test nadaje się do testowania zbiorowego.

bieństwie zarażenia HIV to wtedy testuje się ją grupowym testem. Natomiast, jeśli chodzi o Covid-19, to jest rzecz zupełnie nowa. W połowie kwietnia pokazano, że takie testy mogą się sprawdzać, są one wykonywane w USA, w Niemczech, w Izraelu. Widziałam też zarządzenie Indyjskiej Rady Badań Medycznych (Indian Council Of Medical Research), które również wprowadza obowiązek stosowania testów grupo-

Dzięki testom zbiorowym, w tym samym czasie moglibyśmy zdiagnozować nie jedną, a wiele osób

wych i zostały one wdrożone w wielu stanach.

Jakie są zalety tej metody? W czym testowanie zbiorowe jest lepsze od testowania indywidualnego?

Wszystcy wiemy na czym polega testowanie indywidualne – mamy jeden test, który jest wykonany dla pojedynczej osoby i jego wykonanie zajmuje około dwóch godzin. Dzięki testom zbiorowym, w tym samym czasie moglibyśmy zdiagnozować nie jedną, a wiele osób – dajmy na to trzydzieści albo pięćdziesiąt, w zależności od tego, ile prób pobranych materiałów do testowania będziemy mogli razem połączyć. Czas jest więc tu podstawową zaletą. Po drugie – dziś mamy ograniczone zasoby zarówno ludzkie – chodzi o osoby, któ-

re fizycznie wykonują test – jak i zasoby związane ze sprzętem czy liczbą testów.

Polska jest na dalekim, 27 miejscu, jeśli chodzi o liczbę testów wykonywanych w Europie.

Faktycznie, nie robimy ich zbyt wiele; mimo, że moglibyśmy tych testów robić więcej, to z jakichś powodów ich nie robimy. Dlatego warto pomyśleć o testach zbiorowych – będziemy mogli wykorzystać bardziej wydajnie czas, bo po dwóch godzinach już 50 osób może mieć informację o tym, czy są chorzy, czy zdrowi i stanie się to dużo szybciej, niż dzisiaj. A po drugie wydajniej wykorzystamy infrastrukturę, zasoby ludzkie i testy, które mamy, w kontekście diagnostyki, bo jednym testem będzie można

przetestować grupę osób, a nie pojedyncze osoby. A trzecia rzecz, na którą na pewno warto zwrócić uwagę to fakt, że takie testy, w związku z tym, że nie będą bardzo kosztochłonne ani czasochłonne, mogłyby być wykonywane w szpitalach codziennie – po zakończeniu pracy. Albo przed rozpoczęciem pracy w grupie lekarzy czy pielęgniarek; generalnie personelu medycznego; albo można tak testować pacjentów na konkretnym oddziale, sprawdzając, czy nikt się nie zaraził koronawirusem. Wyobrażam sobie, że to byłoby też dobra odpowiedź na to, co się dzieje w DPS-ach.

O, właśnie!

Domy Pomocy Społecznej to duże skupiska ludzi i tak naprawdę nie wiemy, czy nie

są to źródła zakażenia koronawirusem, ponieważ dziś diagnozuje się dopiero wtedy, jak ludzie mają ciężkie objawy. Wszyscy wiemy, że bardzo duża liczba przypadków, wg. niektórych danych nawet o 90 procentów przypadków, dotyczy osób bezobjawowych. Zatem tak długo, jak nie będziemy testować zbiorowo, to szczerze mówiąc, nie będziemy wiedzieć, jaką w istocie mamy sytuację epidemiologiczną w Polsce. Nie wiemy, jak dużo osób jest zakażonych, ponieważ większość nie ma o tym świadomości. A to jest groźne w kontekście zakażenia. I właśnie dlatego mamy dziś ogólnonarodową kwarantannę, rekomendację by unikać spotkań w dużych grupach, żeby na zewnątrz nosić maseczki, bo o ile dla jednej grupy osób ten wirus jest mało groźny, to dla innej może być śmiertelnym zagrożeniem.

O ile może się zwiększyć wydajność testów w Polsce?

Myślę, że przy dobrze opracowanej strategii testowania grupowego, moglibyśmy dojść do poziomu nawet 100.000 testów dziennie. Należy tu jednak zaznaczyć, że testowanie genetyczne ma swoje graniczenia. To duże wyzwanie, żeby zrobić to dobrze. Nie sprawdzi się testowanie grupowe, jeśli będzie ono oparte na zarządzeniu ministerstwa, mówiącego, że „pierwsze 20 prób, jakie trafiają do punktu diagnostycznego należy pullować”, ponieważ w przypadku tego wirusa nie można pozwolić sobie na coś takiego, jak pullowanie naiwne – tak to nazywają informatycy czy matematycy – czyli na chybił trafił.

To znaczy?

Pullowanie – z języka angielskiego pulling oznacza ściągnięcie prób, to nasz żargon.

Chodzi o to, że nie można łączyć prób przypadkowych. Dlatego, że przy takim podejściu ta strategia się nie sprawdzi. Musimy łączyć próby w ten sposób, żeby łączyć ze sobą osoby o podobnym prawdopodobieństwie zakażenia koronawirusem.

Chodzi o osoby z jednego środowiska, czy też miejsca, tak?

Właśnie. Czyli, dajmy na to, jeśli na jednym stole mamy próby pobrane od lekarzy, pracujących na oddziałach zakaźnych, do tego próby od lekarzy pracujących w małej przychodni, gdzie zagrożenie kontaktu z nosicielami koronawirusa prawdopodobnie jest mniejsze, i jeszcze próby pobrane od osób, które były na wakacjach w Singapurze, to takich prób ze sobą nie łączymy. Musi być wybrany algorytm, który wskaże, które próby można ze sobą łączyć. Przy okazji: dla mnie najważniejsze jest to, aby eksperymentalnie sprawdzić tą strategię na próbach, które są pobierane w polskich placówkach medycznych, w polskich szpitalach, które trafiają do sanepidu. Nie możemy opierać się tylko na doświadczeniach naszych kolegów z Niemiec czy USA.

Dlaczego?

Dlatego, że nie wiem, jak wyglądają procedury pobierania prób w innych krajach; pewnie są różne. Różnie też z tym jest w Polsce – pobranie wymazu do diagnostyki COVID-19 nie jest proste. Trzeba wiedzieć jak to robić i myśleć, że w wielu placówkach medycznych personel się jeszcze uczy. To normalne, bo epidemia wszystkich nas zaskoczyła. Musimy więc zobaczyć z jakim materiałem realnie mamy do czynienia. Pierwotnie myśleliśmy, żeby przetestować opracowane algorytmy na RNA wirusa, które wyizolujemy i oczyścimy w laboratorium. To by było dla nas najłatwiejsze. Ale wspólnie z dr Aleksandrą Pękowską, z Instytutu Nenckiego PAN, która jest koordynatorem opracowania protokołu diagnostycznego, doszliśmy do wniosku, że taka próba oczyszczenia w naszym sterylnym laboratorium odbiegałaby mocno od tego, co się dzieje w rzeczywistości, więc musimy mieć realne próby. Wiemy, że może być kłopot z ich czystością, w zależności od tego, kto pobrał i jak zabezpieczył pobrany materiał.

Czy to znaczy, że te procedury pobierania materiału do próbek nie są jednakowe?

W moim przekonaniu nie są jednakowe. Mimo procedur rekomendowanych przez

ministerstwo zdrowia, myślę, że tutaj można by było lepiej dopracować tę strategię, nie tylko w jaki sposób pobierać próby, ale też w jaki sposób przechowywać, jaki jest maksymalny czas dostarczenia tych prób do miejsca diagnostyki. Musimy zdawać sobie sprawę, że jeżeli się pobierze materiał i on będzie niezabezpieczony, np. będzie leżał za długo w temperaturze pokojowej, zanim trafi do laboratorium, RNA wirusa może już być zdegradowane, albo zanieczyszczone.

Czyli każdy szpital może mieć swoje procedury albo wręcz można pobierać materiał genetyczny bez stosowania się do procedur?

Procedury na pewno są i mam nadzieję, że ludzie się do nich stosują. Chcę w to wierzyć. Ale wolę sprawdzić (śmiech). Tak naprawdę więcej będę mogła powiedzieć, jeśli już przyjrzymy się tym próbkom, które dostaniemy z sanepidu, bo to będą te próby, które dostał i zdiagnozował sanepid. To, co chcemy zrobić, to sprawdzić czystość, poziom degradacji RNA no i oczywiście stężenie wirusa, jakie realnie otrzymuje się przy takim sposobie pobierania wymazów.

Na jakim etapie, jeśli chodzi o ten projekt i wdrożenie go, jesteście państwo teraz?

Mamy już wyniki wszystkich testów, jakie zostały zrobione przez wojewódzki sanepid w Warszawie – to jest ponad 9 tysięcy wyników testów; mamy o tych testach wszystkie niezbędne informacje, ale bez danych identyfikujących pacjenta, bo to jest nam niepotrzebne. Ale znamy powód, dla których dana osoba została skierowana do diagnostyki, wynik testu a także stężenie wirusa, który został testem wykryty. Te informacje są dla nas niezbędne, żeby opracować algorytm matematyczny, które próby z którymi można by było łączyć, żeby ocenić podobny poziom prawdopodobieństwa zachorowania. Tym się aktualnie zajmują nasi matematycy, informatycy, czyli osoby, z którymi współpracujemy przy tym projekcie. Tą część projektu koordynuje pan dr Szymon Toruńczyk z Instytutu Informatyki Uniwersytetu Warszawskiego. Dalej: dysponujemy też próbami, jakie zostały pobrane od pacjentów, będziemy testować je w taki sposób, w jaki proponujemy nam to algorytm matematyczny i zbadamy, czy wyniki sprawdzają się w realnych warunkach. Jeżeli się sprawdzi, to będziemy mieli gotową odpowiedź na to, w jaki sposób łączyć te próby do testowania zbiorowego. Jeżeli to się nie

sprawdzi, będziemy myśleć, jak dopracować tę metodę, co zmienić w algorytmie, jak pogrupować próbki, a może zmienić coś w metodzie izolacji RNA, czyli w tej części sensu stricte biologicznej, żeby później móc zrobić test genetyczny. I jest jeszcze trzecia trudność.

Chodzi o rodzaj testu, jaki będzie potrzebny do testowania zbiorowego?

Otóż to. Obecnie mamy na rynku pięć różnych testów do diagnostyki genetycznej koronawirusa. Już wiemy, że nie każdy z tych testów będzie się nadawał do takiej właśnie zbiorowej czy grupowej diagnostyki.

Które z testów nie będą się nadawać?

To właśnie musimy sprawdzić. Tego jeszcze dzisiaj nie wiem, podobnie, jak nie wiem, które testy będziemy rekomendować do zbiorowego testowania. Podejrzewam, że odpowiedź na to będziemy znali za dwa tygodnie.

Według sanepidu odsetek testów które wypadły pozytywnie wynosi mniej niż 5 procent. Wydaje się, że to niewiele, prawda? Co w takim razie, tak naprawdę pokaże testowanie grupowe? Czy bardziej pokaże to, ile osób jest zdrowych, czy bardziej skupi się na tym, żeby sprawdzać, ile osób jest zarażonych wirusem?

To, na co Pani zwróciła uwagę to jest właśnie jeden z powodów, dlaczego w ogóle zaczęliśmy myśleć o testowaniu grupowym, bo gdyby się okazało, że 60 procent jest pozytywnych, to wówczas takie testowanie nie miało by sensu. Natomiast w tej chwili ponad 95 procent wykonywanych testów to są testy negatywne, więc oczywiście, gdybyśmy mieli tak zgrupowane osoby, że przez algorytm matematyczny łączylibyśmy osoby, które nie mają koronawirusa, wówczas jednym czy dwoma testami moglibyśmy przetestować 100 osób, zamiast 100 testami. Cała metoda polega na tym, że mamy, dajmy na to 20 pacjentów danego oddziału szpitalnego, czy też pensjonariuszy DPS i testujemy ich codziennie. Jeżeli wynik jest negatywny, to oznacza, że wszyscy są zdrowi, można spokojnie pracować. Natomiast, jeśli w którymś momencie pojawi się pozytywny wynik, a jeżeli powtarzalibyśmy go co dwa dni, to bardzo szybko zauważylibyśmy, jeszcze zanim pojawiłyby się objawy, że mamy zakażenie. Wówczas musielibyśmy na nowo pullować te próby w ten sposób, że trzeba by było tę grupę 20 osób podzielić na dwie grupy – po 10 osób, albo w jednej 15, a w drugiej 5

osób, w zależności od prawdopodobieństwa, kto może być osobą zarażoną. Tylko że wtedy testujemy dwoma testami, a nie dwudziestoma, prawda? W ten sposób procedujemy aż do momentu wyselekcjonowania pojedynczej zakażonej osoby. Przy takim podejściu będziemy mogli dostać wynik po zrobieniu 5 testów, a nie 20, dzięki któremu będziemy mogli wskazać osobę, która jest chora. A to znowu oznacza oszczędność testów i materiału plus oszczędność czasu.

Wspomniała już Pani o stężeniu wirusa w wymazie. To ma związek ze stanem rozcięcia pobranych próbek, bo jak czytałam, zbyt rozcięzione nie pokażą prawidłowego wyniku. Na czym tu polega problem?

Wiemy już, na podstawie tych wyników, jakie dostaliśmy z sanepidu, że różne osoby mają różne stężenie koronawirusa w próbce. Są osoby, które mają to stężenie bardzo wysokie, a są i takie, które mają go tysiąc razy mniej. Przy tak dużej rozbieżności w stężeniu, możemy się zastanowić co będzie, jeżeli połączymy próbę osoby o bardzo niskim stężeniu wirusa z próbami osób, które w ogóle nie mają wirusa.

Wirus może nie zostać wykryty, bo będzie zbyt rozcięziony.

Tak może to działać. Stąd mówiłam, że nie każdy test nadaje się do testowania zbiorowego. Mamy świadomość, że poprzez łączenie prób możemy mieć bardzo niskie stężenie RNA wirusa, dlatego musimy mieć super czuły test. A nie każdy taki jest; niektóre wykrywają wirusa o określonej wysokości stężenia. Ale są też takie, które wykrywają już minimalne ilości RNA wirusowego.

Właśnie. Czy mowa tu o wynalazku naukowców z Poznania? Bo też głośno o tym, że tamtejsi badacze z Instytutu Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk stworzyli test genetyczny do wykrywania koronawirusa.

Test, który został stworzony w Instytucie Chemii Bioorganicznej w Poznaniu otrzymał już wszystkie atesty Państwowego Zakładu Higieny i został oceniony jako najbardziej czuły obecnie test na rynku. A jako taki, faktycznie, jest pierwszym kandydatem dla nas do testowania zbiorowego. Decyzją ministra nauki i szkolnictwa wyższego, pierwszych tysiąc tych testów, które zostaną wyprodukowane, przyjedzie z Poznania bezpośrednio do Instytutu Nenckiego po to, że-

byśmy włączyli je do naszych badań nad zbiorową diagnostyką. Przy okazji opowiem anegdotkę. Otóż znam profesora Marka Figlerowicza, dyrektora poznańskiego Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, współpracujemy przy kilku projektach, a tu nagle on dzwoni i mówi: „Słuchaj, dzwonił do mnie przed chwilą minister i mówi, że mam do ciebie wysłać tysiąc testów!” A ja na to: „Jasne, wysyłam” (śmiech). I tak oto trochę okrężną drogą dowiedzieliśmy się, że w gruncie rzeczy współpracujemy

Jak wynika z obecnych prognoz, wirus SARS-CoV-2 zostanie z nami na dłużej, możliwe, że na całe lata

również i przy tym projekcie.

Czy grupowe testy będą wykonywać wyznaczone laboratoria? Od początku pandemii w Polsce słyszę z jednej strony, że jest ich za mało, stąd tak mało testów. A z drugiej – że nie wszystkie laboratoria, które mogłyby przeprowadzać testy na koronawirusa, chcą się tego podjąć.

Na pewno chcielibyśmy zrobić implementację tej metody we wszystkich centrach diagnostycznych, laboratoriach, które teraz funkcjonują w Polsce. Każde laboratorium w Polsce dostanie od nas gotowy protokół i rekomendacje ministra, żeby robić badania zbiorowe. Zatem każdy, kto jest dziś w stanie zrobić pojedynczy test, będzie też w stanie zrobić testowanie zbiorowe. Chcielibyśmy, żeby to był standard diagnostyki SARS-CoV-2 w Polsce.

Rozumiem, ale kto będzie o tym decydował, kto będzie zlecał, aby takie testy przeprowadzić – czy to w szpitalu, czy w DPS, czy może w szkole albo jakimś urzędzie?

Będziemy musieli wypracować strategię powszechnego testowania. Zaproponuję w ministerstwie, w jaki sposób zrobić to organizacyjnie. Na razie rozmawiałam z ministrem o tym, że jak już będziemy mieli procedury i program komputerowy, który będzie informował diagnostę, które próby ze sobą ma połączyć w grupy, to takie procedury i program otrzyma każde laboratorium diagnostyczne w Polsce. To pierwszy ruch. Drugi jest taki – i tu potrzebna pewnie jest decyzja ministra – aby w określonych miejscach np. raz w tygodniu

wykonać testowanie zbiorowe. Jestem przekonana, że ministerstwo jest gotowe na to, aby rekomendować powszechne testowanie, ponieważ bez realnej informacji na temat tego, jak dużo mamy zakażeń, zwłaszcza tych bezobjawowych, nie wyjdziemy z tej epidemii.

Kiedy to wszystko będzie gotowe i zacnie się w Polsce zbiorowe testowanie?

Zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji. Czas to jeden z tych czynników, o których pamiętamy nieustannie. Widzimy, co się dzieje w Polsce i na świecie i wiemy, że takie testowanie jest absolutnie kluczowe, żebyśmy mogli powrócić do normalnego funkcjonowania. Mamy więc wewnętrzne poczucie, że musimy zrobić to jak najszybciej; pracujemy non stop. Zwłaszcza, że tą metodą moglibyśmy spokojnie dojść do robienia testów dla 100 tysięcy osób dziennie. Myślę, że realny termin to początek czerwca. Obstawiam, że to może być podstawowe narzędzie diagnostyki COVID-19 przez kilka najbliższych lat.

To znaczy, że ten wirus za gości u nas na dobre?

Jak wynika z obecnych prognoz wirus SARS-CoV-2 zostanie z nami na dłużej, możliwe, że na całe lata. Strategia testowania grupowego będzie przydatna na każdym etapie rozwoju epidemii. Dziś potrzebujemy tego rodzaju testowania, żeby zobaczyć czy już jesteśmy po szczycie, czy przed szczytem epidemii – tak naprawdę tego, przy tak wyrywkowym testowaniu, nie wiemy. Zbiorowe testy trzeba też wykonywać choćby po to, żeby monitorować sytuację, czy nie pojawiło się nowe źródło zakażenia koronawirusem w jakiejś społeczności w Polsce. Trzecia rzecz, o której wszyscy myślimy, to przygotowanie na drugą falę zachorowań, która przewidywana jest na październik, listopad. Może się zdarzyć, że ta jesienna fala będzie dużo bardziej groźna niż to, co się dzieje teraz w Polsce.

CV



PROF. DR HAB. AGNIESZKA DOBRZYŃ

Dyrektor Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, kierownik projektu SONAR Anty-CoronaVirus.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Scruton: Świat z miejscem na piękne rzeczy stwarza miejsce dla ciebie

Filozofia

Natura każdemu z nas dostarcza pola do swobodnych postrzeżeń. Możemy naszym zdolnościom pozwolić z niej czerpać, bez potrzeby odczytywania tego, co do nas mówi - pisał niedawno zmarły prof. Roger Scruton, jeden z najbardziej znanych brytyjskich filozofów.

Od prehistorycznych malowideł z Lascaux, po pejzaże Cézanne'a, poezję Guido Gezelle'a i muzykę Messiaena, sztuka zawsze poszukiwała znaczenia w świecie natury. Doświadczenie piękna naturalnego to coś innego niż spostrzeżenie: „Jakie to ładne!” lub „Jakie przyjemne!”. Kryje się w nim potwierdzenie, że świat jest dobrym i odpowiednim miejscem do bycia - domem, w którym nasze ludzkie zdolności i aspiracje znajdują dla siebie potwierdzenie.

Potwierdzenie to może być zdobywane na różne sposoby. Kiedy na pustym wrzosowisku wiatr gna chmury na niebie, cienie przemyskają po polach, a ty słyszysz śpiewny głos kulika ze wzgórz, dreszcz, jaki czujesz, jest jednocześnie potwierdzeniem rzeczy, które obserwujesz, i twojej obecności jako obserwatora. Kiedy zatrzymujesz się, by przyrzuć się dzikim kwiatom lub układowi ptasich piór, doświadczasz wzmożonego poczucia przynależności. Świat, w którym jest miejsce na takie rzeczy, stwarza też przestrzeń dla ciebie.

Kiedy nacisk pada na całociowy ogłód lub jednostkowy organizm, estetyczne spojrzenie ma zdolność transfiguracji. Wydaje się, jak gdyby świat naturalny, uchwycony w świadomości, usprawiedliwiał jednocześnie siebie samego oraz ciebie. Doświadczenie to ma wydźwięk metafizyczny. Świadomość znajduje rację dla siebie w przekształcaniu świata zewnętrznego w wewnętrzny - w coś, co żyć będzie w pamięci jako idea. Rilke w „Elegiach duinejskich” idzie dalej, twierdząc, że ziemia także znajduje spełnienie w tej transformacji, zyskując, przefiltrowana przez świadomość, wymiar wewnętrzności, który jest odkupieniem zarówno jej samej, jak i tego, kto jest jej autentycznym obserwatorem.

To transformacyjne działanie nie wypływa z poznania natury, lecz z doświadczenia jej. Naukowcy podziwiają złożoność świata natury, ale nauka nie wy-



Scruton: Prawda jest w żarcie Oscara Wilde'a, że tylko osoby powierzchowne nie sądzą po pozorach

starczy - ani nie jest konieczna - do tego, by nastąpił ów moment transfiguracji, o którym Wordsworth pisał w „Preludium”. W doświadczeniu piękna świat ponownie staje się dla nas domem, a my powracamy do świata. Staje się on jednak domem w szczególny sposób - przez to, że nam się ukazuje, a nie przez to, że go używamy.

Natura i sztuka

Pojawia się jednak trudność. Jak oddzielić w naszym myśleniu i doświadczeniu wytwory natury od wytworów człowieka? Cierń, wokół którego oplata się powój w wierszu Clare'a, pochodzi z pewnością z brzydkiego żywopłotu z tarniny. Piękno angielskiego pejzażu utrwalonego przez Constable'a w każdym swoim szczególe zależne jest od ludzkiej pracy, gdy chodzi zarówno o układ pól, jak i zagajników i zagród, ogrodzeń i żywopłotów, które widoczne są wszędzie, będąc integralną częścią ukazującej się tutaj harmonii.

Estetyczne zainteresowanie naturą to zainteresowanie zjawiskiem, nie nauką, która stara się je wyjaśnić

Constable tworzy obraz domu, miejsca dopasowanego do ludzkich potrzeb i w każdym swoim szczególe noszącego ślady ludzkich nadziei i dążeń (choćby usuwa, jak twierdzą niektórzy, ślady faktycznych realiów pracy na roli).

Innymi słowy, piękno pejzażu często wiąże się z jego ludzkim wymiarem - jest on po części naszym własnym wytworem, na którym odcisnęła piętno kultura. I aby je docenić, musimy nauczyć się jak Wordsworth:

*„Patrzeć na przyrodę nie jak w porze
Młodej, bezmyślnej, ale często
słyszac
Cichą a smutną muzykę ludzkości”.*

Kant unika tej trudności, wybierając swoje przykłady przede wszystkim spośród roślin i zwierząt. Ale nawet rośliny i zwierzęta mogą być naznaczone ludzkim oddziaływaniem. Niektóre z najpiękniejszych - jak konie i tulipany - to efekt świadomej selekcji i hodowli rozwijanej przez wieki. Psy i konie pokazywane są na wystawach przez wzgląd na ich piękno, uznanie przypada jednak nie tyle im, co ich hodowcom i właścicielom.

Wielu pisarzy - od Allena Carlsona po Malcolma Budda - argumentowało zatem, że pojęcie piękna naturalnego stosuje

się do przedmiotu tylko wówczas, gdy postrzegany jest on jako naturalny, i tylko wtedy, gdy jego wygląd nie został ukształtowany przez ludzką rękę - jedynie wtedy mamy podstawy sądzić, że istnieje coś takiego jak piękno naturalne i że ma ono swoje miejsce w kręgu podstawowych wartości.

Nie znaczy to, że powinniśmy wyłączyć ludzką aktywność z naszej koncepcji natury. Kiedy cieszę się widokiem łąk i żywopłotów w angielskim pejzażu, nie tylko mam świadomość, że są one wytworem ludzkiej pracy i ludzkich zamiarów. Doceniam ten pejzaż jako naznaczony pewnym sposobem bycia, ponawianym wysiłkiem tworzenia domu i zadawania się. To dlatego pejzaż ma tak głębokie duchowe znaczenie, nie tylko dla mnie, ale też, od wielu wieków, dla Anglików - między innymi dla twórców takich jak John Clare, Paul Nash czy Ralph Vaughan Williams, którzy znaczenie pejzażu przekładali na sztukę.

Mimo to nie postrzegam pejzażu jako jawnie zaprojektowanego przez kogoś po to, by wyglądał w ten właśnie sposób, nawet jeśli liczne jego elementy (układ żywopłotu, symetria ogrodzenia, konstrukcja kamiennego muru) były motywowane estetyczną intencją. Ani też nie podchodzę do pejzażu

z takimi oczekiwaniami i założeniami, z jakimi podchodzę do sztuki. Postrzegam go jako swobodny wytwór natury, w którym swoje miejsce mają też ludzie, ponieważ oni także są częścią natury, pozostawiając za sobą nieintencjonalne ślady swojej obecności i niezamierzone znaki radości czy smutku.

Allen Carlson przekonywał też, że owo „postrzeganie natury jako natury”, które jest jądrem doświadczenia piękna naturalnego, skłania nas, byśmy zblżyli się do natury takiej, jaka naprawdę jest, a to mogłoby oznaczać postawę bliską perspektywie przyrodnika - badanie tego, co nam się ukazuje w świetle naukowej wiedzy o środowisku. Estetyczne zainteresowanie kształtem, lotem i głosami ptaków byłoby w takim razie wstępem do ornitologii, pozwalającej dopełnić akt rozumienia i oceny rozpoczęty przez doświadczenie piękna. Estetyczne zainteresowanie barwą mi i kształtami naturalnego krajobrazu prowadziłyby w efekcie w stronę nauki o środowisku i o uprawie roli.

Choć z pewnością możliwe jest tego rodzaju naukowe rozwinięcie zainteresowania pięknem natury, nie powinniśmy zapominać, że estetyczne zainteresowanie naturą to zainteresowanie zjawiskiem, niekoniecznie zaś nauką, która stara się je wyjaśnić.

Prawda kryje się w dowcipie Oscara Wilde'a, mówiącym, że tylko osoby powierzchowne nie sądzą po pozorach. Pozory są bowiem nośnikami znaczenia i ośrodkiem naszych emocjonalnych reakcji. Kiedy zwraca moją uwagę czyjaś twarz, doświadczam to nie jest wstępem do jakiegoś badania anatomicznego, a dostrzeżenie piękno nie każe mi myśleć o układzie kości, ścięgien i nerwów, które by je wyjaśniały. Przeciwnie, widzieć pod skórą czaszkę to widzieć ciało, a nie żywą osobę, a więc - zgodnie z żywym obserwatorem z drugiego rozdziału - nie dostrzec piękna twarzy. To samo dotyczy piękna naturalnego. Dla ornitologa śpiew kosa to sposób znaczenia przez ptaka terytorium i istotny czynnik doboru seksualnego. My odbieramy go jako melodię - a pojęcie melodii, na które nie ma zapewne miejsca w doświadczeniu samego kosa, nie odgrywa też żadnej roli w badaniu jego zachowania.

Fenomenologia doświadczenia estetycznego

Innym sposobem wyrażenia tego ostatniego twierdzenia

byłoby powiedzenie, że doświadczenie piękna naturalnego należy do sfery naszej „intencjonalności”, a nie naukowego rozumienia - skupia się ono na tym, jak natura jawi się nam w naszym doświadczeniu, a nie na naturze takiej, jaka jest sama w sobie. By zrozumieć piękno naturalne, musimy więc wyjaśnić sposób, w jaki rzeczy naturalne się jawią, kiedy ujmowane są w estetycznym spojrzeniu. Sposób, w jaki rzeczy się jawią, zależy natomiast od kategorii, jakie na nie nakładamy. Kiedy patrzę na świat bezinteresownie, nie tylko otwieram się na jego ukazujący się aspekt - wchodzę w relację z nim, eksperymentuję z pojęciami, kategoriami i ideami kształtowanymi przez moją świadomą naturę.

Proces ten dobrze ilustruje sztuka malarska. Pejzaże Poussina, Corota, Harpignies'a i Friedricha mogą oddawać podobne układy gór, łąk i drzew. Ale postawa kontemplacji w każdym z nich w inny sposób wypełnia postrzeżenia duszą malarza, tworząc obraz, który w niepowtarzalny sposób należy tylko do niego. Podobnie natura każdemu z nas dostarcza pola do swobodnych postrzeżeń. Możemy naszym zdolnościom pozwolić z niego czerpać, bez potrzeby odczytywania tego, co się do nas mówi.

Nawet jeśli ludzie mieli częściowo swój udział w stworzeniu pejzażu, który mam przed oczami, nie komunikuje on żadnej konkretnej artystycznej intencji: jego szczegóły niszczone i zacierane są przez historię i mogą z dnia na dzień ulec zmianie. Ale to właśnie samo „bycie tutaj” naturalnego świata pozwala mi się w nim zatracić, postrzegać go raz z jednego punktu, to znów z innego, opisać go tak lub inaczej.

KSIAŻKA



Roger Scruton, „Piękno”,
tłumaczenie: Sylwia Krawczyk,
Agnieszka Rejniak-Majewska,
Wydawnictwo Uniwersytetu
Łódzkiego, Łódź 2018

11 MAJA

DZIEŃ BEZ ŚMIECENIA



#WłączSięDoGry

OGLĄDAJ CODZIENNIE OD 4 DO 11 MAJA NA FACEBOOKU DNIA BEZ ŚMIECENIA



Jak co roku o tej porze zwracamy się do Was... już po raz 14! Przez ostatnie lata zdążyliśmy nauczyć się wiele o ekologii. Wspólnie z Wami organizowaliśmy ekologiczne wydarzenia, gry i zabawy. Byliśmy z Wami zarówno online i offline.

Okazuje się, że przez te wszystkie lata mało kto nie spotkał się z **Dniem Bez Śmiecenia**.

Co roku do akcji angażuje się kilkaset tysięcy osób.

Ta edycja jest wyjątkowa... ten rok jest wyjątkowy.

Zostając w domu, możesz zrobić coś dla świata.

W tegorocznej edycji zapraszamy Was do wspólnej zabawy w **Teleturniej Dnia Bez Śmiecenia**, ale spokojnie - nikogo nie będziemy oceniać.

Dołączcie do nas na Facebooku, gdzie już 4.05 rozpocznie się konkursowa zabawa. Codziennie będzie pojawiać się jedno pytanie, a **Wielki Finał odbędzie się w Dzień Bez Śmiecenia - 11 maja**.

Jak poradzą sobie wyjątkowi uczestnicy tegorocznego Teleturnieju Dnia Bez Śmiecenia?

Na pewno przyda się Wasze wsparcie, dlatego zapraszamy do odpowiedzi w komentarzach i do wspólnej zabawy. Pierwsze trzy osoby, które poprawnie odpowiedzą na pytania, zostaną nagrodzone!

Jak włączyć się do akcji?

• Polub Dzień Bez Śmiecenia na Facebooku

<https://www.facebook.com/dzienbezsmiecenia/>

• i Instagramie <https://www.instagram.com/dzienbezsmiecenia365/>

• Pomóż uczestnikowi programu odpowiedzieć na pytanie w komentarzu.

• Weź udział w konkursie!

• Podziel się wiedzą z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi z pracy i szkoły!

• Bądź z nami od 4.05 i zostań już na cały rok!

• Zwycięzców tegorocznej edycji poznamy 11 maja.

Od 11 maja Wszystkie materiały będą również dostępne do pobrania na stronie www.dzienbezsmiecenia.pl w zakładce „Materiały edukacyjne” - możecie dowolnie wykorzystać je w trakcie działań w pracy, szkole lub w domu.

Pamiętaj, żeby być ekologicznym!

Mimo że nie spotkamy się przy wspólnych aktywnościach - ciągle możemy zrobić wiele dobrego, nawet z własnych domów!

Dzień Bez Śmiecenia to kampania prowadzona od 2007 roku przez Rekopól Organizację Odzysku Opakowań S.A. Współorganizatorami akcji są akcjonariusze firmy, klienci i każdy, kto chce aktywnie w niej uczestniczyć. Celem kampanii jest propagowanie prawidłowych zasad segregowania odpadów, promowanie proekologicznych postaw i ochrony środowiska.

Według danych GUS w 2018 r. w Polsce wytworzono 128 mln ton odpadów, z czego 9,8% to odpady komunalne - 12 485 tys. ton odpadów. Tym samym odnotowano wzrost ilości wytworzonych odpadów o 4,3% w stosunku do roku ubiegłego. Oznacza to zwiększenie ilości wytworzonych odpadów komunalnych na jednego mieszkańca z 311 kg w 2017 r. do 325 kg w 2018 r.

W Polsce z zebranych oraz odebranych w 2018 r. odpadów komunalnych 7,1 mln ton przeznaczono do odzysku (57% odpadów komunalnych wytworzonych), z tego do recyklingu przeznaczono 3,3 mln ton (26%), do przekształcenia termicznego z odzyskiem energii 2,8 mln ton (23%), do biologicznych procesów przetwarzania (kompostowania lub fermentacji) został skierowany 1,0 mln ton (8%).

Z roku na rok wytwarzamy coraz więcej odpadów, dlatego 11 maja chcemy zwrócić uwagę na ten problem. Chcemy przypomnieć, jak segregować, po co to robimy i dlaczego jest to ważne. Odpady mogą dostać drugie życie, a lasy, jeziora, rzeki być wolne od śmieci. **#WłączSięDoGry**



ZAJRZYJ NA
naszego Facebooka

DZIEŃ BEZ ŚMIECENIA 365

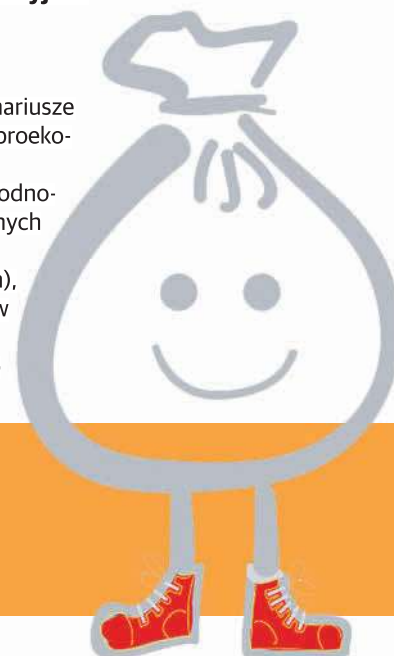
#WłączSięDoGry



@ dzienbezsmiecenia365



@ dzienbezsmiecenia



Krzysztof Kilian: Świat chce zbudować nowy porządek

Wiele państw chce nowego rozdania. – Chcą go Stany Zjednoczone, chce go Rosja, chcą go Chiny, Indie, także Brazylia, która dzisiaj ma więcej kłopotów, w końcu Unia Europejska. Po pandemii trzeba będzie usiąść i budować od nowa ład świata – mówi Krzysztof Kilian, polityk, menedżer, były minister łączności

Dorota Kowalska
d.kowalska@polskatimes.pl



Rozmowa

Pan biznesowo, zawodowo stracił na pandemii?

Nie straciłem i nie zyskałem, jestem umiarkowanie zaangażowany biznesowo. W przyszłej perspektywie, jeżeli nie będzie się można poruszać, pewnie jednak stracę.

Kiedy pan patrzy na to, co dzieje się dzisiaj w polskiej gospodarce, to jak pan ocenia sytuację?

Pojawia się porównanie obecnej sytuacji do tej z 1945 roku. Mówi się, że mamy większy kryzys niż w 1989 roku. Jednak z polskiej perspektywy, to nie jest większy kryzys niż ten z 1989 roku, bo wtedy mieliśmy do czynienia z totalną zapaścią: nie było państwa, nie było aktywów, nie było pieniędzy – nie było też ludzi, którzy potrafili zarządzać państwem i gospodarką. Dzisiaj mamy kryzys, ale mamy wykształconych ludzi, mamy aktywa i nie jesteśmy sami – jest Unia Europejska, jest NATO. To nie oznacza, że ten najbliższy czas nie będzie bolesny. Przez ostatnie 30 lat byliśmy przyzwyczajeni do ciągłego wzrostu gospodarczego. W związku z tym wychowały się jedno czy dwa pokolenia, które nie wiedzą, czym są spadki na rynkach, nie wiedzą, co znaczy ograniczanie siebie samego, jeśli chodzi o dobrostan, który nas otacza. Dzisiaj gospodarka stoi oczywiście przed bardzo dużym wyzwaniem, ale można z tej sytuacji wyjść, pod warunkiem że ci, którzy będą wpływać na kształt regulacji, na kształt zdarzeń na rynku ekonomicznym będą kompetentni i będą wiedzieli, jak to profesjonalnie i rozsądnie zrobić.

Dla takiego przeciętnego obywatela sytuacja gospodarcza wygląda tak, jak wygląda sytuacja jego same-



Kilian: Rysują się nowe porządki polityczne. Porządek ustanowiony po 1945 roku upada

go, znajomych, sąsiadów: część z nich straciła pracę, części obniżono pensje, a towary w sklepach coraz droższe. Nie wygląda to dobrze!

Pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, to utrzymanie jak największej liczby miejsc pracy i płynności firm. Powinno się było o to zadbać przynajmniej miesiąc temu. Niestety, mamy tu do czynienia z polską celebrą, która wynika z tego, że polski przedsiębiorca uważany jest za kogoś podejrzanego. Według władzy, procedura uruchamiania pomocy musi być tak skonstruowana, żeby eliminować te nieuchronne przypadki nadużyć i nieuczciwości. Gdy tymczasem tu liczy się szybkość. Nie słowa, a czyny decydują o tym, co się dzieje, czy to w polityce, czy w gospodarce. Kto szybko daje –

dwa razy daje. O tym rządzący zapomnieli, a może o tym nie wiedzą, bo ciężko wskazać kompetentne osoby, które zarządzają procesem pomocowym.

Polski rząd postawił na izolację, zamrożenie polskiej gospodarki, czemu z punktu widzenia bezpieczeństwa, trudno się dziwić. Ale jak, pana zdaniem, wpłynie to na jej stan, jaki będzie chociażby spadek PKB?

Nie wiem, jaki będzie spadek PKB. Różni analitycy czy makroekonomiści prognozują recesję na poziomie minus 10 procent w II kwartale. Nie wiem, jak te dane będą się kształtować. Jeszcze dwa miesiące temu wszyscy prognozowali ok. 3,5-procentowy wzrost PKB. Trudno na takie pytanie odpowiedzieć. Zobaczymy, co się będzie działo.

Nie ma dzisiaj mądrych, którzy powiedzieliby, w jaki sposób i z jakim skutkiem gospodarka zostanie uruchomiona na nowo. Będziemy musieli tego doświadczać od początku do końca – to będzie takie ćwiczenie na żywym organizmie. Na pewno zaobserwujemy różne bolesne zdarzenia, obojętne, czy to będzie jak najmniej. Potrzebna i pomocna będzie działalność prowadzona obecnie przez Polski Fundusz Rozwoju. Natomiast, kiedy czytam komunikaty rządzą-

Ten kryzys przypomina „wojnę”, bo nie ma gdzie uciec, wszystko się zwiesiło, wszystko też przestało działać

cych, to widzę nieustającą propagandę własnych działań, zamiast ratowania – jeszcze raz powtórzę – miejsc pracy i płynności firm. To stwarza szansę, że podmioty gospodarcze będą mogły wrócić do swojej działalności sprzed pandemii, dając ludziom możliwość zarobkowania.

Ten kryzys gospodarczy nie dotyczy tylko Polski, ale całego świata: kłopoty mają Francuzi, Niemcy, Amerykanie. Sytuacja jest wyjątkowa, prawda?

Niewątpliwie tak. Mamy do czynienia z ciągłym kłopotem, bo w zasadzie nie ma gdzie uciec, nie ma gdzie znaleźć bezpiecznej przystani, ponieważ jak pani powiedziała, kryzys dotyka wszystkich. Wszystkie kraje mają jakieś kłopoty. Te, które pani wymieniła, kraje rozwinięte, przeżywają większe kłopoty niż my. Specjaliści mówiący o przyszłości zgodnie twierdzą, że nie będzie powrotu do stanu sprzed pandemii, że rozpocznie się proces deglobalizacji, czyli zrywania łańcuchów dostaw, że poszczególne państwa będą próbowały budować bezpieczeństwo i niezależność gospodarczą. Wróć różnego rodzaju egoizmy, zamknięcia, regionalizmy po to, aby państwo było bezpieczne. Przynajmniej w rozumieniu tych, którzy tak widzą naszą przyszłość. Czy tak się stanie, nie wiadomo. Ten kryzys przypomina „wojnę”, bo nie ma gdzie uciec, wszystko się zwiesiło, więc trzeba się teraz zastanowić, co będzie po tej „wojnie”, jaki nowy ład zaplanuje. Widać wyraźnie, że rysują się nowe porządki polityczne. Stąd porządek ustanowiony po 1945 roku upada. Wiele państw chce nowego rozdania – chcą go Stany Zjednoczone, które nie zamierzają już nieść na swoich barkach ciężaru wszystkich zmian na świecie, chce go Rosja, chcą go Chiny, Indie, także Brazylia, która dzisiaj ma więcej kłopotów, w końcu Unia Europejska. Kiedy spojrzysz się

na ostatnie ruchy ze strony Stanów Zjednoczonych...

Chodzi panu o wstrzymanie składki na WHO?

Właśnie, ale też oskarżanie WHO o to, że w kryzysie pandemicznym sprzyja Chinom, kosztem świata zachodniego. Jakiś czas temu Donald Trump wspomniął o tym, że Stany Zjednoczone powinny przestać finansować ONZ. To sygnały, które pokazują, że chcemy zbudować nowy porządek.

I jak ten nowy porządek mógłby wyglądać?

Nie wiem, ale wiem, że wielu graczom to na rękę. Zarówno Stanom Zjednoczonym, które, jak już mówiłem, nie chcą być liderem, ponoszącym wszystkie koszty bycia globalnym żandarmem, który pilnuje porządku, aby mógł się odbywać światowy handel. Amerykańska flota pilnuje szlaków transportowych, żeby można było handlować i globalizować gospodarkę. Ale jest też i Rosja, która od 2014 roku, czyli po agresywnym zajęciu Krymu pokazuje wyraźnie, że nie godzi się ze skutkami zdarzeń po 1989 roku. Upadek projektu o nazwie Związek Radziecki wypchnął Rosję ze światowej rywalizacji. Beneficjentami okazały się demokracje zachodnie i państwa, które wydostały się spod wpływu ZSRR. Rosja na tym straciła i od 2014 roku pokazuje i manifestuje swoją wolę wydobyć się z tego stanu, stąd na przykład jej aktywność na Bliskim Wschodzie. Jednocześnie nie udało się przeprowadzić demokratycznych zmian w Rosji, mimo obiecujących początków. Amerykanie, po zajęciu Krymu, w wyniku którego nałożono na Rosję międzynarodowe sankcje, próbowali Rosję izolować i traktować jako mocarstwo regionalne. To zmieniło się po dojściu Donalda Trumpa do władzy. Putin przeprowadza sporo operacji na świecie i dzisiaj domaga się nowego rozdania – niekoniecznie według reguł życia przyjęte-

go w świecie zachodu. Do tego dochodzą Chiny, które znalazły się w niebezpiecznym okresie, bo po 30-letnim okresie wzrostu gospodarczego, podobnie jak w Polsce, tego wzrostu nie będzie, natomiast konsumentów będzie przybywać, dlatego Chińczycy muszą uciec do przodu. Świat lepiej się rządzić, przynajmniej tak można sądzić z historii, kiedy była swoista dyktatoria i podział na dwie strefy: dobry zachód i zły wschód. Wtedy było wszystko jasne: albo się było z tymi dobrymi, albo ze złymi. Z tego też powodu całość kosztów, które były potrzebne do budowania światowego ładu politycznego, w zasadzie spoczywały na Amerykanach.

Chce pan powiedzieć, że wrócimy do podziału: do bry zachód i zły wschód?

No tak, cokolwiek by ten zachód i wschód znaczył. Kiedy czyta się anglojęzyczną prasę, to widać wyraźnie, że w mediach przeprowadzany jest atak na anglosaski ład. Działania Chin i Rosji nie pozostawiają złudzeń, co do zamiarów. Chodzi im o podział świata zachodniego, osłabienie go. Francuzi też odczuwają te działania, publicznie je napominając. Można powiedzieć, że krytyka Chin, od tygodni przybiera na sile. Rosja pozostaje z boku, co nie znaczy, że nie jest wzmiankowana, szczególnie przez Amerykanów, którzy ostrzegają swoich partnerów przed działaniami Rosjan. Można zaryzykować tezę, że oto buduje się taki podział: złe Chiny, od których się wszystko zaczęło, Rosja gdzieś się tam prześlizguje boczkami i do brzy Amerykanie. Do 2015 roku wydawało się, że TTIP, czyli traktat pomiędzy UE a USA, który miał powiązać silnie europejską gospodarkę z amerykańską i TPP, czyli Amerykanie z Japonią, Malezją, Wietnamem, Singapurem i innymi na Pacyfiku, to zwyciężenie światowej globalizacji. Gdyby te traktaty weszły w życie, powstałyby ogromne organizmy i strefy wolnego handlu. Chiny mogłyby się jeszcze bronić, bo są dużą gospodarką, ale Rosja znalazłaby się między podwójnymi drzwiami: weszła w pierwsze, które zamknęła, a drugie się jeszcze nie otworzyły, gdy te pierwsze już są zatrzaśnięte. I co się stało? Te dwa traktaty, już wynegocjowane, nie weszły w życie: jeden został wstrzymany, a drugi wypowiedziany. Ten fakt rozmontował znowu scenę polityczną, Rosja znowu wróciła do gry i dochodzi do różnego rodzaju przetasowań. Teraz sytuacja kolejny raz się zmieniła, bo pandemia dotyka wszystkich. Jeżeli się

uspokoi, wirusolodzy mówią, że trzeba poczekać 12-18 miesięcy, może trochę dłużej, to trzeba będzie usiąść i budować od nowa ład świata, pewnie inny od tego, który znamy. Na pewno inny.

Tyle tylko, że światowa gospodarka mocno opiera się o tego „złego”, czyli o Chiny. To co, poszczególnie kraje będą się teraz uniezależniać do Chin?

Takie dyskusje się toczą, różni ludzie zastanawiają się, jak zbudować nowe łańcuchy dostaw. Jedne kraje mają w Chinach większe interesy, inne mniejsze. Stany Zjednoczone mają tam na pewno ogromne zaangażowanie ekonomiczne, a mimo to próbują przebudować swoją strategię polityczną i gospodarczą wobec Chin. Jeśli przypomni sobie pani, co Donald Trump mówił w pierwszych miesiącach swojego urzędowania, to mówił: „Przenoście swoje interesy z Chin do Stanów. Chcemy, żeby znowu powstały amerykańskie przedsiębiorstwa”. Wtedy te słowa odbieraliśmy inaczej, patrzyliśmy na te wystąpienia jako na mocno nacjonalistyczne, że oto Ameryka jest najważniejsza, pierwsza, że liczy się tylko ona. Dzisiaj te słowa nabierają trochę innego znaczenia. Niemcy są bardzo mocno zaangażowani w Chinach, ale też i cała UE. Pod koniec 2019 roku Unia Europejska wpisała w swoich dokumentach określenie, „że chińska gospodarka działa na zasadach konkurencyjnych”, czyli dała Chińczykom możliwość działania w europejskim obszarze ekonomicznym. Chińczycy domagali się uznania ich gospodarki właśnie za rynkową praktycznie od 2001 roku. Dzięki temu mogą uczestniczyć we wszystkich przetargach, przejściach, operacjach. Wielu krajom taki stan rzeczy był na rękę. Dzisiaj jest inaczej. Niemcy w marcu przyjęli ustawodawstwo, które chroni niemieckie aktywa spółek przed agresywnymi przejściami, między innymi ze strony chińskiej. W listopadzie nikt się nie spodziewał takiego obrotu spraw. Zresztą, we wszystkich krajach rozwiniętych wprowadzane są tego typu zabiegi protekcyjne, mające chronić przed wrogimi przejściami.

Tak swoją drogą, Polska będzie chyba wśród tych dobrych, prawda?

Trzeba się trzymać tych, którzy wiedzą, jak uciec do przodu mając za podstawę demokratyczne wartości. Ze zdziwieniem przeczytałem artykuł premiera Morawieckiego we włoskim dzienniku „La Repubblica”, w którym narzekał na UE, ale my Polacy Włochom pomo-

żemy i razem uporządkujemy Unię. Musimy trzymać się tych łańcuchów dostaw i tych partnerów, które dają nam miejsca pracy, a więc Niemiec i Francji, bo to 70 procent naszego eksportu będącego dźwignią naszej gospodarki. Jeśli nie będziemy się trzymać tych partnerów, a ustawimy się w kolejce po pieniądze np. razem z Włochami, to tak jakbyśmy się mieli ścigać na 100 metrów z Usainem Boltiem. Włosi załatwią swoje sprawy, to jest jedna z siedmiu najbardziej rozwiniętych gospodarek świata - wszyscy zadają, żeby byli tam, gdzie trzeba. Oczywiście, że egoizmy wstrząsnęły Europą, myśmy zachowali się podobnie. Zamknęliśmy gospodarkę, granice bez żadnych uzgodnień, postąpiliśmy identycznie, jeżeli nie potrafimy znaleźć swojego miejsca, zadbać o nie w Unii Europejskiej, nie potrafimy pokazać, że warto z nami grać, to nie będzie ucieczki do przodu. Nie wiemy, jak ten nowy świat po pandemii będzie wyglądał, nie wiemy, jaka będzie Unia Europejska. Nie możemy ciągle przeszkadzać w przebudowie tego, co jest, bo nawet jeśli coś nam się nie podoba, to pewne sprawy załatwia się w sposób dyplomatyczny budując swoją pozycję wśród partnerów. Nie możemy cały czas przypominać, co było 50, 100 lat temu - to wypowiedzi na potrzeby polityki wewnętrznej, a my powinniśmy grać o to, żeby jak najbardziej suchą stopą przejść przez kryzys.

A jak w takim wymiarze krajowym mogą wyglądać zmiany po pandemii, dzisiaj widzimy już na przykład, że wielkie szklane biurowce wcale nie są do niczego potrzebne, że ludzie, przynajmniej w wielu dziedzinach gospodarki, mogą pracować zdalnie. Myśli pan, że pandemia wpłynie na nasz sposób pracy i funkcjonowania?

CV



FOT. BARTEK SYTA

KRZYSZTOF KILIAN

Polityk, menedżer, minister łączności w latach 1992-1993. Należał do Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Unii Wolności. W 2001 poparł powstanie Platformy Obywatelskiej, nie był jednak jej członkiem.

Pewnie tak. Do niedawna pewne rzeczy nie były do załatwienia w urzędzie online. Dzisiaj, nawet jeśli urząd skarbowy przysyła jakiś dokument listownie, to pod koniec listu zastrzega, żeby odpowiedzieć online, broń Boże nie przysyłać żadnej odpowiedzi na piśmie. Więc pewnie się to zmieni, bo takie funkcjonowanie jest wygodne, a poza tym będzie wymuszone nową sytuacją. Jeżeli jakieś działania są efektywne, to czemu ich nie zostawić. Ale proszę zauważyć, że za chodzą też procesy, które są wbrew rządzącym.

To znaczy?

Weźmy na przykład reformę edukacji. Rządzący wepchnęli nas w XIX wiek, natomiast pandemia mówi: „Nie, nie moi drodzy, żaden XIX wiek. Wracacie nie do XX wieku, ale do XXI wieku. I to natychmiast”. To pokazuje niedopasowanie ludzi, którzy decydują o pewnych zdarzeniach, ich brak dystansu, wiedzy i kompetencji - edukacja jest tutaj najlepszym przykładem. Musimy się uczyć online. Jesteśmy do tego przygotowani? No nie. Czy to jakaś szansa dla nas? Na pewno szansa, żeby pewne rzeczy uporządkować. Nawet głupie pomysły są czasami weryfikowane przez życie, a konkretnie przez takie tragiczne wydarzenia jak pandemia.

Tylko kłopot będzie w tych dziedzinach gospodarki, w których kontakt z drugim człowiekiem jest po prostu konieczny, bo trudno wyobrazić sobie, żeby fryzjerki strzygły online, prawda? Co z tymi gałęziami gospodarki, jak pan myśli?

Jeszcze nikt nie wymyślił zdalnego obcinania włosów, ale kto wie. Nie wiem, jak będzie wyglądała sytuacja tych sektorów gospodarki, ale musimy nauczyć się jakoś żyć w nowych okolicznościach przyrody, że tak powiem. Dentysta też dzisiaj wyposażony jest w sprzęt, którego do niedawna nie używał - jest tak zabezpieczony, że nie ma możliwości, aby się czymkolwiek zaraził od swojego pacjenta. Trudno sobie wyobrazić, żeby fryzjer aż tak inwestował w strukturę pomocniczą, ale być może będzie taka konieczność. Tu posłużę się przykładem - Anthony Fauci, wirusolog i najważniejszy doradca prezydenta Trumpa na czas pandemii. Tylko jemu udaje się prostować prezydenta Trumpa, ale to jedyny człowiek, który może to robić publicznie. Uczciwy naukowiec, rzetelny człowiek - w Stanach wiedzą, że to niezbędne przymioty kogoś na pierwszej linii frontu, jeśli chodzi o komunikowanie się

z obywatelami. A więc Fauci zapytany na konferencji prasowej o to, kiedy będziemy się mogli witać, jak to mają w zwyczaju Francuzi, pocałunkiem w dwa policzki, czy będziemy mogli sobie podawać rękę, czy będziemy się mogli ścisnąć, odpowiedział: „Na pewno nie teraz, być może nie także w przyszłości”, czyli w ogóle nigdy. Nie wiemy, co się dzieje, więc lepiej powiedzieć coś, co może za-

Poważni ludzie zajmują się poważnymi sprawami, a taką jest ochrona miejsc pracy, czyli bezpieczeństwo obywateli

brzmieć złowrogo czy szokująco i być mile zaskoczonym, jeśli to się nie wydarzy, niż nie przewidzieć pewnych zdarzeń, które mogą nas nie mile zaskoczyć. Mało tego - mogą nam przysporzyć wiele krzywd i kłopotów.

Myśli pan, że elitom rządzącym, elitom gospodarczym ta pandemia da do myślenia? Każe się zastanowić nad tym, czy może nie za bardzo tę planetę dewastujemy, że może warto odejść do węgla, że może warto odejść od węgla, zadbać o środowisko, naturę?

Niewątpliwie taka refleksja nasuwa się sama z siebie. Natomiast niedowiarzanie zawsze będą istnieli, nie będziemy mieli jednolitego poglądu w tych kwestiach, ale być może podniesie się poziom dyskusji. Może ktoś zrozumie, że polityka klimatyczna to nie demagogia, że powinniśmy się zastanowić nad tym, czy może nie za bardzo tę planetę dewastujemy, że może warto odejść do węgla, że może warto odejść od węgla, zadbać o środowisko, naturę? Niewątpliwie taka refleksja nasuwa się sama z siebie. Natomiast niedowiarzanie zawsze będą istnieli, nie będziemy mieli jednolitego poglądu w tych kwestiach, ale być może podniesie się poziom dyskusji. Może ktoś zrozumie, że polityka klimatyczna to nie demagogia, że powinniśmy się zastanowić nad tym, czy może nie za bardzo tę planetę dewastujemy, że może warto odejść do węgla, że może warto odejść od węgla, zadbać o środowisko, naturę?

można stworzyć i przebudować gospodarkę. Jeżeli jednak jedynym celem rządzących jest podtrzymanie mandatu władzy, wtedy nie rozwiązuje się cudzych problemów, tylko swoje własne.

Myśli pan, że ta pandemia może mieć jakiś pozytywny wpływ na gospodarkę?

Setki ludzi to już mówiło - jeśli jest kryzys, to są straty, ale są też okazje. Jasne, że pojawiają się nowe sposoby działania, komunikowania, pojawiają się nowe realia wirtualne, które pozwolą nam funkcjonować. Nie wiemy, jak to będzie wyglądać, ale są firmy, które całkowicie przeniosły się, bo mogły, do rzeczywistości wirtualnej. Huta się tam jednak nie przeniesie. Coś tam musimy jednak zrobić: musimy upiec chleb, musimy posprzątać, czasami potrzeba pójść do fryzjera czy kosmetyczki itd., itd. To jest czas na przemyślenie, co możemy zrobić inaczej, żebyśmy nie wpadli w takie kłopoty, w jakich jesteśmy dzisiaj. I tu pojawia się całkiem sporo możliwości, ale to nie znaczy, że będzie bezboleśnie - jeśli mamy kryzys, to musi trochę boleć.

Te najbliższe lata to będą chyba dla przeciętnych ludzi chude lata, będziemy musieli zacisnąć pasa, prawda?

Tak, myślę, że tak. Jeśli nie możemy pracować, tak jak pracowaliśmy do tej pory, to musi być gorzej. Nie wszyscy mogą funkcjonować zdalnie, wiele osób straciło przychody, inni nie mogą zrealizować swoich planów - normalne życie zostało zatrzymane. Teraz trzeba będzie przebudować nasze otoczenie. Istotną rzeczą, o czym już dwukrotnie mówiłem, jest uratowanie jak największej liczby miejsc pracy tak, abyśmy najmniej ucierpieli jako wspólnota, żeby nie było większego rozwarstwienia. W Polsce mamy kodeks pracy, na czas kryzysu nie jest on może najlepszy, ale jednak chroni w sposób istotny pracownika. W Stanach Zjednoczonych w ciągu kilku dni pojawiło się 6, potem 10, potem 30 mln bezrobotnych. Tam pracodawca rozwiązuje stosunek pracy po wypowiedzeniu słowa: „Zwolniony”. Europejska kultura i tradycja mówi jednak o objęciu opieką osoby pracującej, ale z uwzględnieniem interesu pracodawcy. Nad tym się trzeba zastanawiać, a nie czy wybory będą 10 czy 15, czy 20 dnia maja. Nie ma to kompletnie żadnego znaczenia w tej chwili. Poważni ludzie zajmują się poważnymi sprawami, a poważną sprawą jest ochrona miejsc pracy, czyli ochrona bezpieczeństwa obywateli. To podstawowa rzecz!

Dzieci. Największe ofiary kwarantanny. Wyrośnie pokolenie nerwiczowców?

Maria Mazurek
maria.mazurek@polskapress.pl



Koronawirus

Rozmowa z Martą Parczewską, psychologiem dziecięcym.

Rząd dał zielone światło do otwierania żłobków i przedszkoli.

Nie wszyscy zdecydowali się od razu skorzystać z tej możliwości. W tych placówkach, które wznowiają działalność, mają obowiązywać nowe zasady: dzieciaki nie mogą przynosić zabawek, ma być regularne wietrzenie, mycie rąk...

Słyszysz powątpiewanie?

Zajmuję się psychologią dzieci, współpracuję ze żłobkami i przedszkolami, bywam w nich. Sama jestem mamą czterolatka i sześciolatka. Znam dzieci. Wiem, że one będą się ze sobą bawić, przytulać, dotykać. Nie da się u nich upilnować reżimu sanitarnego.

Też mam w rodzinie trzylatkę. To jest etap, cóż, kiedy je się „kozy” z nosa i wkłada wszędzie ręce.

Dlatego ciężko mi sobie to wyobrazić. Tak samo jak pracę przedszkolankę w tych warunkach. Będą chodzić w masce? W rękawiczkach? W maskach? W rękawiczkach? Każdy rodzic, który kiedykolwiek posłał dziecko do żłobka czy przedszkola, pamięta, jak wyglądał pierwszy rok, jak to dziecko często chorowało. Takie placówki są środowiskiem, które sprzyja rozprzestrzenianiu się wirusów i bakterii. Z drugiej strony przedszkole, kontakt z rówieśnikami - są ważne. Wiadac, jakim tęsknym wzrokiem dzieci patrzy teraz na rówieśników. Mnie w ogóle najbardziej jest żal maluchów. Nam, dorosłym, jest trudno. A kilkulatki, dla których to, co się dzieje, jest tak trudne do zrozumienia - to największe ofiary kwarantanny. Dla nich to całkowita zmiana rzeczywistości: nie mogą wychodzić, nie mogą niczego dotykać, są pozbawieni kontaktu z rówieśnikami, nie widzą się z dziadkami, którzy w życiu wielu dzieci odgrywają bardzo ważną rolę. W dzieciach po-

jawia się więc teraz dużo lęku, czasem smutku i złości.

Czy dziecko przejmuję je od rodziców, czy samo je generuje?

Dzieci „zbierają” emocje rodziców, mają emocjonalny radar, wyczuwają ich napięcie. A jeszcze teraz widzą, jak świat wokół się zmienia. Jak już wychodzą z domu - widzą dorosłych w maskach.

Maski nawet dla nas są dziwne, prawda? Wszyscy wydają się w nich smutni, obcy.

To nienaturalne, bo nie możemy odczytać sygnałów niewerbalnych, które są w naszej komunikacji równie ważne, jak słowa. Nawet w SMS-ach czy mejlach wysyłamy emotikony - uśmiechnięte, smutne czy zdziwione „buźki” - żeby pokazać uczucia. Już parę razy widziałam na ulicy, jak ludzie, którzy mieli na twarzach maseczki, odruchowo ściągali je, rozpoczynając z kimś rozmowę. Dla małych dzieci to jeszcze trudniejsze, bo one dopiero uczą się odczytywać emocje z twarzy. Poza tym na sytuację dzieci wpływa jeszcze coś: perspektywa czasu. Kompletnie inna, niż u dorosłego.

Dla dziecka dwa miesiące to znacznie dłużej?

Tak. Gdy jest się dorosłym, czas płynie szybciej i szybciej. Dla dziecka pół roku to cała wieczność. Wystarczy przypomnieć sobie, jak postrzegaliśmy wakacje, będąc uczniami wczesnej podstawówki: one trwały i trwały... Poza tym dzieci nie potrafią wyobrazić sobie tego, że „kiedyś” to się skończy. My wiemy, że zagrożenie minie - może za dwa miesiące, może za dwa lata, ale w końcu minie. Dla dziecka to nie jest wielka pociecha, bo ono pojęcia „dwa miesiące” czy „dwa lata” traktuje czysto abstrakcyjnie. Dla kilkulatka ważne jest to, co dzieje się teraz i co wydarzy się po obiedzie, jego wyobraźnia nie sięga w tak daleką przyszłość.

Czy w takim razie - skoro dzieci mają inną perspektywę czasu, a teraz ciągle słyszą: tego nie dotykaj, do nikogo się nie zbliżaj, mycie rąk jest najważniejsze - to dzisiejsze kilkulatki w przyszłości będą pokoleniem nerwiczowców, którzy boją się wyjść z domu i ma-



Dzieci przeżywają teraz trudny czas

ją obsesję na punkcie higieny?

Na pewno ta sytuacja może pozostawić w nich trwałe ślady. Najpewniej zostawi je też w nas, dorosłych - więc w dzieciach tym bardziej. Większość psychologów uważa, że to właśnie etap przedszkolny jest kluczowym momentem w kształtowaniu się osobowości, postaw, umiejętności, szczególnie społeczno-emocjonalnych. Ale też bym nie dramatyzowała. Każdy człowiek - w tym każde dziecko - mierzy się z różnymi trudnościami, lękami, sytuacjami, na które nie do końca mamy wpływ. To, jak dzieci sobie z tym poradzą, zależy w dużej mierze od nas. Od tego, jak się zachowujemy, jak organizujemy im czas, czy z nimi rozmawiamy - i jak.

Tylko jak rozmawiać o tym z dziećmi, skoro sami tak niewiele wiemy?

Nie szkodzi. Szczera rozmowa i tak daje dzieciom wsparcie i buduje poczucie bezpieczeństwa. Tylko oczywiście ten komunikat powinien być dostosowany do wieku dziecka. Czym młodsze dziecko - tym prościej i tym mniej informacji.

Nie ma sensu podawać przedszkolakom danych o liczbie zachorowań czy śmiertelności, ale warto wytłumaczyć, że jest teraz nowy wirus, który powoduje chorobę, że można się przed nią ustrzec, często myjąc ręce i zostając w domu. Fajnym pomysłem jest zaplanowanie, co wspólnie zrobimy, jak kwarantanna minie. Wizyta w zoo, przejażdżka na koniu, lepienie pierogów z babcią - wszystkie miłe pomysły będą dobre.

A jak żyć teraz na co dzień, z dziećmi 24 godziny na dobę? Tak, żeby one nie zwariowały i żebyśmy my nie zwariowali z nimi?

Po pierwsze: ustalmy jakiś rytym. Plan dnia daje przewidywalność, poczucie bezpieczeństwa. Wyznaczymy, że po śniadaniu jest czas na bajkę, potem na gimnastykę, że codziennie po obiedzie czytamy książkę itd. Zostawmy jednak trochę miejsca na ponudzenie się - dziecko też potrzebuje pobyc chwilę z własnymi myślami. Odradzałabym zajmowanie dziecka przez pół dnia telewizorem. Wiem, to kuszące, bo gdy dziecku włączy się bajkę, ma się nawet parę godzin wyt-

chnienia. Tyle że - wbrew temu, co myśli większość rodziców - oglądanie bajek wcale nie jest dla dziecka odpoczynkiem, ono potem często zaczyna „szaleć”, żeby odreagować. Lepiej dać kredki, puzzle, książeczki - to początkowo będzie wymagało od rodzica większego wkładu, ale na dłuższą metę zapoczątkuje. Natomiast jeśli chodzi o to, jak samemu nie zwariować, odpowiedź jest banalna: należy zadbać w pierwszej kolejności o siebie. To jak z samolotem - gdy opadają maski z tlenem, najpierw zakładamy je sobie, a dopiero potem dziecku. Jeśli będziemy w rozsypce, nie zartoszczymy się o innych.

Tylko jak zadbać o siebie, gdy trzeba ogarnąć dom, gotować obiad, pracować zdalnie i zajmować się krzyżącymi dziećmi jednocześnie?

Trzeba znaleźć - wiem, że to trudne - takie chwile w ciągu dnia, które są tylko dla mnie, swoje małe rytuały, jak telefon do mamy czy przyjaciółki, wygadanie się, kwadrans po śniadaniu z kawą i książką, moment, żeby się zatrzymać i wsłuchać w siebie. Wiem, poziom stresu jest ogromny. W „normalnym” życiu też mamy różne napięcia, ale je rozładowujemy, zmieniając środowisko, ruszając się, chodząc do pracy, rozmawiając z różnymi ludźmi wokół siebie, będąc chwilę samemu, choćby w drodze do pracy. Teraz wielu rodziców wstaje, odchodzi pięć metrów od łóżka, gdzie ma stół z komputerem, swoje nowe biuro. Z dziećmi jest ciągle, nie ma jak uciec. Napięcie rośnie, rośnie, rośnie. Podobnie w pozostałych członkach rodziny, a w konsekwencji - w dzieciach. Potem dziecko kopie, rzuca klockami, wrzeszczy, krzyczy, że nas nienawidzi. I to nie chodzi o to, że naprawdę nas nienawidzi, tylko o to, że nie potrafi swoich emocji ubrać w słowa, powiedzieć: „Przepraszam, że rzuciłem ten klocek, ale ta sytuacja z koronawirusem sprawia, że jestem poirytowany”. Dlatego opowiada o tej sytuacji w inny sposób, tak wyrzuca z siebie napięcie. Na pewno nie karzmy dziecka, nawet jeśli wpada w szał. Jakim cudem kara miałaby sprawiać, że dziecko zaczyna się dobrze zachowywać? Dziecko zachowuje się źle, bo czuje się źle. W jaki sposób sprawianie, że poczuje

się jeszcze gorzej, ma wpłynąć na to, że będzie zachowywało się lepiej? Jeśli taka taktyka w ogóle podziała, to na chwilę.

To jak z dorosłymi: w pracy, w związkach, we wszystkim. Kara i poniżanie na dłuższą metę nie przynosi skutku.

Dokładnie. Bo dziecko to też człowiek. Problem polega na tym, że dorośli o tym zapominają. Zapominają, dosłownie, że dziecko to taki sam człowiek - tylko mniejszy i młodszy. Czy swoich przyjaciół wysyłamy do kąt, gdy zrobią coś, co nam się nie spodoba? Albo odbieramy im na tydzień tabletki? Straszmy, że nie dostaną deseru, jeśli nie chcą spróbować naszej sałatki brokułowej?

Czy teraz psychologowie pomagający rodzicom, którzy mają problemy z wychowywaniem dzieci - mają więcej pracy?

Ja mam teraz więcej konsultacji. To nie wynika jednak z tego, że nagle problemów zrobiło się więcej - raczej trafiają do mnie rodzice, którzy od dawna potrzebowali wsparcia, ale dopiero teraz znaleźli na to czas i przestrzeń. Paradoksalnie ta sytuacja - i to, że teraz pracuję z rodzicami przez komunikatory wideo - sprawiła, że łatwiej jest zwrócić się o pomoc. Realia kwarantanny są jak soczewka, która skupia nasze problemy, ale też to, co jest w nas i naszych rodzinach silne i dobre. Zdaję sobie sprawę, że są rodziny przemocowe, w których teraz dzieje się coś strasznego; są dzieci i są matki, które są zadowolone ze swoim oprawcą - dodatkowo jeszcze bardziej wściekłym, jeszcze bardziej agresywnym - 24 godziny na dobę. Natomiast dla rodzin, w których jest dużo miłości, ale i codziennego pośpiechu, pogubienia się, braku czasu, czasem uważności - ta sytuacja może okazać się szansą, żeby coś przepracować, czegoś się o sobie nauczyć, spędzić ze sobą mądrze i dobrze czas, pielęgnować bliskość. Nie chcę być źle zrozumiana - pandemia nikogo nie bawi; sytuacja jest niepewna, trudna, dla niektórych wręcz dramatyczna. Ale patrząc z perspektywy rodzin - podkreślam: mówię teraz o rodzinach bez patologii - to jest to również szansa, żeby oczyścić atmosferę, coś odbudować i wyjść z tego doświadczania mocniejszymi. ©©

Kim są sawanci? Tajemnica ludzkiego geniuszu jest głęboko ukryta

Działanie mózgu

Znaczna część sawantów z kartoteki Trefferta to osoby z autyzmem – ale nie wszyscy. I podczas gdy większość z nich przyszła na świat ze swymi niezwykle zdolnościami, inni, co wydaje się szczególnie intrygujące w kontekście idei podnoszenia sprawności poznawczej, nie posiadają ich od urodzenia. Są to osoby z tak zwanym nabytym zespołem sawanta. W ich przypadku talent pojawił się w późniejszym okresie życia. Dzięki mentalnemu przejściu fazowemu w ich mózgach odblokowała się nowa, niezwykła zdolność. A skoro w nich pozostawała uśpiona, zanim nagle sobie uświadomili, że ją posiadają, być może drzemie także w każdym z nas – pisze David Adam.

Najczęściej spotykanym efektem nieprawidłowości w rozwoju lewej strony mózgu jest autyzm. Zarówno u Nadii, jak i u Stephena zdiagnozowano zaburzenia ze spektrum autyzmu. Jak się okazuje, mniej więcej jedna na dziesięć osób z autyzmem ma jakieś nadzwyczajne uzdolnienia. Takie osoby nazywamy sawantami.

Sawanci nie wpasowują się zbyt dobrze w model ludzkiej inteligencji oparty na zasadzie pozytywnego zróżnicowania. Może i powinni posiadać inteligencję ogólną, ale cóż, nikt ich o tym nie poinformował. O ich inteligencji albo przynajmniej o ich sprawności intelektualnej można powiedzieć bardzo wiele, ale z pewnością nie to, że jest ogólna. Jest ona bardzo, bardzo wysoko wyspecjalizowana. Istnieją sawanci, którzy umieją pomnożyć w pamięci 1 345 873 przez 749 823, zanim ktokolwiek zdąży wystukać te liczby na klawiaturze kalkulatora. Są też tacy, którzy nie umieją czytać, ale pamiętają najdrobniejsze szczegóły minionych wydarzeń. Inni nie potrafią przeliterować wyrazu „pianino”, ale grają jak wirtuozi. Ich zdolności mogłyby odsłonić tajemnicę mentalnego przejścia fazowego, a więc także mechanizmu zwiększania zdolności poznawczych.

Choć sawanci to rzadkość, Darold Treffert zna ich setki. Treffert to psychiatra z Wisconsin, który od początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku bada ludzi obdarzonych



Zespół sawanta najczęściej spotyka się u osób objętych różnym spektrum autyzmu

niezwykłymi zdolnościami i pracuje z nimi.

Przez te wszystkie lata Treffert miał setki, a może nawet tysiące pacjentów. Mimo to wciąż jeszcze pamięta kilkoro dzieci, które poznał pierwszego dnia swojej pracy. Zaczynał na nowym oddziale dziecięcym Szpitala Psychiatrycznego Winnebago, niedaleko Oshkosh. Opiekowano się tam wówczas trzydziścioro dzieci z głęboką niepełnosprawnością. Było wśród nich wiele upośledzonych umysłowo, u których zdiagnozowano autyzm. Wszystkie były hospitalizowane.

Większość dzieci trafiła na oddział, ponieważ nie były zdolne do samodzielnego funkcjonowania. Nie radziły sobie z nawet najprostszymi czynnościami – myciem, ubieraniem się i jedzeniem. Robert na przykład nie mówił i miał

ogromne trudności z uczeniem się. Umiał jednak robić jedną nadzwyczajną rzecz. Potrafił bardzo szybko ułożyć 500-elementowe puzzle, odwrócone obrazkiem do dołu. Przyglądał się uważnie kształtom elementów, układał z nich w wyobraźni puzzle odwrócone obrazkiem do dołu, a następnie, jak mówi Treffert, łączył z sobą elementy leżące na stole „z precyzją, płynnością i rytmicznością maszyny do szycia”.

Arthur był chodzącym kalendarium historycznym. Posiadał przebogaty zasób informacji o tym, co wydarzyło się dowolnego dnia w przeszłości, i uwielbiał przepytwać z tego wszystkich dokoła. Treffert, wiedząc, co go czeka nazajutrz, wyszukiwał wieczorem informacje o wydarzeniach historycznych, które miały miejsce w tym samym dniu przed laty, a mimo to i tak nie potrafił udzielić odpowiedzi na wiele pytań Arthura.

Henry mógł się poszczycić innym talentem. Bezbłędnie trafiał do kosza z linii rzutów wolnych. Jak zauważył Treffert, miał „obsesyjno-kompulsywną” potrzebę stawiania stóp za każdym razem w tym samym miejscu i trzy-

mania piłki zawsze w ten sam sposób.

John znał na pamięć trasy wszystkich autobusów kursujących w Milwaukee, od początku do końca. Miał w głowie cały system miejskiego transportu publicznego. John lubił autobusy. Chodził po korytarzach z kartonowym modelem „okienka” na czole autobusu, w którym w tamtych czasach umieszczano nazwę przystanku docelowego, i długą papierową taśmą z nazwami wszystkich przystanków i ulic.

Pewnego wieczoru latem 1980 roku córka Trefferta Joni wróciła do domu niezwykle podekscytowana pewnym cudem. Owym cudem był Leslie Lemke, upośledzony umysłowo chłopiec, który przyszedł na świat jako wcześniak, co w jego przypadku wiązało się z bardzo poważnymi komplikacjami zdrowotnymi. Przed ukończeniem szóstego miesiąca życia przeszedł operację usunięcia obu gałek ocznych.

Rodzice zastępczy Lesliego, których poinformowano, że chłopczyk najprawdopodobniej umrze, postanowili o niego walczyć. Szczególną determinację wykazała jego przybrana mama. Nauczyła go prze-

łykać i przypinała własnych nóg, żeby mu pokazać, jak się chodzi. Kiedy miał osiem lub dziewięć lat, kupiła mu pianino. Gdy grała, mały Leslie kładł rączki na jej dłoniach.

Pewnej nocy, wyrwana ze snu przez dźwięki muzyki, weszła do salonu i ujrzawszego głęboko upośledzonego syna, który grał I koncert fortepianowy Czajkowskiego. Utwór ten został wykorzystany jako motyw muzyczny w filmie Sincerely Yours, który cała rodzina oglądała wieczorem w telewizji. Matka zapewniała później, że Leslie usłyszał go wtedy po raz pierwszy.

Wkrótce stał się tak dobrym pianistą, że poproszono go, aby dał koncert w lokalnym liceum, w ramach obchodów Miesiąca Rodzica Zastępczego w Wisconsin. Joni Treffert, która była na tamtym koncercie, po powrocie do domu powiedziała ojcu, że Leslie grał „z pamięci najrozmaitsze utwory klasyczne, religijne i popularne, jak doskonale wykształcony wirtuoz fortepianu”.

Koncert filmowała ekipa stacji telewizyjnej Green Bay. Jej członkowie, zdumieni tym, co zobaczyli, chcieli pokazać nagranie jakiemuś psychiatrze. Zabrali więc swój materiał do Trefferta, który wyjaśnił im, że Leslie jest sawantem. Jego historia stała się wiralem – oczywiście na tyle, na ile było to możliwe w roku 1980. W okresie świąt Bożego Narodzenia już niemal całe Stany Zjednoczone kochały Lesliego, a niezwykle popularny prezydent telewizyjny Walter Cronkite zakończył wydanie wiadomości wieczornych sieci CBS w ostatnim dniu tamtego roku słowami: „Nastał czas świętowania cudu, a ta historia idealnie się w niego wpisuje. Jest to opowieść o młodym mężczyźnie, fortepianie i cudzie”.

Trzy lata później Leslie był jednym z trójki sawantów, którzy wzięli udział w odcinku popularnego programu 60 Minutes. Obejrzał go wtedy „ze łzami w oczach” wybitny aktor Dustin Hoffman. Kiedy jakiś czas później zaproponowano Hoffmanowi udział w filmie Rain Man i poinformowano, że producenci chcieliby, by zagrał Charliego, młodszego brata autystycznego sawanta Raymonda, aktor odmówił i stwierdził, że chce zagrać rolę Raymonda.

Dzięki Rain Manowi szerokie rzesze widzów dowiedziały się, czym jest sawantyzm. Wpływ filmu był tak silny, że w kulturze popularnej pojęcia au-

tyzmu i sawantyzmu są teraz ściśle z sobą powiązane. Należy jednak podkreślić, że sawantyzm i autyzm to nie to samo. Większość osób z autyzmem nie ma zdolności sawantów. Niestety powszechne przekonanie, że powinny je mieć, czasami przysparza bólu zarówno im samym, jak i ich rodzinom. Co więcej, nie wszyscy sawanci cierpią na autyzm.

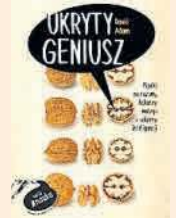
Zdaniem Trefferta nadzwyczajne zdolności sawantów są wyspami geniuszu. Sam Treffert jest więc Jamesem Cookiem psychiatrii, badaczem, który odkrywa owe wyspy, sporządza ich mapy i opisuje wszelkie napotkane tam przejawy ludzkiej aktywności.

Ma teraz na swojej liście ponad 300 sawantów z całego świata, zarówno dzieci, jak i dorosłych. Niektórych poznał osobiście, o innych tylko czytał w lokalnej prasie lub portalach internetowych. Wiele z nich odnajduje dzięki temu, że sami do niego piszą, kiedy dowiedziawszy się o istnieniu innych osób o podobnych zdolnościach, przeszukują internet i natrafiają na jego nazwisko.

Darold A. Treffert (ur. w 1932) to amerykański psychiatra związany z University of Wisconsin-Milwaukee, Marian University i szpitalem St. Agnes w Fond du Lac (Wisconsin). Specjalizuje się w epidemiologii autyzmu i syndromu sawanta. Był konsultantem takich filmów jak „Rain Man” i serialu „Piękne umysły”.

Zespół sawanta charakteryzuje się tym, że dana osoba ma z jednej strony ma niski poziom inteligencji (IQ w przedziale 40-70), nie potrafi samodzielnie egzystować, a z drugiej posiada ponadprzeciętne zdolności umysłowe w konkretnej dziedzinie – matematyki, języków obcych, muzyki czy malarstwa.

KSIAŻKA



David Adam
„Ukryty geniusz. Pigułki na rozum, hakerzy mózgu i sekrety inteligencji,
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2020

Chmielarz: Musi być trup. Inaczej nie wiem, o czym pisać

Mówię zupełnie serio i to żadna blaga – piszę kryminały dlatego, że jeśli mam do opowiedzenia jakąś historię, to potrzebuję w niej trupa. Dopóki nikt nie umiera, to ja, do cholery jasnej, nie wiem, o czym mam napisać – mówi Wojciech Chmielarz, autor kryminałów

Anita Czupryn
a.czupryn@polskapress.pl



Rozmowa

Dowcip Panu przeczytałem. „Już drugi dzień spędzam w domu z rodziną. Zaczynamy się zaprzyjaźniać. Okazuje się, że syn w tym roku zdaje maturę, córka wyszła za mąż, a żona zrobiła habiliację. Fajni są”.

(Śmiech). Pije pani do bohaterów mojej książki.

Dokładnie mówiąc, do bohaterów Pana najnowszej książki „Wyrwa”, która właśnie trafia na rynek.

Moi bohaterowie robią wszystko, żeby się nawzajem nie poznać. Mimo że razem mieszkają i łączy ich 12 lat życia, to oni faktycznie niewiele o sobie wiedzą.

Czy to możliwe, żeby mąż, który żeni się, jednak, z miłości, który ze swoją żoną wychowuje dwoje dzieci, nie ma pojęcia, jak to życie jego żony wygląda? Jej praca, jej znajomi, jej nastroje nawet.

Jak najbardziej. Co więcej, to nie wynika z tego, że jej nie zna, tylko z tego, że zna ją aż za dobrze.

Mąż nierozumie, dlaczego żona ginie w wypadku pod Mragowem, jak miała być na delegacji pod Krakowem. Nawiasem mówiąc, znów Pan sięgnął po Mazury.

Nie, nie, Mazury w moich powieściach wystąpiły po raz pierwszy. Co prawda w „Zmijowisku” akcja dzieje się nad jeziorem, ale to Pomorze. Jeśli zaś chodzi o serial, to właśnie na Mazurach twórcy serialu umieścili całą akcję. A że odwiedzałem plan filmowy, trochę sobie wtedy po Mazurach pojeździłem. I te mazurskie krajobrazy, wie pani, tak mi zapadły w głowę, że pomyślałem, że mogłaby się tam wydarzyć akcja mojej kolejnej powieści. Ale wróć do tego meża.

Macieja Tomskiego, który traci żonę Janinę.

Chcę się podzielić myślą, jaka mi się narodziła podczas pisania tej książki, a potem podczas jej analizowania, kiedy zacząłem się zastanawiać, co ja tam właściwie napisałem. Trochę jest tak, że jak się jest z kimś długo, to się myśli, że się go dobrze zna. Ale ludzie się zmieniają. My dzisiaj bardzo często nie przypominamy sobie samych sprzed 10 lat. Jesteśmy już innymi ludźmi. Zmieniliśmy się, dużo się wydarzyło, dużo po nas spłynęło. Zmienił się nasz charakter, nastawienie do życia, do świata. Tymczasem może być tak, że nasi bliscy ciągle nas widzą przez pryzmat tego, kim byliśmy te 10 lat temu. Nie ma w tym złej woli. Po prostu, tak jest. Patrzą na nas przez te wydarzenia, które ukształtowały naszą wspólną relację. To dotyczy też historii moich bohaterów, Macieja i Janiny. Zmienili się oboje, a oboje patrzą na siebie przez pryzmat tego, kim kiedyś byli.

Cała historia Macieja i Janiny zaczęła się jeszcze wcześniej, ale tego w książce nie znajdziemy. O tym opowiada...

... słuchowisko.

Tak jest. „Wyrwa. Historia Ułana”. Pan napisał do tego scenariusz.

Słuchowisko i powieść to są dwie historie, które dzieją się w tym samym uniwersum. Ułan w powieści jest ważną, ale jednak drugoplanową postacią.

Za to jakąś taką koszmarną.

Jakąś taką koszmarną, zgadza się. Wiedziałem, że za tą postacią kryje się interesująca historia. Nie widziałem miejsca, w którym mógłbym ją umieścić w powieści, chociażby dlatego, że rozbiłaby narrację. „Wyrwa” to historia Macieja Tomskiego i Janiny Tomskiej, historia Wojnara. Nie Ułana. Jego historia się tam nie mieściła. No, to pojawiła się okazja, aby to, co miało w głowie, przelać na słuchowisko. I tak się stało. Chcę

jednak podkreślić, że można wysłuchać słuchowiska, nie znając książki oraz można czytać książkę, nie znając słuchowiska. W niczym to nie przeszkadza.

Jasne. Oficjalna premiera „Wyrwy” zaplanowana została na 6 maja. To dość ekstremalna sytuacja, jeśli chodzi o premierę książki, bo też ekstremalna jest sytuacja, w jakiej w ogóle od dwóch miesięcy żyjemy. Jakby tego nie dość, to Pana książka też opowiada o ekstremalnych sytuacjach. W sytuacji granicznej objawia się prawdziwa twarz człowieka?

Nie wiem, czy prawdziwa twarz, czy nieprawdziwa. Jak sądzę, nie jest do końca tak, że w sytuacji granicznej pokazujemy swoją prawdziwą twarz.

To jaką pokazujemy? Nieprawdziwą?

Pokazujemy jedną z wielu naszych twarzy. Gdyby to wszystko było takie proste, że aby poznać człowieka, to wystarczy go postawić w sytuacji granicznej! Wystarczyłoby więc postawić nas w takiej sytuacji i zobaczyć, jak się zachowujemy. Człowiek jest niewątpliwie bardziej skomplikowaną istotą, która ma wiele twarzy.

Pewnie. Ale też w ciągu życia wiele mamy takich sytuacji, ekstremalnych, w których się sprawdzamy, jesteśmy zmuszeni się sprawdzić i może się okazać, że się nie sprawdzimy.

Owszem, ale to nie znaczy, że w takiej właśnie sytuacji pokazuje się swoje prawdziwe ja. Jak powiedziałem – to tylko jedna z naszych twarzy, która akurat w tym momencie się ukazała. Są historie ludzi, którzy raz w danej sytuacji zachowują się bohatersko, a innym razem tchórzliwie. To która ich twarz jest prawdziwa? Są bohaterami czy tchórzami?

Dlaczego umieścił Pan swoich bohaterów w ekstremalnych sytuacjach?

Wie pani, ja sobie takich pytań, po co ja to robię, nie zadam.



Chmielarz: Nie próbuję odkryć żadnej prawdy o człowieku

ję. Nie próbuję odkryć żadnej prawdy o człowieku. Kiedy piszę książki, to chcę opowiedzieć pewną historię. W „Wyrwie” chciałem napisać historię dwójki mężczyzn, którzy poznają się w dosyć niejasnych okolicznościach i chcą zobaczyć, dokąd ich ta relacja zaprowadzi. A co z tego wyciągnie czytelnik, czym ta książka będzie dla niego, o czym mu będzie mówić, to już zależy od czytelnika. Pewnie będzie wiele różnych interpretacji; mnie też do głowy przychodzi ich kilka i wszystkie one są słuszne. To, co jest cudowne w literaturze i jest jej ogromną siłą, to właśnie fakt, że możemy jedną i tę samą książkę, damy ją dwójce ludzi i każdy z nich po jej przeczytaniu powie na jej temat zupełnie coś innego, i obaj będą mieli rację.

Zwróciłam uwagę na to, co o Pana książkę powiedziała pisarka Paulina Wilk; że jest to hołd dla kobiet, które pragną więcej, i dla mężczyzn, którzy odnajdują w sobie siłę.

Bardzo ładne zdanie. Fajnie, że Paulina to dostrzegła. Dzisiaj rozmawiałem z Grzegorzem Chojnowskim z radia Wrocław, który z kolei mówił, że „Wyrwa” to głównie jest thriller. Wątek psychologiczno-obyczajowy w ogóle odłożył na drugi plan, bo dla niego ważniejsza była akcja, całe to dzianie się w powieści. Sama pani widzi, co czytelnik, to wyciąga coś innego. I to do brzo, i możemy sobie o tym porozmawiać.

Jeśli o thrillerze mowa, to rzeczywiście „Wyrwa” wpi-

suje się w nurt kryminalnego thrillera. Ten gatunek dopiero zaczyna zdobywać w Polsce popularność? Na Zachodzie znany jest od lat.

Trzeba by porównać to z sytuacją na Zachodzie, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Jeżeli by przywołać największe ostatnio hity sprzedażowe w Polsce, to będziemy mieć panią B.A. Paris, prawda? Bardzo popularna autorka, która jest na szczycie bestsellerów i pisze thrillery psychologiczne. Mamy „Pacjentkę” Alexa Michaelidesa, też jest na listach bestsellerów, wygrała plebiscyt czytelników, dostała Asa Empiku i też jest to thriller psychologiczny. A „Dziewczyna z pociągu”, która święciła triumfy kilka lat temu?

A „Zaginiona dziewczyna”?

Od niej się to wszystko zaczęło. Od Gillian Flynn i jej książek. W Polsce ten gatunek jest więc popularny, ale mam wrażenie, brakuje polskich autorów. To się dopiero zaczyna pojawiać, różni polscy autorzy zaczynają się z tym gatunkiem boksować, ale w większości jednak sięgają po klasyczne powieści kryminalne. Dlatego tak jest – trudno mi powiedzieć.

A Pan? Dlaczego z tego szerokiego kryminalnego spektrum wybrał właśnie thriller kryminalny? Bo znalazł Pan swoją niszę czy może z innych, wewnętrznych powodów?

Sprawda na pewno jest złożona; powodów było kilka. Natomiast jeden jest najważniejszy. Otóż po napisaniu pięciu książek, klasycznych kryminałów policyjnych o komisarzu Jakubie Mortce i kryminałów noir, poczułem pewne niebezpieczeństwo. Miałem taką myśl: nie uciekam od tego, że tworzę kryminały, tworzę literaturę rozrywkową i gatunkową. Ale ona się rządzi pewnymi prawami; ma swoje reguły. Śmieję się, że 90 procent kryminałów zawsze opowiada jedną i tę samą historię. To znaczy, najpierw ktoś ko-

goś zabija, potem pojawia się na stronach śledczy; śledczy może być dziennikarzem, policjantem czy kimś innym...

...prokuratorem.

Dokładnie. Generalnie odgrywa funkcję śledczego. Śledczy zaczyna rozwiązywać zagadkę, po drodze ginie jeszcze parę osób i na końcu winny zostaje ukarany. Tak wygląda nawet 95 procent wszystkich kryminałów. To, wbrew pozorom, jest ich zaletą (śmiejch).

Jasne. Ale jest też gra z czytelnikiem o to, kto zabił.

Ależ oczywiście! Wszystko to są elementy, bo ten schemat, kręgosłup gatunku, jest dokładnie taki. Dlatego uważam, że to zaleta - ponieważ dzięki temu my, czytelnicy kryminałów czujemy się bezpiecznie. Znamy ten świat, tę konwencję, wiemy, co się w niej wydarzy, znamy reguły, które tym światem rządzą i dzięki temu bardzo łatwo w ten świat wchodzimy i jesteśmy w stanie uwierzyć w daną historię. A to jest kluczowe w odbiorze książki. To znaczy, czytelnik, czytając książkę, musi uwierzyć, że to, co się dzieje w książce, dzieje się naprawdę. Oczywiście nie chodzi o to, że to się wydarza w rzeczywistości. Jako przykład zwykle podaję filmy z Jamesem Bondem. Kiedy idziemy do kina na taki film, musimy na dwie godziny zawieść swoją niewiarę, że ktoś taki jak James Bond istnieje, czyli tajny agent Jej Królewskiej Mości raz na pół roku ratuje świat, jest tajnym agentem, ale wszyscy na całym świecie wiedzą, jak wygląda i jak się nazywa. Jeśli w to nie uwierzmy, to będziemy się w kinie źle bawić. Oczywiście przed wejściem do kina i po wyjściu z kina, wiemy, że to wszystko jest zmyślone. Ale przez te dwie czy dwie i pół godziny musimy w tę historię uwierzyć, bo inaczej ten seans nie ma dla nas sensu.

Dlatego wszystko, co się dzieje na ekranie, przeżywamy razem z naszym bohaterem.

Właśnie. Tak samo jest z kryminałem - znamy reguły gatunku, wiemy, co się wydarzy, zawieszamy naszą niewiarę i kupujemy tę opowieść. Natomiast jest to wielkie zagrożenie dla twórcy. Ponieważ te reguły gatunkowe są tak silne, że bardzo łatwo można stać się ich niewolnikiem. Myślę, że tu wszyscy możemy sobie przypomnieć nazwisko jednego czy kilku autorów kryminałów, o których wiemy, że od lat, mówiąc w uproszczeniu, piszą jedną i tę samą książkę.

Trzeba było więc coś wymyślić. Był taki moment w pol-

skim kryminale, kiedy autorzy zaczęli się prześcigać w tym, jak jeszcze koszmarniej pokazać trupa, którego zjada jeszcze więcej robaków, czy jeszcze bardziej przerażające zabójstwo.

To się ciągle dzieje, niestety. Chciałbym jednak skończyć swoją myśl. Otóż ja się bałem, że po napisaniu pięciu książek policyjnych, pięciu kryminałów, zacznę się powtarzać. W związku z tym czułem, że potrzebuję jakiejś zmiany. Chciałem się zmusić do tego, żeby napisać coś innego, żeby napisać inaczej. Stwierdziłem, że chciałem w końcu stworzyć kryminał, bo jednak jestem przywiązany do tego gatunku, ale taki, w którym nie ma policjanta, nie ma prywatnego detektywa. Niech to będzie opowieść o zwykłych ludziach, którzy znaleźli się w niezwyklej sytuacji i zobaczmy, co z tego wyjdzie. Stąd ten mój zwrot do thrillera psychologicznego.

Czy na pewno są to zwykli ludzie? Nie wyraża Pan przekonania, że natura ludzka w ogóle jest skażona?

Zrobię tu unik i odpowiem, że to wynika z konwencji gatunku, który uprawiam. Kiedy czytamy thriller kryminalny, to chcemy czytać o złu. O tym, że dzieją się złe rzeczy i o tym, że ludzie mają tajemnice. Osobiście uważam coś wręcz przeciwnego. Otóż uważam, że generalnie ludzie są dobrzy. A jak im się jeszcze stworzy warunki do tego, żeby byli dobrzy, to w ogóle super, prawda? Ale generalnie, ja ufam ludziom.

Zastanawiałam się właśnie, czy Wojciech Chmielarz to wesoły chłopak, czy raczej mający pesymistyczną wizję świata i widzący, że od człowieka nic dobrego się nie dostanie.

Moje obserwacje są takie, że w ogóle autorzy kryminałów to dość wesołe grono. Nie wiem, czy koledzy patrzą na świat i człowieka optymistycznie, ale generalnie są weseli. Kiedy się spotykamy na różnych festiwalach i rozmawiamy, to jest w tym dużo żartów, dużo dowcipu i dużo uśmiechu. Tu może działać podobny mechanizm, jak z aktorami. Mówi się bowiem, że najweselsi są aktorzy dramatyczni. To oni najchętniej żartują, najchętniej się śmieją. A najwięksi ponuracy zostają komikami. Bardzo często mówi się, że to komicy zmagają się z depresją; pamiętamy tragiczną historię Robina Williamsa i pewnie jeszcze parę innych nazwisk można by przy tej okazji wymienić. Myślę więc, że z autorami kryminałów jest podobnie - my, autorzy kryminałów, bierzemy cały ten brud, te wszystkie nasze obawy, całą tę pesymistyczną wizję świata, wyrzu-

camy to z siebie i przelewamy na papier. Wyrzucamy to z siebie i to już w nas nie siedzi. Prywatnie więc nie mamy na czym budować tej negatywnej wizji świata.

Patrząc na to, co się dzieje teraz, w pandemii, jak ludzie sobie wzajemnie pomagają, to chyba nie jest tak źle?

Biorąc pod uwagę utyskiwania, jak to Polska będzie wyglądać po miesiącu lockdownu, to ten obraz Polski i Polaków jest dość optymistyczny. Generalnie ludzie starają się sobie pomóc, generalnie są mili. Przestrzegaliśmy tych wszystkich zasad i ograniczeń i naprawdę wyłonił się bardzo fajny obraz kraju, w którym żyjemy. Pewnie, ten obraz nie jest idealny, doszło do różnych incydentów, są rzeczy, na które narzekamy, ale ogólnie mówiąc, jest nieźle.

Wracając do literatury - dlaczego jest zapotrzebowanie na thrillery kryminalne? Mają być przeciwwagą dla optymistycznych książek czy półpornograficznych bzdetów, jakie do tej pory się ukazywały?

Moja teoria jest taka: my w sumie mamy psychiczną potrzebę obcowania z niebezpieczeństwem. Chcemy z niebezpieczeństwem obcować, stykać się z nim, obserwować mroczną stronę świata. Jest w nas ta ciekawość i ta potrzeba. Jeśli spojrzymy na historię ludzkości, to większość tego okresu była wypełniona niebezpieczeństwami. Albo wojny, albo bandyci, albo drapieżne zwierzęta, które mogły zjeść człowieka. Nasi przodkowie i to bardzo niedawni, non stop żyli ze świadomością, że niemal codziennie ryzykują życiem. Jak się czyta opisy przedwojennej Warszawy, kroniki kryminalne o tym, co się działo, to się włos na głowie łączy. To były przerażające czasy.

Teraz nie ma przerażających czasów? Ludzie popełniają samobójstwa, bo wzięli kredyt w szwajcarskich frankach.

No, dobrze, ale teraz żyjemy w bardzo bezpiecznych czasach, do tego w najbardziej bezpiecznym kontynencie i w jednym z najbezpieczniej-

szych krajów na tym kontynencie. Proszę teraz zwrócić uwagę na to, gdzie się rozwija kryminał jako gatunek? W Skandynawii; w Norwegii, w Szwecji, Danii, Polsce, słowem w najbezpieczniejszych krajach na świecie. A gdzie się nie rozwija? Irak, Afganistan, Kolumbia, Meksyk. Prawie nie istnieje coś takiego jak kryminał meksykański.

W Meksyku mają kryminał na co dzień.

Otóż to. I ja się temu wcale nie dziwię. Bo jaka jest przyjemność czytać o tym, że szaleją mordercy i gangsterzy, kiedy widzi się to samo z okna, albo jak się otworzy gazetę. W Polsce było tak samo w latach 90., kiedy szalała mafia, Pruszków i Wołomin. Wtedy polski kryminał prawie nie istniał. Fajnie się czyta o seryjnych mordercach, kiedy wiemy, że możemy wyjść w środku nocy na spacer z psem i najgorsze, co może nas spotkać, to że wdepniemy w kupę.

Przypomniała mi się historia z czasów, kiedy opisywałam poczynania i życie mafii w Polsce. Odwiedziłam raz jedną z wdów po gangsterze, którego konkurencja spaliła w aucie. Żona bardzo go kochała. Po jego śmierci, po pogrzebie, znalazła w rzeczach męża aparat fotograficzny, a w nim film. Dała go do wywołania. Wtedy odkryła prawdę o mężu - na zdjęciach jej mąż z kochanką; bawili się w luksusowych miejscach na świecie. Powiedziała mi, że wtedy poczuła, jakby sama umarła po raz drugi. Coś takiego przeżywa też bohater „Wyrwy”, Maciej?

On potrzebuje dowiedzieć się, co się wydarzyło z jego żoną. Budzi się w nim i strach, i fascynacja, i ciekawość. Czuję przymus tego, aby wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Jeśli coś go przeraża, to jest to niewiedza.

Dlatego sam musi przeprowadzić śledztwo w tej sprawie, bo nikt mu nie pomoże?

To jest sprawa prywatna, więc nie bardzo może poprosić policję o pomoc; to nie jest typowa zagadka kryminalna; nie jest tak, że podejrzewamy, przynajmniej na początku, że jego żona Janina padła ofiarą przestępstwa. Jest to więc prywatna sprawa pomiędzy dwójkiem małżonków, policji nic do tego, Maciej sam musi się z tym zmierzyć, by dowiedzieć się właściwie tego, jak wyglądały ostatnie lata jego małżeństwa.

Co przez thriller kryminalny można powiedzieć o ludzkiej kondycji i czy coś takiego było Pana zamiarem? Czy raczej nie ma co w nim

szukać odbicia rzeczywistości i lepiej zająć się wymyśleniem świata, który nie istnieje?

Mówię zupełnie serio i to żadna blaga - piszę kryminały dlatego, że jeśli mam do opowiedzenia jakąś historię, to potrzebuję w niej trupa. Dopóki nikt nie umiera, to ja, do cholery jasnej, nie wiem, o czym mam napisać. Taka jest prawda. Oczywiście są pisarze, którzy potrafią napisać przejmującą, pełną napięcia książkę o rodzinie, która spotyka się w niedzielę i jedzą rosół. Ja tak nie potrafię. Jakie z tego mojego pisania wynikają wnioski o kondycji ludzkiej, to nie wiem. Niech czytelnicy zdecydują.

My uważaliśmy, że oni nic tylko liczą, niczego nie czytali. Oni uważali, że my jesteśmy zbieraczami anegdotek

Chciałabym pisać takie książki, o niedzielnych rosale.

Ja też! Zazdroszczę takim pisarzom. Ale ja tak nie potrafię. Muszę mieć tajemnicę, muszę mieć trupa i dopiero jak go mam, to ten trup działa na mnie jak katalizator i ja wtedy wiem, o czym chcę opowiedzieć. Mam nadzieję i proszę za mnie trzymać kciuki, żebym kiedyś napisał o książce, w której nikt nikogo nie zabija i nie pojawia się żaden trup.

I żeby była taka adrenalina, jakby na każdej stronie trup słał się gęsto (śmiejch). Napomknęliśmy o Pana wcześniejszej powieści „Żmijowisko”, na podstawie której powstał serial telewizyjny. Jak on się Panu podoba?

Byłem współscenarzystą serialu razem z Daną Łukasinią i mówiąc zupełnie szczerze, serial mi się podoba. Uważam, że został dobrze zrobiony, trzyma w napięciu, postaci są dobrze zagrane, duża w tym zasługa Łukasza Palkowskiego, reżysera prowadzącego tę akcję. Prawdę mówiąc, nie była to łatwa do zekranizowania książka. Mocno się boksowaliśmy ze scenariuszem, żeby tak to napisać, by było zrozumiałe dla widza. Jak pani pamięta „Żmijowisko”, to książka była podzielona na trzy plany czasowe; ona się opierała na tej zabawie chronologią, przeplataniu się tych planów czasowych. To było niezwykle trudne do przeniesienia na ekran. Ale się udało. Zatem jeśli chodzi o efekt końcowy, to ja jestem z niego bardzo zadowolony.

Okres społecznej kwarantanny okazał się dla Pana niezwykle twórczy. Wręcz nie przestaje Pan pisać. Ściąga się Pan z Remigiuszem Mrozem?

Nie, nie, nie mam szans. Nie mam nawet takich ambicji, żeby się z nim ścigać. Faktycznie w czasie kwarantanny, w połowie marca rozpocząłem pisanie powieści w odcinkach, które wrzucam na swoją stronę na Facebooku, a potem ona jest nagrywana i wrzucana jako podcast do Audioteki i można za darmo z tego korzystać - za darmo przeczytać i za darmo odsłuchać. Pomysł wziął się z tego, że poczułem potrzebę, żeby się odwzajemnić moim czytelnikom. Kiedy zaczęła się ta narodowa kwarantanna, miałem poczucie, że moi czytelnicy wspierali mnie przez lata, kupując, polecając moje książki, przyjeżdżając na spotkania ze mną, to w tym ciężkim czasie powinienem im dać coś z siebie, więc dam im książkę. Ale żeby nie czekali na nią Bóg wie, jak długo, to postanowiłem puszczać ją w odcinkach, na gorąco, nie jako na ich oczach i wrzucać do sieci za darmo. To było dla mnie istotne - aby książka była za darmo. Dla mnie to też przyjemność, bo mierzę się tu z powieścią sensacyjną. Od dawna miałem, po trzech thrillerach, ochotę, żeby napisać prostą historię, troszkę westernowej, o facecie, który przyjeżdża do małego miasteczka, pokonuje w nim wszystkich złych i z niego wyjeżdża. Jest już ponad 40 następnych odcinków, ludzie czytają, komentują i powoli zbliżamy się do finału.

Nasza rozmowa też się zbliża do finału. Ostatnie pytanie - jak Pan ocenia stan polskiej literatury? Czyta Pan polskich autorów?

Czytam, oczywiście. Ale nie jestem krytykiem literackim, nie jestem literaturoznawcą i mam wrażenie, że ogromna część polskiej literatury po prostu mi ucieka i się na niej nie znam. Ale jest kilka rzeczy, na których może się znam, a które mnie bardzo martwią. Pierwsza to stan polskiego czytelnictwa. Badania Biblioteki Narodowej wskazują, że 6 na 10 Polaków nie czyta w ogóle nic, przez cały rok. Dla mnie wynika z tego tylko jeden optymistyczny wniosek.

Jaki?

Taki, że pod tym względem jesteśmy już na dnie. To jedyna pociecha. Moje obserwacje to potwierdzają.

Co w tym optymistyczne? Że możemy się odbić od dna?

Że niżej już nie spadniemy. Możemy się tylko odbić i mam nadzieję, że kiedyś to nastąpi.

Sylwia Lis
sylwia.lis@polskapress.pl

Zbrodnia

Czy dom w Osiekach w powiecie bytowskim stanie się mekką dla szaleńców i fanatyków zbrodni? Być może. Gmina chce sprzedać nieruchomość, w której mieszkał wampir z Bytowa. Wyceniła ją na 39 tys. zł. Telefon już się rozdzwonił... Mówi się też o muzeum zbrodni. Do Osiek na Pomorzu przyjeżdżają miłośnicy horrorów.

Czy niewielkie Osieki na Pomorzu czeka to samo, co mieszkańców amerykańskiego miasteczka Plainfield? Być może. Co łączy obie miejscowości? Mroczna historia. Z kaszubskich Osiek pochodzi słynny wampir z Bytowa Leszek Pękalski, oskarżony o kilkadziesiąt morderstw, skazany za jedno. Natomiast z Plainfield - Ed Gein, zwany rzeźnikiem. Udowodniono mu zaledwie dwa morderstwa, mimo że dowody znalezione w domu wskazywały przynajmniej na kilkadziesiąt.

Zbrodnia przyciąga

Swego czasu Plainfield przeżyło istny najazd tłumów z całego świata. Każdy chciał zobaczyć miejsce, gdzie dokonano makabrycznych zbrodni. Dom rzeźnika stał się obowiązkowym miejscem wycieczek ciekawskich. Mówi się, że „miłośnik horrorów” kupił nawet auto mordercy tylko po to, by chwalić się nim przed znajomymi. Inni licytowali osobiste przedmioty z jego gospodarstwa.

Mieszkańcy miasteczka mieli dość wizyt oszołomów. Bali się, że dom mordercy stanie się muzeum dla wszelkiej maści psychopatów i w końcu ktoś podpalił farmę.

Gdy Ed zmarł, pochowano go w rodzinnej miejscowości. Jego grób na przemian odwiedali wandalę i... fani, zostawiający upominki, kwiaty, a nawet miłosne wyznania i inne drobne prezenty.

Tak może wydarzyć się też w Osiekach, bowiem decyzją gminy dom wampira z Bytowa, czyli samego Leszka Pękalskiego, zostanie wystawiony na sprzedaż.

Pękalski urodził się w Osiekach pod Bytowem. Jego matka samotnie wychowywała czworo dzieci. Pękalski miał siostrę bliźniaczkę oraz młodsze rodzeństwo: siostrę i brata. Wraz z rodziną mieszkała też babcia. Matka pracowała w pobliskim PGR-rze, a Leszek stał się owocem jej romansu z sąsiadem.

W dzieciństwie był wyśmiewany. Od początku nie był też akceptowany przez matkę, ojciec również się go wyrzekł. Pewnie dlatego kilkuletni



Dom Leszka Pękalskiego (cegłana część) został wyceniony na 39 tys. zł

Dom wampira z Bytowa na sprzedaż

Pękalski trafił do domu dziecka. Gdy dorósł, zamieszkał ponownie z matką, a potem z wujkiem - też w Osiekach. Wciąż jednak ze względu na swoje częściowe upośledzenie był wyśmiewany przez dzieciaki ze wsi. Nie odpowiadał na ich zaczepki, był raczej skryty i grzeczny. Chodził ze spuszczoną głową. Odwiedzał sąsiadów, prosił o zmiecenie kawy, czasem o parę łyżek cukru. Zagadywał ich. Bywało, że dołączał się do ludzi idących na jagody.

Kiedy dorósł, zaczął znikać z domu. Jeździł pociągami po Polsce, czasem sypiał po lasach. Gdy wracał do Osiek, twierdził, że szukał po kraju żony, a nawet kupił już łóżko do mieszkania. Często odwiedzał też bar Sandra w Bytowie, tuż przy komendzie policji. Dawni klienci i obsługa pamiętają go. - Zamawiała papiery - mówi jedna z byłych kelnerek. - Grzeczny, ubrany w prochowy płaszcz, nie pomyślałabym, że kogoś mógłby zabić.

Pod koniec czerwca 1991 roku okolicami Bytowa wstrząsnęła tragiczna wiadomość o brutalnym morderstwie 17-letniej Sylwii, sprzedawczyni w sklepie w pobliskim Darskowie. Ktoś strasznie ją skatował i zgwałcił. Obnażone ciało znaleźli rodzice, zaniepokojeni długą nieobecnością córki. Do Bytowa zjechali najlepsi policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji w Słupsku. Szeroko zakrojone śledztwo nie

przyniosło jednak rezultatu. Rok później zostało umorzone.

W kolejnym roku Bernadeta B., mieszkanka Osiek, wracała od siostry. Została zaatakowana przez idącego za nią napastnika. Bandyta dotkliwie ją pobił i zgwałcił. Jak później zeznała, wcale nie chciała o traumatycznych przeżyciach powiadać policji. Namówiła ją do tego koleżanka. To ona bez namysłu wskazała sprawcę, Leszka Pękalskiego.

Ruszyła machina policyjno-sądowa. I już w 1992 r. Pękalski został skazany. Śledczy skonstruowali fakty i stwierdzili, że sprawa zabójstwa Sylwii z Darskowa i gwałtu na pani Bernadecie mogą mieć ze sobą coś wspólnego.

Pod koniec grudnia tego samego roku Pękalski został zatrzymany. Potem zaczął się przy-

znawać niemal do wszystkich brutalnych zabójstw, które zdarzyły się Polsce. Kobiety miały mordować i gwałcić, delektując się, że nie stawiają mu oporu, są posłuszne. W długim i głośnym procesie wampir z Bytowa został skazany na 25 lat więzienia za zabójstwo Sylwii R. z Darskowa. Natomiast uniewinniono go od innych zbrodni. Zabrakło bowiem dowodów, by winę przypisać Pękalskiemu. On sam na sali sądowej odwołał przyznanie się do winy.

Wampir z Bytowa karę odbył, jednak przed uwolnieniem został uznany za osobę stwarzającą zagrożenie i trafił do zamkniętego ośrodka w Gostyninie.

Dom na sprzedaż

Czerwony, z rozlatującą się cegłą dom, w którym przez kilka

lat mieszkał Pękalski (i ma tu meldunek), znajduje się niemal w centrum Osiek. Leszek mieszkał tu z wujkiem. Wujka przeniesiono do lokalu socjalnego w sąsiedniej miejscowości. Gmina przekalkulowała, że remont domu jej się nie opłaca, bo może kosztować nawet 200 tys. zł. Stąd decyzja radnych i wójta o zbyciu. - To w zasadzie nie dom, a jedna trzecia posesji plus udział w gruncie, jakieś jednaście arów - mówi wójt Witold Cyba. - Sąsiedzi narzekali, że z tamtej części dachu cieknie im do mieszkania, że pojawił się grzyb. Wartość 50-metrowego bliźniaka oszacowano na 39 tys. zł. Rozpoczęliśmy też procedurę wymeldowania Pękalskiego z lokalu.

Informacja o zamiarze sprzedaży domu Pękalskich po-

jawiła się na stronie internetowej urzędu gminy. Rozeszła się niczym błyskawica. Rozdzwoniły się telefony, a w Osiekach pojawili się potencjalni nabywcy nieruchomości, którzy sugerowali, że chętnie otworzyliby tu muzeum mordercy. W rezultacie dom trzeba było zabezpieczyć. Teraz na drzwiach wisi kilka kłódek i łańcuch.

- Przyjeżdżali tu jacyś dziwni ludzie - mówią sąsiedzi. - Filmy grozy kręcili. Chodzili po tym domu, świecili latarkami, zbierali pamiątki, kawalki ścian czy podłogi. Nas to już męczy...

Inni dodają: - Szukają sensacji. A na nas historia Pękalskiego nie robi już większego wrażenia, tym bardziej że niewielu z nas wierzy w jego winę.

To zainteresowanie domem dość mocno przstraszyło lokalnych urzędników.

- Wolałbym, abyśmy byli słynni z czystych jezior, a nie z historii zabójcy - przyznaje wójt. - Przeraziłem się tym zamieszaniem. Do urzędu zaczęli zgłaszać się jacyś dziwni ludzie z całej Polski zafascynowani postacią Pękalskiego. Rozmawiałem nawet z kimś, kto twierdził, że siedział z nim w więzieniu. Przekonywał mnie o jego niewinności, twierdził, że chce kupić dom i że cena nie gra roli. Byli też tacy, co chcieli zrobić tu muzeum, dopytywali o duży parking. Kolejny chciał, aby w domu wciąż zameldowany był Pękalski. Zainteresowanie tym mieszkaniem było ogromne.

Do urzędu zadzwonił Pękalski

O zamiarze sprzedaży domu dowiedział się również sam Pękalski. - Rozmawiał z moją pracownicą - przyznaje wójt. - Nie zgadzał się na to, aby go wymeldowywać. Ale też dopytywał o zdrowie swojego wujka, chciał wiedzieć, gdzie mieszka. Interesowało go także, jak w tej chwili, po tylu latach, nastawieni są do niego ludzie w samych Osiekach. Przyznał, że chciałby tu jeszcze do nas wrócić.

Kiedy odbędzie się licytacja domu? - Myślę, że może w czerwcu lub lipcu - zapowiada wójt. - Najpierw jednak cała sytuacja z koronawirusem musi się zakończyć. Liczę, że mieszkanie kupi jakaś rodzina z dziećmi i będą się cieszyć piękną okolicą.

Tymczasem sąsiedzi zastanawiają się, czy znajdą się w ogóle ludzie, którzy chcieliby zamieszkać w domu z tak mroczną historią?

- Z pewnością licytacja może być bardzo ciekawa - mówi.

W gminie wiedzą, że za 2 mln dolarów sprzedano dom sekty Charlesa Mansona w Los Angeles, w którym zamordowano ciężarną żonę Romana Polańskiego. Nikt jednak nie liczy na powtórkę. To byłoby po prostu chore. ©©



Leszek Pękalski podczas procesu

Żeby skutecznie kontrolować emocje, musisz potrafić je opisać

Psychologia

Inteligencja emocjonalna rozpoczyna się od samoświadomości. Często idziemy przez życie, po prostu reagując na to, co nas spotyka, i nie poświęcając czasu, by pomyśleć, jak reagujemy. Takie postępowanie ogranicza możliwość kontroli własnych działań i skłonności – pisze Justin Bariso, specjalista od inteligencji emocjonalnej.

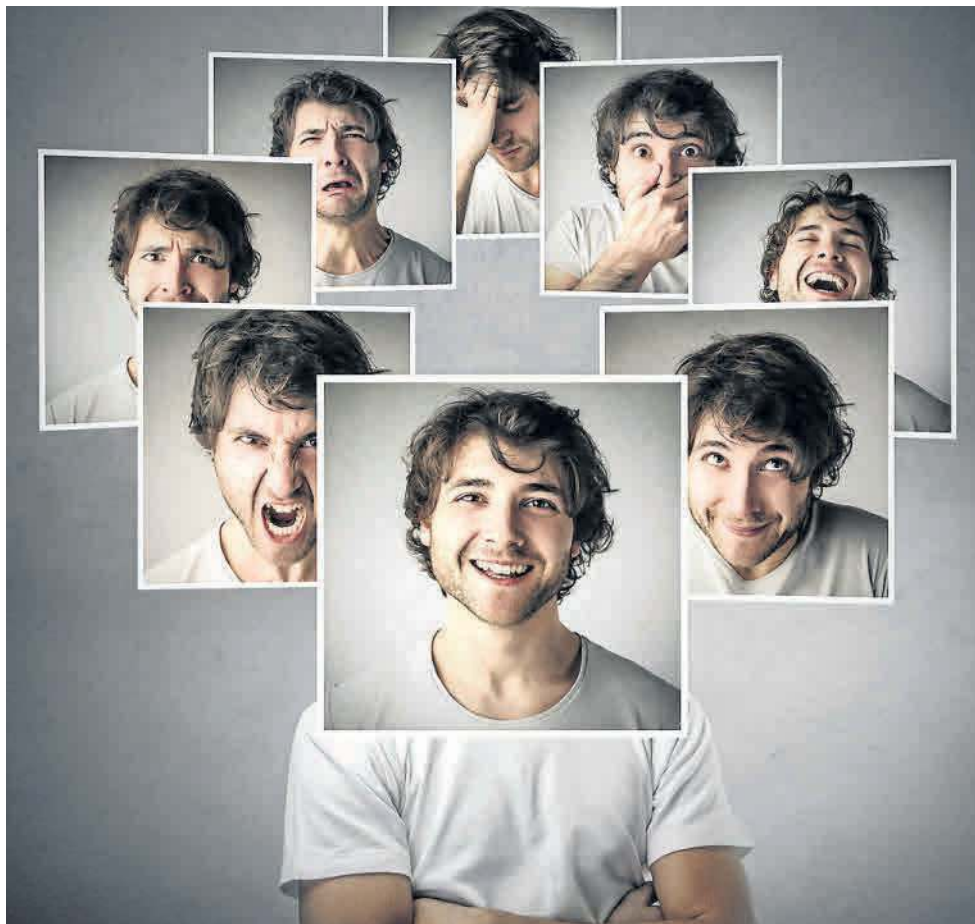
Samolot amerykańskich linii lotniczych US Airways wykonujący 15 stycznia 2009 r. lot rejsowy numer 1549 z Nowego Jorku do Charlotte w Karolinie Północnej oderwał się od pasa startowego lotniska La Guardia. Dla kapitana Chesleya B. „Sully’ego” Sullenbergera III był to kolejny rutynowy lot, których w ciągu kilkudziesięciu lat kariery pilota wykonał tysiące. Nim jednak samolot wzbijał się na wysokość trzech tysięcy stóp, Sullenberger i jego pierwszy oficer Jeff Skiles dostrzegli lecące wprost na nich stado dzikich gęsi. W następnej sekundzie ptaki zderzyły się z samolotem, uszkadzając poważnie oba silniki.

„Kiedy ptaki zderzyły się z samolotem, rozległ się taki odgłos, jakby zaczął padać deszcz albo grad. Takiego hałasu nie słyszałem nawet podczas burz w Teksasie. [...] Kiedy uświadomiliśmy sobie, że nie mamy silników, wiedziałem, że stanęło przede mną największe wyzwanie w moim życiu zawodowym. Skurcz żołądka przyprowadził mnie o mdłości i zakręciło mi się w głowie”.

Wśród myśli galopujących w głowie Sullenbergera wybiły się dwie: „To nie może być prawda”, „Niemożliwe, że coś takiego dzieje się w tej chwili”.

Równocześnie poczuł nagły skok adrenaliny i pulsowanie krwi w skroniach. W ciągu kilku następnych minut musiał razem ze swoim pierwszym oficerem podjąć szereg błyskawicznych decyzji. Trzeba było wziąć pod uwagę mnóstwo czynników w sytuacji braku czasu na precyzyjne kalkulacje i na dłuższą wymianę zdań. Procedury awaryjne zaplanowane na minuty należało wykonać w ciągu kilkudziesięciu sekund.

Sullenberger, w oparciu o swoje wieloletnie doświadczenie, uznał, że największe szanse ocalenia życia stu pięćdziesięciu pięciu osób znajdujących się na pokładzie samolotu będzie miał, jeśli spróbuje zrobić coś, czego nie robił nigdy wcześniej



Chodzi o to, żeby podtrzymywać w sobie chęć ciągłego coraz lepszego poznawania siebie

i do czego nie przygotowują pilotów żadne szkolenia. Postanowił, że spróbuje wylądować na rzece Hudson.

Stawiając wszystko na jedną kartę, raptem dwieście osiem sekund po tym, gdy oba silniki odmówiły posłuszeństwa, Sullenberger odważnie i pewną ręką posadził samolot na rzece, niedaleko centrum Manhattanu. Dzięki zbiorowemu wysiłkowi jego samego, pierwszego oficera, pracowników kontroli lotu, załogi samolotu i kilkudziesięciu ratowników, którzy pojawili się natychmiast w pobliżu osadzonej na wodzie maszyny, udało się uratować życie wszystkich stu pięćdziesięciu pięciu osób – pasażerów i załogi. To niezwykłe lądowanie zyskało miano „cudu na rzece Hudson”.

Gdy Sullenberger wspomina to wydarzenie, ma poczucie, jakby wszystko to stało się zaledwie wczoraj. „Uświadamiałem sobie każdą reakcję mojego ciała

Jeśli potrafisz dobrze kontrolować własne impulsy, to łatwiej jest ci działać zgodnie z wyznawanymi wartościami

– wyjaśnia. – Poczułem zastrzyk adrenaliny. Z pewnością skoczyło mi ciśnienie, a mój puls galopował. Wiedziałem jednak, że muszę skupić się na wykonywanych czynnościach i nie mogę sobie pozwolić na dekoncentrację”.

Dla milionów ludzi na całym świecie to, co zrobił Sullenberger owego zimowego popołudnia, było czynem nadludzkim, zdumiewającym aktem heroizmu. W jaki sposób jemu, pierwszemu oficerowi i kontrolerowi lotów udało się utrzymać emocje pod kontrolą i dokonać tego „cudu”? Odpowiedzi na to pytanie nie należy szukać w kilkuset zdumiewających sekundach składających się na całe wydarzenie, lecz w poprzedzających je latach ćwiczeń, praktyki i doświadczenia.

Lata przygotowań

Zakończone sukcesem lądowanie Sullenbergera nie było wynikiem przypadku. Wystarczy rzucić okiem na jego życiorys, by zobaczyć, jakie umiejętności przyswoił sobie, spędzając kilkadziesiąt lat za sterami samolotów, najpierw jako pilot myśliwca, a później przez trzydzieści lat jako pilot w lotnictwie cywilnym, członek komisji do badań wypadków lotniczych oraz instruktor szkolący załogi samolotów i uczący je właściwej reakcji

na nieprzewidziane sytuacje w powietrzu. „Teraz po tym wszystkim często wydaje mi się, że całe moje życie aż do dnia wypadku przygotowywało mnie do tego, by w tamtej konkretnej chwili stanąć na wysokości zadania” – powiedział Sullenberger dziennikarce Katie Couric w wywiadzie radiowym.

Cud na rzece Hudson dobrze pokazuje, jak wielką moc mają dwie pierwsze zdolności składające się na inteligencję emocjonalną: samoświadomość i panowanie nad sobą. W tamtej przerażającej chwili Sullenberger zademonstrował nadzwyczajną samoświadomość: zdolność do uzmysłowienia sobie i zrozumienia reakcji emocjonalnej i fizjologicznej, której wówczas doświadczał. Zaraz potem wykazał się zdumiewającą samokontrolą (czyli kluczową cechą panowania nad sobą) i z pełną determinacją przystąpił do rozwiązania kryzysowej sytuacji. Couric spytała go, czy pokonanie własnej, tak silnej reakcji fizjologicznej i zachowanie zimnej krwi było trudne. Odpowiedź Sullenbergera do pewnego stopnia zaskakuje. „Nie. Trzeba się było jedynie skoncentrować”. Całkiem możliwe, że nigdy nie znajdziesz się w takich opałach jak kapitan Sullenberger, na pewno jednak prędzej czy później zmierzysz się z sytuacjami burzącymi ustalony porządek rzeczy. To, jakie podejmiesz wówczas decyzje, będzie zależało w dużym stopniu od twojej samoświadomości i zdolności do panowania nad sobą. Co zatem możesz zrobić, by rozwinąć w sobie te zdolności? Wszystko zaczyna się od przygotowania.

Zadaj sobie właściwe pytania

Inteligencja emocjonalna rozpoczyna się od samoświadomości. Często idziemy przez życie, po prostu reagując na to, co nas spotyka, i nie poświęcając czasu, by pomyśleć, jak reagujemy i dlaczego tak a nie inaczej. Takie postępowanie ogranicza możliwość kontroli własnych działań i skłonności. Jedną z najlepszych metod rozwijania samoświadomości jest stawianie właściwych pytań. Dzięki temu możemy poszerzyć własną perspektywę i zobaczyć, jak widzą nas inni. Prócz tego dowiemy się więcej o ich sposobie myślenia oraz procesach emocjonalnych.

Możesz sobie postawić także inne pytania, na przykład: Jak można opisać mój styl porozumiewania się? Czy mówię, co myślę? Czy wyrażam się z arogancją? Jasno? Mętnie? Subtelnie? Taktownie? Jak inni opisaliby mój styl porozumiewania się? Jaki wpływ na innych wywiera mój sposób porozumiewania się? Jak można opisać mój sposób podejmowania decyzji? Czy podejmuję je wolno czy szybko? Jakie czynniki mają na mnie wpływ?

To tylko drobna próbka tego rodzaju pytań. Nie chodzi o to, by usiąść i odpowiedzieć na nie wszystkie wyczerpująco w jeden dzień. Chodzi natomiast o to, by podtrzymywać w sobie chęć ciągłego coraz lepszego poznawania siebie. Gdy zaczniesz sobie zadawać powyższe pytania, zachęcając one do stawiania kolejnych i w ten sposób będziesz wiedzieć coraz więcej o sobie oraz o tym, jaki wpływ wywierają na ciebie własne emocje.

Wykorzystaj własny słownik emocjonalny

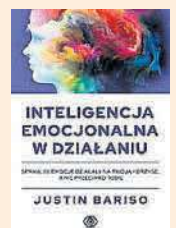
Wyobraź sobie następującą sytuację. Budzisz się któregoś ranka z dokuczliwym bólem, którego doznajesz pierwszy raz w życiu, i postanawiasz udać się do lekarza. Gdy jesteś w gabinecie, lekarz prosi cię o opisanie odczuwanego przez ciebie bólu. Zależnie od tego, jaki to ból, możesz użyć następujących słów: ostry, tępy, palący, kłujący, rwący, piekący, dławiący, przypalający, omdłości, rozsadzający czaszkę, łagodny. Im dokładniej go opiszysz, tym łatwiej będzie lekarzowi rozpoznać jego przyczynę

i zastosować właściwe leczenie. Podobnie jest z emocjami. Używając konkretnych słów na opisanie swoich uczuć, jesteś w stanie lepiej je rozpoznać, czyli zrozumieć, skąd się biorą i dlaczego. Właściwe słowa mogą ci pomóc dotrzeć do źródła własnych uczuć i ułatwić komunikowanie ich w sposób zrozumiały dla otoczenia.

Żałujemy, że wracasz do domu po długim dniu wyczerpującej pracy i wdajesz się w sprzeczkę z mężem lub żoną. Gdy pyta, co cię ugryzło, nie za bardzo potrafisz odpowiedzieć. Owszem, możesz powiedzieć, że coś cię rozzłościło lub wytrąciło z równowagi, ale po chwili zastanowienia dochodzisz do wniosku, że masz poczucie krzywdy lub zawodu. Powód? Kąśliwa uwaga, którą rano skierowała pod twoim adresem najbliższa ci osoba. Wówczas cię tak nie zabolę, ale teraz okazuje się, że spowodowana przez nią rana jest głębsza, niż ci się zdawało. Uczciwa rozmowa może pomóc zrozumieć żonie lub mężowi, jak bardzo dotknęły cię wypowiedziane pod twoim adresem słowa, lub uświadomić, jak się z tego powodu czujesz.

Emocje mają kolosalny wpływ na nasze zachowanie. Dlatego właśnie tak ważne jest panowanie nad sobą, czyli zdolność do radzenia sobie z własnymi uczuciami i kontrolowania własnych reakcji. Jeśli potrafisz dobrze kontrolować własne impulsy, to łatwiej jest ci działać zgodnie z wyznawanymi wartościami. To z kolei pomaga ci rozwijać w sobie determinację i wytrwałość, co zwiększa twoją skuteczność w osiągnięciu zamierzonych celów. Panowanie nad sobą to nie tylko zapobieganie niepożądanym, których takielibyśmy potem żałować. To także poszukiwanie sposobu na pobudzenie lub zmotywowanie siebie do tego, żeby nie chować się po kątach i podjąć działanie, gdy wymaga to pewnego wysiłku.

KSIAŻKA



Justin Bariso „Inteligencja emocjonalna w działaniu”, tłumaczenie: Aleksander Gomola, wyd. Rebis, Poznań 2020

Kamery termowizyjne w szpitalach w Warszawie

Warszawa

Martyna Konieczek
martyna.konieczek@polskapress.pl

20 szpitali na Mazowszu, w tym placówki w Warszawie, już niedługo zyskają system bezdotykowego pomiaru temperatury. Kamery termowizyjne będą w stanie szybko i bardzo dokładnie zbadać równocześnie wiele osób.

W 20 mazowieckich szpitalach zostaną zainstalowane urządzenia do bezdotykowego mierzenia temperatury. Sprzęt ten zakupił samorząd województwa dzięki wsparciu Unii Europejskiej. Jego koszt wyniósł 1,7 miliona złotych. - Stosunkowo proste rozwiązanie pozwoli szybko i precyzyjnie zbadać temperaturę wszystkim osobom wchodzącym do placówki. W przypadku namierzenia osoby z podwyższoną temperaturą, personel będzie mógł podjąć natychmiastowe działania - podkreślił marszałek Adam Struzik.

Jak dokładnie będą działać nowo zakupione urządzenia? Kamery zostaną zamontowane przy głównych wejściach do szpitali i do poradni specja-

listycznych w taki sposób, aby miały w swoim zasięgu wszystkich wchodzących. Do tej pory personel placówek mierzył pacjentom temperaturę ręcznie, co angażowało wiele osób - pomagali przy tym m.in. studenci. Nowo zakupione urządzenia pozwolą pozbyć się tego problemu. System szybko i bardzo dokładnie mierzy temperaturę (+/- 0,3 stopnia Celsjusza) wielu osobom równocześnie.

Badanie jest bezpieczne i efektywne i co ważne - możliwe np. przez maseczki. System wyposażony jest w najnowszy model kamery termowizyjnej. Wbudowany algorytm AI pozwala na badanie osób znajdujących się w odległości do 3 m od kamery. Połączenie z serwerem, wyposażonym w inteligentne algorytmy AI, pozwala właściwie ustalić punkt pomiaru (rozpoznanie twarzy) - tłumaczy urzędnicy.

Bezdotykowe systemy do pomiaru temperatury zostaną zainstalowane w: Dziecięcym Szpitalu Klinicznym, Wojskowym Instytucie Medycznym, Szpitalu Praskim, Szpitalu Dziecięcym przy Niekłańskiej, Szpitalu Bielańskim, Mazowieckim Szpitalu Bródnowskim, Międzyzleskim Szpitalu Specjalistycznym.



Podobne systemy od dawna wykorzystuje się w Azji

Wyspa Muzeów na Cytadeli. Potężne gmachy w miejscu dotąd niedostępnym

Piotr Wróblewski

piotr.wroblewski@polskapress.pl



Miejscowość

Berlin ma swoją Wyspę Muzeów, obszar skupiający najważniejsze placówki muzealne. Warszawa nie chciała być gorsza. Od kilku lat trwa intensywna budowa na terenie niedostępnym od dwóch wieków - na Cytadeli. Stoją tam już niewielkie Muzeum Katyńskie i Muzeum X Pawilonu. Ale wkrótce gotowe będą znacznie większe gmachy.

Za - w sumie - ponad 800 mln złotych powstaje tam główna siedziba Muzeum Historii Polski, a także Muzeum Wojska Polskiego. - Staraliśmy się również nawiązać do historycznych założeń z czasów, gdy znajdowały się tu Koszary Gwardii Piechoty. Stworzyliśmy więc Plac Gwardii, a jednocześnie pawilony nawiązujące do koszar. Poszczególne elementy doskonale się uzupełniają - mówił kilka miesięcy temu w rozmowie z nami Szczepan Wroński, jeden z architektów kompleksu z pracowni WXCA, która nad projektem pracuje od 2008 roku.

Warto spojrzeć na rozmach budowy. Większy z obiektów,



Na Cytadeli powstają dwa niezwykle ważne muzea

przyszła siedziba Muzeum Historii Polski, będzie miał aż 44 tys. mkw. powierzchni. Tyle samo co 160-metrowy wieżowiec Cosmopolitan. Obszarem budowy objęto prawie 30 hektarów. Drugiej tak dużej działki w centrum Warszawy już nie będzie.

- Cytadela to ogromny i zróżnicowany teren, który z racji wielkości wymaga, żeby projektować go także z lotu ptaka, bo wtedy różne skale podczas projektowania dopełniają się i można tworzyć spójną kompozycję - dodaje Wroński.

Jakie muzea na Cytadeli?

Muzeum Historii Polski ma opowiadać o tradycji polskiej wolności. Stała ekspozycja dotyczyć będzie wątków z histo-

rycznych od X do XXI wieku. Ścieżka zwiedzania opierać będzie się na „gniazdach”, centralnych wydarzeniach z poszczególnych epok.

Przykładowo, w galerii „Polska Średniowieczna” centralne miejsce zajmie instalacja Chrystus. W części „Dawna Rzeczpospolita” symbolem będzie Wolna Elekcja, kopuła z miejscem na interaktywną projekcję. Kolejne galerie poświęcone będą rozbiorom, kulturze II RP, II wojnie światowej, czasom PRL-u, a także „Solidarności”. Za ekspozycję odpowiadają dwie pracownie WWAA oraz Platige Image.

Z kolei Muzeum Wojska Polskiego opierać się będzie o dziesiątki tysięcy eksponatów zgromadzonych przez wojskowych na przestrzeni lat. W ekspozy-

cji przygotowywanej przez pracownię NM architekci znajdą się cztery sale. Poznamy historię wojskowości, odpowiednio: do Insurekcji Kościuszkowskiej (z silnie zaznaczoną rolą husarii), do I wojny światowej (Powstaniem Styczniowym i Listopadowym) oraz z czasów II wojny światowej. Dodatkowo jedna z sal poświęcona będzie broni orientalnej.

Muzea powinny zostać otwarte za nieco ponad rok. Do całego kompleksu wjedziemy samochodem od strony Wisłostrady. Ogromny parking zbudowano pod Placem Gwardii. Zmieści 691 samochodów.

W przyszłości od strony Dworca Gdańskiego do muzeum dotrzemy także kładką pieszo-rowerową.

Drobne

BIURO OGŁOSZEŃ

ul. Domaniewska 45, tel. 22 20 14 014
pon.-pt. 9:00-17:00

Nieruchomości

GARAŻE

KUPIĘ garaż do 10 tys., 609-499-555

Motoryzacja

SPRZEDAM

SKODA Superb, 1.9 TDI 2007 2KPL
Opon Klima Garażowany tel 697905595

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT 50 000 zł rata 572, 730809809

Praca

ZATRUDNIĘ

ELEKTRYK - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774270543 Cert. 9875

Elektryków z własną działalnością. Praca w Berlinie.
Tel. 601-282-217, e-mail: stelektro@int.pl

MALOWANIE, tapetowanie, docieplenia - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774270543. Cert. 9875

OPIEKA Niemcy, legalnie, tel. 725-248-935.

STOLARZ - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774270543 Cert. 9875

ŚLUSARZ/ spawacz - praca od zaraz/ NIEMCY - tel. 774270543 Cert. 9875

ZATRUDNIĘ kierowców kat. C+E, pojedyncze/podwójne obsady, trasa Polska - kraje Beneluxu. Dobre zarobki, wolne weekendy, 799-277-337 604-237-423

Turystyka

AGROTURYSTYKA

LATO w Kotlinie Kłodzkiej. Dużo przestrzeni, przyroda, domowe jedzonko. Kontakt 74/813-92-94, www.ponikwa.com

KRAJ - GÓRY

Beskidy 8 dni od 650zł z dofi Unijny Program Spowolnij Starzenie Możliwość dowozu 501 642 492

KRAJ - MORZE

DZWIŻYNOMORZE.PL - tel. 605905969

Rewal-morze 50 m.Wczasy 502-550-864, www.tedi.pl

Różne

STARE książki- skup 881-934-948

Usługi kamieniarskie

NAGROBKI
już od 2599 zł
22/214 06 31
500 290 360
EKSPOZYCJA
Wólka Węglowa
ul. Palisadowa 15
RATY

Usługi z granitu, marmuru - blaty, parapety, płytki, schody.

#zostańwdomu
Zleć ogłoszenie

zadzwoń:

800-472-852

wejdź na stronę

ibo.polskapress.pl

Pracujemy 9.00-17.00
od poniedziałku
do piątku

Motoryzacja w czasie pandemii koronawirusa. Jak zmienia się sprzedaż nowych samochodów

Motoryzacja

Dariusz Kowalcuk
redakcja@polskatimes.pl

Wielu ekspertów twierdzi, że po pandemii koronawirusa już nic nie będzie takie jak kiedyś. Czy dotyczy to także rynku motoryzacyjnego?

Branża motoryzacyjna, a zwłaszcza producenci aut w Europie, przeżywają ciężki okres. Dla osób niesledzących uważanie tego rynku może być zaskoczeniem informacja, że problemy nie zaczęły się wraz z pojawieniem się chińskiego wirusa, a znacznie, znacznie wcześniej.

Nowe normy emisji

Już bowiem przez cały zeszły rok koncerny musiały się zmierzyć z nowymi, dodajmy bardzo surowymi, normami emisji spalin, wprowadzonymi od 1 stycznia tego roku w Unii Europejskiej. Średnia emisja wszystkich samochodów sprzedanych na terenie UE

w 2018 r. wyniosła 120,5 g CO₂/km. Od 1 stycznia 2020 r. 95 procent samochodów sprzedawanych na terenie Unii musi spełniać limit średniej maksymalnej emisji na poziomie 95 g CO₂/km. Producenci, którzy nie spełnią normy emisji CO₂/km, muszą zapłacić karę w wysokości 95 euro za każdy gram ponad limit. I to od każdego sprzedanego samochodu.

Nie dziwi zatem fakt, że część producentów jeszcze w zeszłym roku wycofała niektóre silniki z europejskiego rynku, część musiała je przekonstruować, a część poważnie zmniejszyła ilość dostępnych wersji. „Walka” trwała do ostatnich dni zeszłego roku i już wtedy wiele firm „krwawiło”, a inne zapowiadały, że w bieżącym roku ceny nowych samochodów wzrosną od 10 do 20%. W końcu i tak zapłaci klient.

Jakby tych problemów było mało, to wraz z nadejściem nowego roku pojawił się kolejny koronawirus. Zamknięcie linii produkujących części do samochodów w Chinach było pierw-



Dotychczas w sieci kupowaliśmy drobne przedmioty codziennego użytku. Teraz przyszła pora na nowe auta

szym, ale najważniejszym elementem rozrywającym łańcuch produkcji nowych pojazdów. Po nim nastąpiło czasowe wyłączenie także zakładów montujących finalnie pojazdy. Do tego doszła niepewność na rynkach finansowych i załamanie rynku pracy. Lawina ruszyła i dziś już nikt nie wie, kiedy i na jakim etapie się ona zatrzyma.

Koronawirus

Bez wątpienia będziemy w najbliższym czasie świadkami rewolucji w sprzedaży, w tym w sprzedaży samochodów. Jeszcze do niedawna w sieci kupowaliśmy drobne przedmioty codziennego użytku - elektronikę, książki, ubrania, sprzęt AGD, rzadziej meble. Dziś do tej listy będzie można dodać także nowe sa-

mochody. Koncerny motoryzacyjne bowiem, jeden za drugim, otwierają możliwości zakupu nowych pojazdów za pośrednictwem internetu. Przeszkoleni konsultanci mają nas prowadzić poprzez cały proces wyboru auta, jego wersji i wyposażenia, uzyskania finansowania na nie i w końcu zakupu.

- W przypadku sprzedaży nowych samochodów, obecna sytuacja spowoduje przyspieszenie rewolucji internetowej, czyli przechodzenia ze sprzedaży pojazdów tradycyjnymi kanałami poprzez punkty dealerskie w realu do sprzedaży on-line. Takie próby były już wcześniej podejmowane, ale problem z koronawirusem tylko przyspieszył to rozwiązanie, które wprowadza coraz więcej marek - twierdzi ekspert rynku samochodowego Dariusz Balcerzyk z Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR.

Czy oznacza to, że znikną salony samochodowe? Zapewne nie, ale problemy finansowe mogą spowodować, że rzadziej będą powstawać nowe, a te

które już są, będą ograniczać liczbę personelu na miejscu. Obecność klientów w nich może ograniczyć się tylko do krótkich, niezbędnych wizyt, bowiem nawet podpisanie umowy może dokonać się w sieci. Klient nie będzie także musiał pojawiać się w salonie po samochód, bo może mu zostać dostarczony ze wszystkimi dokumentami pod dom.

Co ciekawe, już dziś także serwisy samochodowe oferują usługę „door-to-door” (od drzwi do drzwi), umożliwiającą przegląd auta i jego naprawę praktycznie bez konieczności angażowania w nią właściciela pojazdu - auto odbierane jest spod domu klienta, przewożone do serwisu, naprawiane, dezynfekowane i z powrotem odstawiane pod dom.

To oczywiście generuje dodatkowe koszty, które - przynajmniej pozornie - ponosi jeszcze serwis, ale nie mamy się co łudzić, zarówno koszty napraw pojazdów, jak i ceny samych aut będą rosły. W maju już zmieniły się niektóre cenniki.

© P

Partnerem cyklu jest PKN Orlen

009657053

Tanie paliwo to tylko początek

Otoczająca nas wiosna, kolejne etapy rozmrażania gospodarki i powolny powrót do normalnego trybu życia powodują, że silniej odczuwamy potrzebę wznowienia codziennych czynności. Oznacza to, że jesteśmy też coraz bardziej mobilni. Na stacjach paliw zrobi się większy ruch, kiedy zaczniemy tankować samochody w rytmie, do którego przywykliśmy w czasach przed epidemią.

Owyborze konkretnej marki, z usług której będziemy najchętniej korzystać, znów decydować będzie nie tylko cena paliwa. Nowoczesna stacja benzynowa coraz częściej staje się kompleksowym punktem obsługi podróżnych z pełną infrastrukturą dla kierowców, gdzie nie tylko możemy zatankować auto, ale też odpocząć podczas przerwy w podróży, czy na przykład zjeść smaczny posiłek.

Największa sieć stacji paliw w Polsce - ORLEN, licząca ok. 1800 obiektów, doskonale rozumie oczekiwania swoich klientów, dlatego sukcesywnie od kilku lat podnosi ich standard i rozwija obszar pozapaliwowy.



Pełny bak za niską cenę

Wizyta na stacji ORLEN nie obciąża naszego domowego budżetu. PKN ORLEN sukcesywnie obniża ceny paliw na swoich stacjach. Jest to wypadkowa taniejącej ropy naftowej, ale też działań optymalizacyjnych i dywersyfikacji dostaw surowca. Od początku roku obniżki na

stacjach koncernu przekroczyły średnio 1 zł na litrze benzyny 95 i 1.12 zł na litrze ON.

Na stacjach ORLEN mamy też możliwość skorzystania z wielu usług serwisowych, w tym ze szczególnie cenionych przez kierowców bezdotykowych myjni automatycznych. Są one bezpieczne dla środowiska. Kierow-

ca może wybrać jeden z pięciu programów myjących, z których każdy jest dostosowany do innych potrzeb: od ekspresowego mycia pojazdu szamponem po usługę Perfect, uwzględniającą dodatkowo mycie ciśnieniowe (w tym podwozia) oraz woskowanie i polerowanie.

Standardem na każdej stacji ORLEN jest też wydzielone stanowisko z kompresorem i samochodowym odkurzaczem.

ORLEN Pay i karta VITAY

Jeśli tylko tankujesz na stacji ORLEN, możesz zapłacić bezpośrednio przy dystrybutorze, korzystając z mobilnej aplikacji ORLEN Pay. To bardzo proste. Po zatankowaniu paliwa skanujemy kod QR z naklejki na dystrybutorze, a następnie sprawdzamy w aplikacji dane transakcji: kwotę do zapłaty, stację i stanowisko. Gdy wszystko się zgadza, akceptujemy transakcję i odjeżdżamy z pełnym bakiem. Faktura zostaje przesłana automatycznie na wskazany wcześniej adres e-mail.

Wszystkie dostępne na stacjach ORLEN usługi obejmuje program Klub VITAY. Każdy wydatek generuje punkty, które można zamienić na nagrody albo upusty cenowe przy kolejnych zakupach. W ten sposób PKN ORLEN buduje lojalność

swoich klientów. Teraz klienci stacji ORLEN zbierając punkty na karcie VITAY, mogą je również przekazać na walkę z koronawirusem. Za każde 1000 punktów VITAY przekazane przez użytkowników programu, Fundacja ORLEN przeznaczy 5 zł na potrzeby szpitali obecnie leczących osoby zakażone koronawirusem (szpitali jednoimiennych) i na zakup niezbędnego sprzętu medycznego. Pomysłodawcami dobroczynnej inicjatywy są sami klienci programu lojalnościowego PKN ORLEN.

Kierowca wypoczęty, zregenerowany pasażer

Podróż do pracy z przerwą na tankowanie czy dalsza wyprawa wiąże się często z potrzebą wypicia kawy, której smak może konkurować z ofertą markowych kawiarni. Przekonał się o tym każdy, kto choć raz zamówił swoją ulubioną wersję kawy w Stop Cafe na stacji ORLEN, z wyselekcjonowanych ziaren 100 proc. Arabiki, z najlepszych plantacji świata.

Poza świeżo mieloną kawą w menu są wyciskane soki czy odżywcze soktajle - zestawy owoców i warzyw według wyboru klienta. No i oczywiście kultowe już hot-dogi, które są najczęściej wybieranymi przez Polaków - jak wynika z badania przeprowa-

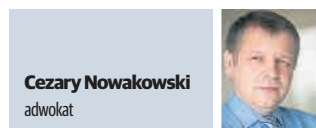
dzonego przez Kantar. Smak tych przekąsek dopełniają sosy oferowane w nowej recepturze. Ich prosty skład, bez substancji konserwujących i wzmacniaczy smaku, jest gwarancją nie tylko szybkiego, ale też zdrowego posiłku.

Odkryj O!Shop

Na większości stacji paliw mamy też możliwość zrobienia zakupów niezbędnych w podróży. Stacje ORLEN idą o krok dalej, rozwijając format nowoczesnych punktów O!Shop z większym asortymentem artykułów. O!Shop oferuje świeże owoce i soki, wypiekane na miejscu pieczywo i dania gotowe. Asortyment - od naleśników po sushi - zadowoli praktycznie każdego kierowcę oraz jego pasażerów.

Ilość w parze z jakością

Lista dostępnych na stacji paliw usług stale się wydłuża. Na stacjach ORLEN istnieje na przykład możliwość nadania i odbioru paczki, wypożyczenia samochodu (zwrot w dowolnej innej stacji), a nawet serwis dla rowerzystów. Możemy też skorzystać z nowoczesnego formatu ORLEN DRIVE, pierwszej stacji w Polsce na trasie Łódź - Wrocław, na której zatankujemy auto i kupimy posiłek bez konieczności wysiadania z pojazdu.



Felieton

PRAWO A MORALNOŚĆ

Prawo i moralność to pojęcia żyjące z ludzkością od początku, gdy zaczęliśmy żyć w zespołach ludzkich. Do dnia dzisiejszego spieramy się o wzajemny ich stosunek, formujemy ich definicje i stawiamy coraz trudniejsze pytania. Czy normy prawne powinny przenikać się z normami moralnymi? Czy należy zawsze postępować zgodnie z normą prawną, nawet gdy w naszym odczuciu jest ona niegodziwa?

Czy w państwie prawnym rządymy wystarczająco zgodnie z normą prawną bez względu na jej treść? Już Sokrates zapłacił życiem za głoszone poglądy, w których - zdaniem oskarżycieli - niezbyt oddawał hołd ateńskim bogom. W historii ludzkości znajdujemy tysiące aktów prawnych, które były prawem niegodziwym. Cała niegodziwość rządów totalitarnych sankcjonowana była ustanowionymi normami prawnymi. Poczytajmy zapisy niemieckich ustaw norymberskich czy zapoznajmy się z treścią polskiego powojennego małego kodeksu karnego.

Przypominałem sobie w ostatnich dniach - powiem wprost - fascynującą lekturę, „Kłopot z istnieniem”, pióra Henryka Elzenberga. Filozofa, którego uczniowie nazywali ostatnim Europejczykiem,

człowieka szlachetnego i którego jednym z licznych wychowanków był Zbigniew Herbert. Do poglądów Elzenberga dotarłem przez poezję Herberta. Znalazłem w książkach profesora, legionisty i uczestnika wojny 1920 r. odpowiedź na pytanie dotyczące podstaw siły moralnej zawartej w poezji powszechnie znanego i znakomitego Herberta.

Wniosek jest prosty: nie byłoby tej poezji w takim formacie bez Elzenberga, bez przyjaźni mistrza Elzenberga i ucznia Herberta. Siegnijcie po książki Elzenberga, by poznać się z jego poglądami etycznymi, pojęciem wartości perfekcyjnej, która przejawia się w stwierdzeniu, że „bogactwo życia mierzymy ilością odrzucanych dóbr” i nabierzmy pokory, której nam wciąż brakuje. Namawiam do zderzenia z myślą człowieka, który nie chciał - jak sam pisał - być „psem na łańcuchu” systemu komunistycznego i który nie wybierał - tak jak my często robimy to w życiu - drogi na skróty.

Warto Elzenberga czytać - powiem więcej - czytać go powinni prawnicy, zwłaszcza ci, którzy wykorzystują znajomość prawa w codziennej pracy. Znajdujemy w jego książkach wartości pozwalające na uczciwość zarówno w tworzeniu, jak i stosowaniu prawa, w końcu to wychowawca Herberta. To profesor pisał do Herberta, po przeczytaniu jego wiersza „Do Marka Aurelego”, że poeta „zna Marka Aureliusza tylko ze słyszenia, gdyż, jak wiadomo, Rozmyślania jego pisane były po grecku”. Warto też przeczytać wiersz Herberta, żeby zrozumieć uszczypliwość, wiersz jeden z najlepszych w twórczości poety.

Wielki, państwowy brat patrzy



Technorozwiązania

Nawet nie wiesz, jak te funkcje ułatwiają mi życie, mam jedno konto do tak wielu aplikacji, mapy, poczty, przeglądarki, która pamięta moje hasła. Nawet nie wiesz, jak fajnie integruje mi się smart zegarek z telefonem. Od razu mam zbekapowane wszystkie treningi, długość snu, a nawet puls, który mierzy mi się na bieżąco. Niesamowite, ile teraz o sobie wiem.

W roku 2014 zostałem zaproszony do Berlina na warsztaty Allied Consultants Europe, których tematem było tzw. Big Data. Wtedy nowość, z której konsultanci musieli się trochę podszkolić. Zwieńczeniem dwóch dni opowiadania o wielkich ideach, możliwościach i narzędziach było ćwiczenie, w którym musieliśmy opisać niedaleką przyszłość, taką za dwie dekady, losowo wybranej branży. Trafiłem na ubezpieczenia, branżę, która powinna nazywać się raczej „szacowanie ryzyka”, ale ktoś doszedł do wniosku, że „ubezpieczenia” będzie krócej i bardziej marketingowo. Cała grupa nie miała wątpliwości: przykładowy John, w scenie, którą mieliśmy opisać, obudził się rano, przywitany komunikatem o zmianie grupy ryzyka i wzroście wartości

składki ubezpieczenia na życie. Mógł tylko się domyślać, że chodzi o zarzucenie ćwiczeń przez ostatni miesiąc i regularne wieczorne celebracje, które opisywaliśmy w małym gronie dużo dosadniej. John przekroczył ustalone przez ubezpieczyciela normy na odstępstwa, ponieważ świętował narodziny syna. Niestety, z radości zapomniał, że wybrał optymalną kosztowataryfę „przeżycystą”, która na bieżąco wysyła wyniki z wszczepionego chipa wprost na serwery ubezpieczyciela. Ten z automatu przeszacował ryzyko i klops. Dobre imię John będzie odbudowywał kilka lat. Wówczas, pracując nad tą ideą, chyba wszyscy z grupy traktowaliśmy ją jak fantazję, trochę żart, opisując składowe złamanie regulaminu taryfy o zdarzenia czy czynności, które wszyscy w życiu przeszli, szczególnie konsultanci z bar dziej liberalnych, zachodnich krajów. Bawiło nas to jak wizja świata w kiepskim filmie fantastycznym. Ale czy do tej wizji jest naprawdę tak daleko? Raptem po sześciu latach od tego wydarzenia, moje wyniki kardio są dostępne dwóm dużym korporacjom. Moja lokalizacja, zainteresowania, a nawet hasła leżą na wszystkich kontynentach na zmultiplikowanych serwerach Google. Ok, wiedzą, kim jestem, ale jeszcze nie podałem tam numeru dowodu i nie mają nade mną jurysdykcji. Jak coś rypnie, to co najwyżej najem się wstydu, jakiego to strony dla kolegi przeglądałem.

I wtem do gry wchodzi Państwo, z całym swoim aparatem egzekucji i podejrzliwości oraz supersprawnym organem odwoławczym, na którego efekt oczekuje się lata. Oczywiście jest, że na takie szczegółowe dane każdy aparat państwowy ma chrapkę, nawet ten demokratyczny, chociażby ze względów fiskalnych. Aktualnie powstaje rządowa już aplikacja ProteGo Safe. Już, ponieważ jej pisanie zapoczątkowali programiści pasjonaci, pro bono. Jej celem było ostrzeżenie, że potencjalnie byłeś w bliskim kontakcie z osobą z pozytywnym wyni-

Oczywiste jest, że na takie szczegółowe dane każdy aparat państwowy ma chrapkę, nawet ten demokratyczny

kiem Covid-19. Mniejsza o technika, ale w założeniu dane miały pozostać na naszym urządzeniu i całość miała być całkowicie anonimowa. Chodzi jednak o prywatność. Prace nad jakże ważną aplikacją przejęło Państwo. I nagle proces jej tworzenia nieco się zaciemnił. Projekt stał się mniej otwarty, powstały idee wysyłania danych na serwery rządowe, które z łatwością można deanonimizować. Ministerstwo Cyfryzacji broni się, mówi, że to nieprawda, ale pierwotni autorzy projektu są

od niego odcinani, a w branżowej prasie aż huczy. Nacisk robi swoje i być może tych najbardziej ingerujących w prywatność funkcji aplikacja mieć nie będzie. Ale, powiedzmy sobie szczerze, przedstawienie wachy w dowolną stronę, kiedy aktualizacje aplikacji instalują się dziś na naszych telefonach automatycznie, to jest pikus. Dowolny urzędnik, swoją arbitralną decyzją, będzie mógł, w przyszłości zmienić zasady gry, dokładnie tak, jak odbywa się to w interpretacjach podatkowych, gdzie ustawa swoje, a urzędnik swoje. Im bardziej zaciemniony jest cały proces powstawania podwalin pod takie rozwiązanie, tym bardziej obawiam się o to, jak taka aplikacja i płynące z niej dane mogą zostać wykorzystane w przyszłości.

„Jeśli nie robię nic złego i nielegalnego to, czym mam się przejmować?”. Fakt, prawy obywatel nie powinien obawiać się konsekwencji życia na podstawie norm, które sobie wypracowaliśmy. Mamy jednak przykład ze świata, który pokazuje, jak to może wyglądać. Jest taki kraj, który za wszelką cenę chce mieć prawych obywateli. Ten kraj to Chiny, które swoim systemem za przyszedzone złe zachowania przyszedzone punkty ujemne. I nawet jeśli konsekwencje dziś nie wydają się straszne, to jest to już świat powszechnej taksury, który jest bardzo daleki od świata wolności i niezależności jednostki, jaki wypracowaliśmy sobie w tej części świata.

Zmierzch ery ekspresów, czyli zapraszam na kawę



Ziemichód konsumuje

Kupiłem Aeropress i jako neofita picia kawy ze strzykawki czuje się w obowiązku głosić ewangelie właściwego zaparzania. W tych ciężkich czasach odizolowania przestał być skazani jedynie na picie „plujki” i „parzuchy”. I wcale nie potrzebujemy ekspresu do kawy, by nie narzekać na poranną „małą czarną”.

Najpierw jednak słowo wyjaśnienia. Aeropress to jedna z tzw. alternatywnych metod parzenia kawy. Określenie „alternatywna” jest tu trochę na wyrost, bo kawa uzyskana z tego plastikowego urządzenia nadal, co do zasady, jest

czarna, mokra i z kofeiną. Co więcej, jej smak jest zgoła podobny do smaku każdej innej kawy. Podobny, co nie znaczy oczywiście, że taki sam i o te właśnie różnice toczą ze sobą zażarty spór zwolennicy poszczególnych metod parzenia. W przypadku Aeropressu kawa przeciskana jest za pomocą tłoczka niemal jak w ogromnej strzykawce, na której końcu, zamiast igły, znajduje się sitko z filtrem, które przepuszcza jedynie płyn. Wytworzone w ten sposób podciśnienie wpływa znacząco na smak kawy - tak w dużym skrócie można wyjaśnić działanie tego miniaturowego urządzenia. Obok Aeropressu do metod alternatywnego parzenia zalicza się przeważnie również metody przelewowe, stosujące charakterystyczne stożkowe filtry, jak Chemex, drip czy wyciągnięty rodem z laboratorium alchemika syfon do kawy. Jed-

nak żadna z tych metod nie zrobiła chyba tak dużej kariery jak Aeropress. Po co o tym wszystkim piszę?

Do niedawna kawa z ekspresu, często w sieciowej kawiarni, była kawowym wzorcem z Sévres. Po tym, jak w Polsce zdomowały się papierowe kubki z sojowym latte, zaczęła się moda na ekspresy - zarówno te do domu, jak i te nieco lepsze, do biura. Dopiero niedawno, gdy moja maszyna do espresso odmówiła posłuszeństwa, zdałem sobie jednak sprawę, jak wiele tracimy utożsamiając dobrą kawę z kawą z ekspresu.

Ostatnie może 5 lat na rynku wyznaczone było przez powolny powrót do dawnego wzorca kawiarni - małych, urokliwych lokali, gdzie idzie się na pierwszą randkę z dziewczyną, której nie masz śmiałości zaprosić do kina. Ot, takie kawiarenki z piosenki pani

Jarockiej. Od czasów tamtej piosenki sporo się jednak w małych kawiarniach zmieniło. W Warszawie, małe kawiarnie to często miejsca z kawą specjalistyczną serwowaną z pocziwego dripa, dziwacznych syfonu, a nawet kawiarki czy zaparzaczy pokroju praski francuskiej, które znane są w Polsce może nawet dłużej niż kapitalizm. Bez wątpienia to moda na Aeropress przyczyniła się do ożywienia rynku tzw. specjality coffee, czegoś w rodzaju kawy rzemieślniczej - specjalnie palonej, mielonej

Poza filiżanką porannego pobudzenia kawa zaczęła pełnić dla wielu z nas także dodatkową, hedonistyczną funkcję

tylko na świeżo, dostosowanej do metody parzenia. Celowo używam tu terminu zacierpiętego ze świata piwa, bo podobnie, jak piwo rzemieślnicze, tak i kawa specjality adresowana jest do szczególnego rodzaju klienta.

Ta cicha rewolucja, która jeszcze do niedawna rozgrywała się gdzieś poza głównym nurtem stołecznej gastronomii, sprawiła, że zaczęliśmy „uczyć się” kawy. Poza filiżanką porannego pobudzenia, kawa zaczęła pełnić dla wielu także dodatkową, hedonistyczną funkcję. Zaparzona czy to w kawiarence, dripie czy Aeropressie, zaczęła po prostu smakować i pachnieć. Okazało się, że kawa może mieć swój charakter, profil i aromaty, których nigdy byśmy się w niej nie spodziewali - od tych kwiatowych po owocowe oraz warzywne. W specjalistycznej kawiarni nikt nie

zapropnuje wam mleka z syropem, bitą śmietaną i kroplą kawy. Tutaj bowiem jakoś naparu zależy nie od magii ekspresu czy jakości mleka, ale od samej kawy.

Od jakichś dwóch miesięcy, niestety, nasze nowe przyzwyczajenia kawowe przenieść musiały się z kawiarni do domu i podejrzewam, że oprócz zainteresowania domowym chlebem, wiele osób złapało też kawowego bakcyła. Dlatego tak ważny będzie moment powrotu do rzeczywistości sprzed epidemii. Trzymam kciuki, aby wszystkie te duszne i staroświeckie kawiarenki ponownie otworzyły swoje drzwi z końcem pandemii. Jeśli nie próbowaliście nigdy kawy typu specjality, gorąco was do tego zachęcam. Dopiero wtedy naprawdę zrozumiecie dlaczego, oprócz kawowych sieciówek, potrzebujemy także kawy z duszą.